

SZÓSTA ERA

ROBERT CICHOWLAS



Replika

ROBERT CICHOWLAS

SZÓSTA ERA



2011

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Wstęp

I w ten sposób wynieśli ogromne piramidy Słońca i Księżyca...

ROZDZIAŁ 1 METAMORFOZA

ROZDZIAŁ 2 ŚMIERĆ W SZATNI

ROZDZIAŁ 3 GŁOSY

ROZDZIAŁ 4 DZIWNY SEN

ROZDZIAŁ 5 ZNAKI

ROZDZIAŁ 6 OBDARTY ZE SKÓRY

ROZDZIAŁ 7 PIRAMIDA

ROZDZIAŁ 8 KAMIEŃ OFIARNY

ROZDZIAŁ 9 KRWAWY TYDZIEŃ

ROZDZIAŁ 10 CHAOS

ROZDZIAŁ 11 PRZEPOWIEDNIA

ROZDZIAŁ 12 PRZEBŁYSKI

ROZDZIAŁ 13 OFIARA

EPILOG 1

EPILOG 2

Jackowi Rostockiemu

Wstęp

Pomyślałem, że dobrze będzie rozpocząć mój wstęp do nowej powieści Roberta Cichowlasa *Szósta era* krótkim przybliżeniem moich związków z Polską. Otóż pod koniec XIX wieku mój prapradziadek (ze strony ojca) postanowił opuścić Polskę. Przeniósł się do Chicago w stanie Illinois, gdzie wiele lat później pozbawiła go życia spadająca muszla klozetowa.

To całkowicie prawdziwa historia.

Zdaję sobie sprawę, że – niestety – nie ma ona nic wspólnego z *Szóstą erą* Roberta Cichowlasa, ale mimo to lubię ją opowiadać, tak jak lubię opowiadać o tym, że mój prapradziadek ze strony matki został zmuszony do ucieczki z Carskiej Rosji po tym, jak oskarżono go o kradzież konia (a trzeba dodać, że nie był niewinny).

To również byłaby tylko nic nie znacząca dygresja.

Przejdźmy więc do najważniejszej kwestii: trzymacie w dłoniach pierwszą samodzielnie napisaną powieść Roberta.

Chcę żebyście wiedzieli, że to dobra książka.

Bo Robert jest dobrym pisarzem. Szczerze mówiąc, jest znacznie lepszym pisarzem niż ja. Przynajmniej jeśli chodzi o pisanie po polsku. I nie chodzi tu o wyrażanie jakiejś jednostkowej opinii – to FAKT. W pisaniu po polsku Robert jest też lepszy niż Peter Straub, John Everson, Scott Nicholson, F. Paul Wilson czy Gary Braunbeck. Jest nawet lepszy od Stephena Kinga. Bo przecież żaden z wymienionych wyżej twórców – z moją skromną osobą na czele – nie potrafiłby sklecić po polsku nawet najprostszego zdania! A jeśli chcecie usłyszeć coś naprawdę żalosego to

posłuchajcie sobie jak John Everson próbuje wymówić takie nazwiska, jak „Czajkowski” czy „Szczepankiewicz” albo nawet coś tak banalnego, jak „Wojciechowski”. Przy wszystkich tego typu próbach język zaplątuje się Eversonowi między zębami, co często doprowadza go do płaczu z frustracji.

A tak poważnie, myślę, że powinienem po raz kolejny podkreślić pewną ważną rzecz: Robert Cichowlas jest dobrym pisarzem.

Nie czytałem jeszcze *Szóstej ery*, ale zabiorę się za tę powieść, jak tylko zostanie przetłumaczona na angielski. Czytałem natomiast opowiadania Roberta. I jeśli zmuszono by mnie do opisanie ich w dwóch słowach, powiedziałbym, że są energetyczne i oryginalne.

Jest jakaś szczególna moc w opowieściach młodych twórców grozy, którzy wychowali się na muzyce Metalliki i filmach w rodzaju *Blair Witch Project*. Nieważne, czy taki autor pochodzi z Portland w stanie Oregon (USA) czy z Manchesteru w Anglii (UK), albo z Poznania w Polsce (POLSKA!). (Tej energii brakuje niestety – co stwierdzam z przykrością – wielu zaprawionym w bojach weteranom ze świata literackiego horroru, którzy uważają, że pomysły i styl, jakie wykorzystywali w latach 80., będą idealnie pasować do czasów współczesnych, jeśli tylko budki telefoniczne zastąpi się telefonami komórkowymi, a kantory wymiany walut – bankomatami. Brak jej też specjalistom od modnej ostatnio supersłodkiej odmiany horroru. Wiecie, o czym mówię: nastolatki, zero problemów z trądzikiem, wampiry, wilkołaki, żywe trupy (!?!), które kręcą się i wdzięczą, sprawiając, że macie ochotę walnąć sobie kolejną dawkę insuliny).

Ci przebojowi młodzi autorzy, przykładowo: Cody Goodfellow (USA) i Gary McMahon (UK) czy Robert Cichowlas (no wiecie...), to mistrzowie kung fu współczesnego horroru. Preferowany styl walki: przygnieść i stłuc

na miazgę. Nie dla nich łaszenie się do inteligentów i nieszczęśliwie zakochanych nastolatków; nie dla nich – że powrócę do sportowej analogii – gnębienie przeciwnika nudnym, nieustannie powtarzonym lewym sierpowym stosowanym w boksie, ani też delikatne przierzucanie przeciwnika przez biodro preferowane w jujitsu.

No i ci młodzi autorzy, tacy jak Robert, są bez wątpienia oryginalni. Spójrzmy na fabułę tej książki: azteccy bogowie w Poznaniu! Wyobraźcie to sobie: gromada azteckich kapłanów odprawia swoje czary–mary przed poznańską katedrą! Albo: nowa piramida Boga Słońce pojawia się ni stąd, ni zowąd na głównej ulicy miasta! No dalej, niech ktoś się odważy powiedzieć, że zna już to wszystko z jakiejś innej książki.

Ale jest jeszcze jeden powód pozwalający mi z pełnym przekonaniem zapewniać Was, że *Szósta era* to dobra książka.

Tak się składa, że nabrałem przekonania o pisarskich umiejętnościach Roberta jeszcze zanim przeczytałem choćby słowo jego prozy. Cofnijmy się w czasie: W roku 2007 Robert przesłał mi następującego maila:

Nazywam się Robert Cichowlas i zajmuję się przeprowadzaniem wywiadów dla polskiego magazynu grozy „Czachopismo”. W związku z tym chciałem zapytać, czy zgodziłby się Pan na rozmowę ze mną. Bardzo cenię Pańską twórczość, a zwłaszcza opowiadania, i chciałbym zadać Panu kilka pytań, zarówno na temat pisarstwa, jak i na temat Pana życia prywatnego. Gdyby zechciał Pan na nie odpowiedzieć, byłbym niezmiernie wdzięczny!

Odpowiedziałem: „Tak”. Robert przeprowadził wywiad ze mną. I dzięki magii Internetu zaczęliśmy ze sobą regularnie korespondować. Robert zapytał mnie: „Dlaczego w Polsce nie opublikowano większej ilości Pana utworów?” (Kilka się pojawiło – w tym powieść, z wydaniem której wiąże się pewna dziwna historia... ale to już historia na inną okazję).

Odparłem: „Chciałbym żeby je opublikowano, ale...”.

Na to Robert: „Postaram się, żeby tak się stało”.

I postarał się.

Tak się stało.

A późniejsze recenzje i odzew na moje książki wydane w Polsce... Cóż, powiem tylko, że ilekroć przypominam sobie ten cytat z Biblii – „Tylko w swojej ojczyźnie, wśród swoich krewnych i w swoim domu może być prorok tak lekceważony” (Ewangelia wg św. Marka 6:4) – mam ochotę zabrać graty i przeprowadzić się z powrotem do kraju mojego prapradziadka. Jak nieraz powtarzała moja żona, Jane: „W Polsce ludzie cię rozumieją”.

Mamy tu do czynienia z najprawdziwszą cyberprzyjaźnią (czymś znacznie bardziej znaczącym niż facebookowe „Lubię”), która rozpoczęła się w 2007 roku. A kiedy się z kimś zaprzyjaźniasz, to go dobrze poznajesz.

Nie miałem wątpliwości, że Robert Cichowlas odniesie sukces jako autor horrorów. Posiada przecież tę jedną najważniejszą cechę, której nie może brakować żadnemu pisarzowi, który chce straszyć swoich czytelników: uwielbia horror.

Pisanie horrorów to biznes, w którym pewnych rzeczy nie sposób udawać.

Kiedy pracowałem nad wstępem do książki *On Writing Horror*, będącej swego rodzaju podręcznikiem dla osób zainteresowanych tworzeniem literackiej grozy, redagowanym przeze mnie dla Horror Writers Association, a wydanym przez Writer’s Digest Books, napisałem tam, że autorzy, którzy wspomogli tę publikację swoimi tekstami „otwarcie i bez wahania deklarują swoją miłość dla tych horrorowych klimatów, w jakich się poruszamy”.

A więc proszę bardzo: oto nowa powieść Roberta Cichowlasa, *Szósta era*.

Kiedy już skończycie ją czytać i gdy będziecie mówić: „Ależ to dobra książka”, możecie być pewni, że się z Wami zgadzam...

...i nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł ją przeczytać po angielsku.

Dobra książka.

Dobry pisarz.

Niezależnie od języka, w jakim tworzy.

Mort Castle 2011

Tłumaczenie Bartłomiej Paszyk

*I w ten sposób wynieśli ogromne piramidy
Słońca i Księżycy...*

*I narwali [to wszystko] Teotihuacan,
gdyż było to miejsce,
w którym chowano panów.*

*I mówili tak: „Kiedy umieramy,
nie umieramy naprawdę gdyż żyjemy [dalej],
powracamy do życia, żyjemy, budzimy się”.*

Maria Frankowska, Mitologia Azteków

ROZDZIAŁ 1

METAMORFOZA

– Jedź, palancie! – ryknął Dawid Galiński, uderzając otwartą dłonią w kierownicę.

Klakson zawył niczym obdzierane ze skóry zwierzę. Rozsadzający uszy dźwięk trwał tak długo, aż potężna ciężarówka na niemieckich numerach nie ruszyła wolno wzdłuż zakorkowanej ulicy. Wlokąca się za nią Omega Galińskiego ryczała jak dzika bestia. Co jakiś czas milkła na kilka sekund, ciężko wzdychała, a następnie wydzierała się ponownie.

– Na litość boską szybciej! – Galiński był coraz bardziej zirytowany. Spojrzał na zegarek. Za pięć ósma! Jeśli korek natychmiast nie ustąpi, spóźni się na zajęcia. Co będzie się równało z utratą jaj. Dzik wkurwi się nie na żarty. Głupi kutas. Ciekawe, jak zareagowałby, gdybym rzucił mu na stół wypowiedzenie i powiedział, co sędzę na jego temat, rozmyślał Galiński. Po czym uznał, że zastanawianie się nad tym wcale go nie pociesza. Zwłaszcza, że gdy już dojdzie do pracy, nie będzie mógł sobie pozwolić na wyrażenie myśli na temat swego przełożonego. Lubił tę robotę i wcale nie chciał z niej odchodzić. Powtarzał to sobie za każdym razem, kiedy dyrektor zachodził mu za skórę.

Kolejne zerknięcie na zegarek. Ósma. O rany...

Wściekłość zastąpiła rezygnacja. Powinien być już w szkole i siedzieć w klasie ze swoimi uczniami. Tymczasem tkwił pośrodku pieprzonej ulicy i jedyne, co mógł zrobić, to obrzucić wyzwiskami kierowców tych

wszystkich cholernych samochodów, które blokowały drogę. Tylko co by to dało?

Syknął pod nosem przekleństwo, po czym opuścił szybę do samego dołu i wystawił głowę za okno. Chciał zobaczyć, co się dzieje, jednak kierowca ciężarówki najwyraźniej wpadł na identyczny pomysł. Moloch na niemieckich numerach zatrzymał się tuż przy linii ciągłej, zasłaniając Galińskiemu widok.

– Jesteś największym palantem na tej zasranej planecie – jęknął nauczyciel i dodał: – Obyś uciął sobie kutasa piłą mechaniczną, oby ci starą przeleciał czarnuch z największą pałą na świecie, obyś szczuł...

Oparł głowę o zagłówek i wyprostował ręce. Cholerny poranek. Najpierw stłukł swój ulubiony kubek do kawy, co niestety poskutkowało zaplamieniem cappuccino Ulubionych džinsów. Potem, jak na złość, samochód nie chciał zapalić, a teraz jeszcze ten gówniany korek! Ścisnął kierownicę tak mocno, że zbieleły mu knykcie, a wewnątrz dłoni zapiekło. Próbował się uspokoić, bez skutku. Serce waliło mu jak młotem, a żołądek podchodził do gardła niczym oślizgła małża.

– Jak tak dalej pójdzie, zostanę tu do usranej śmierci!

Sięgnął do spoczywającej na siedzeniu pasażera skórzanej torby i wygrzebał z niej telefon komórkowy. Wybrał numer Kaśki i wtedy przypomniał sobie, że zaczynała zajęcia o dziewiątej. Niech to cholera. Miał właśnie zadzwonić do dyrektora – tego gburowatego buraka – kiedy niespodziewanie ciężarówka przed nim zaczęła się oddalać, pozostawiając za sobą chmurę czarnego dymu.

Galiński nieomal krzyknął z radości, wrzucił bieg i z ulgą wcisnął pedał gazu. Omega wyrwała do przodu i po chwili, niemal zderzak w zderzak, posuwała się za metalowym kolosem. Nauczyciel modlił się w duchu, aby ta irytująca i męcząca podróż wreszcie dobiegła końca.

Kiedy dojechał do Alei Wielkopolskiej, zauważył na skrzyżowaniu roztrzaskanego Fiata Pandę. Na pierwszy rzut oka można było wywnioskować, że kierowca najwyraźniej pomylił znak pierwszeństwa przejazdu ze znakiem stopu i wbił się w bok tramwaju, który zablokował przejazd. Niski, krępy policjant był tak blady, jakby jego twarz wyciosano z kości słoniowej. Robił jednak co mógł, aby zachować jako taki ład na drodze, lecz gdy nadjechał kolejny wóz policyjny i dwie karetki pogotowia, ścisk zrobił się jeszcze większy i funkcjonariusz musiał poczekać na wsparcie.

Spocony Galiński skręcił w wąską, jednokierunkową uliczkę i dojechał do kolejnego skrzyżowania. Przejechał przez torowisko i wjechał na Widną, na końcu której stał szary trzykondygnacyjny budynek liceum ogólnokształcącego imienia Generałowej Jadwigi Zamoyskiej. Wielka, nowo otynkowana budowla z trzema chudymi, wysokimi wieżami zawsze kojarzyła mu się z zamkiem Draculi.

Zaparkował na obszernym placu, między starym, rozklekotanym Taurusem dyrektora, a jaskrawozielonym skuterem któregoś z uczniów. Wysiadł zziębnięty. Wydobył z auta torbę i, przewieszając ją sobie przez ramię, zatrzasnął drzwiczki. Zapowiadał się pogodny dzień. I gorący. Na niebie nie było żadnych chmur, a w powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy.

Siedem po ósmej. Spóźniony, ale nie aż tak bardzo. Przy odrobinie szczęścia nikt się nie zorientuje. Wróć! Przy odrobinie szczęścia nie zorientuje się Moskal.

Ruszył szybkim krokiem w stronę głównego wejścia. Tuż przed drzwiami woźny – złota rączka, Marek Królicki – podlewał wysokie, obsypane mikroskopijnymi, barwnymi kwiatami krzewy. Na widok Galińskiego wyprostował się i machnął ręką na przywitanie.

– Spóźniony, co? – Wyszczrzył zęby w szczerym uśmiechu i starł pot z wysokiego, opalonego czoła.

– Troszeczkę – przytaknął Galiński. – Był wypadek na Alei Wielkopolskiej. Wszystko zakorkowane.

– Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, he? – Woźny pokiwał wolno głową, po czym skierował strumień wody na kolejny krzew.

– Niestety. Muszę pędzić.

– No to miłego dnia!

Będzie paskudnie miły, skomentował pod nosem Galiński. Wbiegł do głównego holu, a następnie skierował się do sali numer siedem, w której od kilku minut powinien prowadzić zajęcia. Kartkówkę z pajęczaków zrobię innym razem, pomyślał. Sto innych rzeczy również zrobię później.

W oddali dostrzegł uchylone drzwi do klasy. Miał nadzieję, że nikomu nie przyszło do głowy, aby o jego spóźnieniu poinformować dyrektora.

– Panie Galiński!

O wilku mowa, kurwa.

Galiński obrócił się na pięcie i zobaczył różową, nalaną twarz Andrzeja Moskala. Albo po prostu Dzika, jak nazywali go uczniowie. Patrząc na jego lekko odstające, maleńkie uszka, siwiejące, przetłuszczzone włosy i potrójny podbródek, zaczynało się wierzyć, że człowiek nie od mały, a od świni pochodzi.

– Panie Galiński, nie ma pan telefonu? – Dyrektor wcisnął ręce do kieszeni i wbił wzrok w nauczyciela. W jego małych, szarych oczkach tkwiła chęć wyładowania frustracji.

Galiński podniósł ręce w geście poddania, po czym odpowiedział krótko:
– Najmocniej przepraszam.

– To porządna szkoła, panie Galiński. Wszyscy mają obowiązek przestrzegać ustalonych zasad. Rozumie pan?

– Rozumiem. I raz jeszcze przepraszam. To przez ten korek...
Moskał westchnął ciężko.

– Korek – mruknął po chwili dyrektor.

– Właśnie. A wcześniej jakiś palant wbił się Fiatem Panda w tramwaj. –
Galiński chrząknął. – Ponad pół godziny stałem za ciężarówką, która...

– Panie Galiński, pan się tłumaczy?

– Nie. Tak. Chyba tak. Próbuję panu wyjaśnić, dlaczego się spóźniłem.
Miał ochotę chwycić go za gardło i ścisnąć dopóty, dopóki grubas nie
zacząłbym się dusić, a jego cholerne szurzenie oczka nie wyszłyby na
wierzch.

– Niech pan już idzie. Klasa na pana czeka. I proszę, więcej dyscypliny,
dobrze? A jeśli zaskoczy pana korek, chcę być pierwszą osobą, która się o
tym dowie.

– W porządku. – Galiński skinął głową.

Patrzył, jak Dzik zmierza w stronę swojego gabinetu, poruszając się tak
niezdarnie, że można było odnieść wrażenie, że mężczyzna za chwilę
potknie się o własne nogi i zwali na podłogę.

– Stary dureń – syknął Galiński.

Energicznie podciągnął rękawy swojej niebieskiej koszuli i skierował się
do klasy.

* * *

Na jego widok połowa uczniów wydała z siebie jęk zawodu.

– Wiem, że w waszych sercach zagościła nieopisana radość – rzucił
drwiąco i uniósł wysoko brwi.

Siedzący w pierwszej ławce Adrian Romski pochylił się nisko i wcisnął głowę między ręce. Biologia zdecydowanie nie była jego mocną stroną, choć z innych przedmiotów był o niebo lepszy i zbierał przyzwoite oceny.

– Miałem dziś ciężki poranek. – Galiński rzucił torbę na biurko i zmierzwił ręką mokre od potu włosy. – Postarajcie się mnie nie denerwować – dodał, siląc się na uśmiech. – Bo posypią się uwagi, nagany, jedynki, sami wiecie.

Nie uszło jego uwadze, że prawie połowa uczniów nie zjawiała się na zajęciach, jakby wyczuli, że chciał zrobić kartkówkę. Nie mógł powstrzymać się od komentarza.

– Wybuchła jakaś straszliwa epidemia, o której nie mam zielonego pojęcia?

Siedząca w drugiej ławce przy oknie Marysia Kryształowicz usiłowała stłumić śmiech. Chwilę potem parsknął Jacek Krzyżanowski, jej towarzysz. Od dłuższego czasu czuli do siebie miętę. Ile to już razy musiał zwracać im uwagę, aby nie macali się pod ławką? Za każdym razem czerwienili się ze wstydu, jakby przyłapano ich *in flagranti* w miejscu publicznym.

Lubił swoją klasę. Trzecia A – wyszczekani, sprytni i przebiegli. Zawsze wiedzieli, kiedy miał kaca albo dostał ochrzan od dyrektora. Jakby któryś z nich był niewidzialny i chodził za nim krok w krok, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Byli też inteligentni, przynajmniej większość z nich. I zgrani. Pierwszy raz zetknął się z klasą, w której nie było podziałów na kółka wzajemnej adoracji. Stanowili całość, niczym drużyna piłkarska przed ważnym meczem.

– Miała być dzisiaj kartkówka, ale przełożymy ją – odezwał się, siadając na obrotowym krześle.

Rozległy się westchnienia ulgi. Galiński otworzył torbę i wyciągnął niewielką, plastikową ruletkę. Na jej widok ucichły oklaski i ponownie dało się słyszeć jęk zawodu.

– Ja nie mam humoru, co jest całkiem zrozumiałe, bo miałem koszmarne poranne. Ale dlaczego wy nie macie humoru, tego nie wiem.

Ruletka zawsze wzbudzała w nich odrazę. Nie cierpieli, kiedy wprawiał ją w ruch i rzucał kulki. A jeszcze bardziej nie znosili momentu, w którym ruletka zastygała w bezruchu. W ten sposób wybierał osoby do „odpytki”. Metoda jednak była skuteczna i dzięki niej nie mogli mu zarzucić, że jest niesprawiedliwy, albo, nie daj Boże, mściwy.

Kiedy postawił zabawkę na biurku i dla większego dramatyzmu chwili wprawił w ruch tarczę z numerkami, kilka dziewczyn zapiszczało z przejęcia. Chłopcy, z kwaśnymi minami, czekali aż rzuci kulkę.

– Przygotowani? – zapytał Galiński, opierając się w fotelu.

– Panie profesorze, chciałabym niezobowiązująco poinformować, że mam dzisiaj urodziny – odezwała się skromnie Krysia Milewska, szczupła blondynka o wielkich, niebieskich jak u Barbie oczach. Z pozoru równie błyskotliwa jak lalka, w rzeczywistości jednak nie brakowało jej niczego – ani urody, ani inteligencji. Jej charakterystyczne uwodzicielskie spojrzenie sprawiało, że człowiek chodził rozkojarzony. Była niezłą humanistką, przewodniczącą klasy i zdecydowanie jedną z ładniejszych dziewczyn w liceum.

Nauczyciel spojrzał na nią dobrotliwie, po czym nagle skrzywił się.

– Urodziny? To wymówka.

– Tak, proszę pana. Nie, proszę pana. W żadnym razie.

– Czyli?

– To nie wymówka, ale szczególna okoliczność. – Uśmiechnęła się.

– Które to urodziny?

– Siedemnaste.

– Zatem wszystkiego najlepszego, młoda damo.

– Dziękuję. A czy... – przerwała na chwilę i zachichotała. – A czy będę miała dzisiaj ulgę?

Ktoś z tyłu rzucił:

– Lizuska.

Sympatyczna dziewczyna, pomyślał, niechcący skupiając wzrok na jej dużych piersiach, które ściśnięte pod materiałem bawełnianej koszulki aż prosiły o oswobodzenie.

Chętnie bym ci ulżył...

– Ulgę? – Chrząknął, mając nadzieję, że nie dostrzegła jego zmieszania.

– Tak, dzisiaj chyba mogę potraktować cię wyjątkowo.

Ktoś głośniejsz przełknął ślinę. Ktoś inny zaszurał nogami.

– Kto jeszcze obchodzi dzisiaj urodziny? – zapytał Galiński, wrzucając kulki do wirującej ruletki. Ujrzał prawdziwy las rąk.

– Tak myślałem. – Szeroki uśmiech niemal przeciął jego twarz na pół.

Kiedy tarcza ruletki zatrzymała się, zapanowała absolutna cisza. Marysia i Jacek prawie wstali z krzeseł, aby zobaczyć, na kogo dziś padło.

– Siedem – rzekł twardo Galiński. – Zatem chyba pani Gurzyńska, mam rację?

Uczniowie obrócili się w stronę ławki, w której zwykle siedziała wywołana do odpowiedzi koleżanka. Teraz miejsce świeciło pustką. Dziewczyna najwyraźniej spękała przed sprawdzianem. Albo spóźniła się na wcześniejsze zajęcia z Moskałem i facet wypatroszył ją jak rybę.

– Nie ma pani Gurzyńskiej. W porządku. – Galiński starał się, aby jego głos brzmiał nad wyraz poważnie, choć w głębi duszy rechotał, rozbawiony powagą swoich uczniów. Humor nieco mu się poprawił, choć do psychicznej nirwany było daleko.

– Wie, kiedy wykręcić się z imprezy – skomentował Hubert Jasiński, chudy jak szczapa, o bujnych, kruczoczarnych włosach i jastrzębim nosie. Wyglądał na bardzo zawiedzionego. Tymczasem Galiński ujawnił kolejny numer: – Dwanaście.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, a potem Jasiński odchylił do tyłu głowę i zaklął pod nosem: – Cholera, wiedziałem. Czułem to.

– W kościach, co? – zapytał, nie bez zadowolenia, jego kolega z ławki. – Powinieneś zostać jasnowidzem. Zbiłbyś ładny szmal.

– Dawaj, dawaj!!! – krzyknął ktoś. Rozległy się gwizdy, a potem głośne westchnienia, podkreślające ulgę.

– Za jakie grzechy? – mamrotał Jasiński. – Bardzo źle się dzisiaj czuję. Boli mnie ucho.

Galiński poprosił, aby chłopak podszedł do biurka.

– Nie denerwuj się – dodał, gdy ten wstawał z ociąganiem. – Kilka pytań i będzie po sprawie. Nie będę krzyczał, więc twoje ucho bardziej na pewno nie ucierpi.

– Sam nie wiem, czy jest sens, abym...

– Jasne, że jest sens. Pytania będą łatwe, ponieważ doceniam to, że się dzisiaj zjawiliście. A zapytać muszę, stary – Galiński zwrócił się bezpośrednio do Huberta – mam mało ocen.

– Zawsze pan tak mówi. – Jasiński westchnął.

– Bo zawsze mam mało ocen.

Rozległ się śmiech, a potem padło pierwsze pytanie: – Poopowiadaj mi trochę o pajęczakach.

Chłopak wybałuszył oczy, jakby nie do końca pojął, że pytanie zostało skierowane właśnie do niego. Ostatnio omawiali cykle rozwojowe poszczególnych stawonogów. Niezbyt smaczny temat, toteż wszyscy, bez wyjątku, nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie zamkną ten dział biologii.

Najbardziej nie znosili pajęczaków. Wzbudzały w nich odruchy wymiotne, wywoływały na pół udawane drgawki, mające na celu pokazać jak bardzo opowiadanie o skorpionach, tarantulach, skoczkach, kleszczach, bagnikach, czy czarnych wdowach nadszarpuje ich nerwy. Nieźli aktorzy, urodzeni ściemniacze.

– No – ponaglał Galiński, spoglądając na roześmiane twarze uczniów. – Pajęczaki. Takie robale. Wiesz coś o nich? Co to jest *Araneus diadematus*?

Jasiński zmarszczył brwi, po czym pokiwał głową.

– Coś słyszałem. To nazwa łacińska.

– Świetnie. Jaka nazwa łacińska?

– Pajęczaka.

– Pająka.

– Właśnie.

– Jakiego?

– Przyznam, że nie pamiętam.

– O pająku krzyżaku słyszałeś?

– Pewnie, że słyszałem.

– No widzisz. Krzyżak ogrodowy to *Araneus diadematus*. Najpopularniejszy wśród krzyżaków. Powinieneś wiedzieć, jak się fachowo nazywa. Będzie z tego sprawdzian. Mam nadzieję, że nadrobisz zaległości. A teraz opowiedz mi o pajęczakach.

– Dzielą się na pająki, roztocze...

– Zostaniesz arachnologiem, Jasiński! – wyrwał się jego kolega z ławki. Kompletnie ogłupiały, chłopak spojrzał na swojego nauczyciela.

– Mówiłem, że to nie ma sensu. Nie przygotowałem się.

Galiński obruszył się:

– Ech, chłopaku... Sądziłem, że jednak sobie poczytałeś na ten temat. To było dopiero pierwsze pytanie! Chyba się tak łatwo nie poddasz, co?

– Pan gra na moich nerwach – odparował Hubert. Bawiąc się ruletką, Galiński udał zamyślnego, po czym zapytał: – Skorpiony. Bardzo jadowite pajęczaki, nie sądzisz? Uczniowie przypatrywali mu się z uwagą. Ich nauczyciel totalnie wyluzował. Zwykle był raczej spięty i małomówny. Owszem, także sympatyczny i skłonny do żartów, ale to?... Nauczyciel w skupieniu spoglądał na Jasińskiego.

– No to jadowite czy nie? – ponaglił.

– Jadowite.

– Co mają na końcu odwłoka?

– Kolec.

– Jaki kolec?

– Jadowy?

– Mnie pytasz?

– Niech będzie, że jadowy.

– Niesamowita wiedza. – Galiński udał zdumionego.

Rozładował własne napięcie i mógł wreszcie normalnie poprowadzić zajęcia. Ta sielanka musiała się skończyć. Konkretne pytanie, konkretna odpowiedź. Lubił z tymi dziećmi żartować, lecz co za dużo, to niezdrowo, jak w kółko powtarzała mu Kaśka, gdy opowiadał o relacjach między nim a uczniami z trzeciej A. Owiną cię wokół palca, mówiła, tak jak ja to zrobiłam. Chciałbyś tego?

Kasiu, niech moc będzie z nami, pomyślał, ochoczo przywołując wspomnienia z ostatniego weekendu. Spędzili go w niewielkiej miejscowości wypoczynkowej Błaziejewko, leżącej w odległości trzydziści kilometrów od Poznania. Spacerów brzegiem jeziora, wspólne kolacje przy świecach, łagodna muzyka – wszystko to dało im wyciszenie, którego tak bardzo potrzebowali.

Spojrzał za okno. Woźny przymierzał się do odpalenia ogromnej kosiarki do trawy. Jednak za każdym razem, gdy usiłował włączyć silnik, maszyna kaszłała jak astmatyk i cichła. Kiedy wreszcie zaskoczyła, Galiński prawie podskoczył na krześle.

– Zamknijcie okna – zwrócił się do Janka Rysia i Darka Malickiego, dwóch atletycznie zbudowanych chłopaków, którzy z miejsca wykonali polecenie nauczyciela. – Hubercie, wróćmy do pytań. Rozgrzewkę masz już za sobą.

Chłopak przejechał dłonią po włosach, wyraźnie zmartwiony. Czuł, że ta zabawa zaraz się skończy i dostanie pałę.

– Omów cykl rozwojowy stawonogów. Ogólnie.

Najogólniej, jak tylko potrafisz.

Galiński pociągnął nosem i zamilkł, oczekując odpowiedzi. Ta jednak nie padła. Jasiński stał ja słupek soli i milczał.

Zaskoczony nauczyciel podniósł brwi. Spojrzał na ucznia. Miał właśnie ponowić pytanie, kiedy spostrzegł, że twarz Jasińskiego nagle pobladła. Chłopak niespodziewanie zacisnął pięści, a potem przygryzł dolną wargę tak mocno, aż na jego lekko pożółkłych zębach pojawiła się krew.

– Hubert?

Wszyscy uczniowie, na czele z wyraźnie poruszonym Galińskim, obserwowali jak twarz Jasińskiego robi się coraz bardziej biała. Po kilku długich, przepełnionych napięciem, sekundach, powieki chłopaka zadrżały, a następnie przysłoniły ciemne niczym węgle oczy.

– Hubert, wszystko w porządku? Hubert? – Ktoś w sali zakaszłał, a potem znowu zapanowała grobowa cisza.

– Hubert? – Galiński poruszył się za biurkiem, zaniepokojony zachowaniem swojego ucznia. Ten jednak nie odpowiadał. Wciąż stał sztywno przy biurku i zaciskał pięści. Po chwili z wnętrza jego prawej dłoni

wyplęła strużka krwi. Spłynęła po małym palcu, by z ledwie słyszalnym plaśnięciem rozbryzgać się na podłodze. A po niej spłynęły kolejne.

Galiński poderwał się z krzesła, lecz zaraz zastygł w bezruchu, czując jak serce wali mu niczym młot kowalski.

Usta Jasińskiego zaczęły się rozchyłać – początkowo nieznacznie, bardzo powoli. Jakby chłopak obawiał się, że gwałtowniejszy ruch może wywołać niewyobrażalny ból. Gdy otworzył je na całą szerokość, eksponując poźółkłe zęby i język, rozległ się cichy, przywodzący na myśl gotującą się zupę, gulgot. Trwał nieprzerwanie, dopóki Galiński nie położył dłoni na ramieniu ucznia. Wówczas wszystko ucichło.

Nauczycielowi zaschło w gardle. Przez chwilę sądził, że to dowcip. Że Jasiński improwizuje, aby odegrać się za odpytkę. Jednak gdy dostrzegł, jak ten desperacko wbija w niego wzrok, zorientował się, że to nie żart.

Żrenice licealisty stały się czerwone niczym ślepia strzygi, pozbawione ludzkich uczuć i absolutnie złowrogie.

Galiński cofnął się odruchowo. Potem poczuł najprawdziwszy strach. Strach, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Miał wrażenie, że istota, która stoi przed nim, to nie Hubert Jasiński z trzeciej A. To „coś”, co przed nim stało było zimne, roztaczało wokół siebie aurę szaleństwa i chęć zagłady.

Co jest, do diabła?

Pulchna dziewczyna z ostatniej ławki – nieświadoma tego, co się naprawdę dzieje, wstała i melodyjnym, nie pasującym do sytuacji, głosem zaproponowała, by zawołać higienistkę.

Galiński nie odezwał się. Sparaliżowany, pokiwał tylko głową, po czym bezwiednie cofnął się o kilka kolejnych kroków. Wzrok chłopaka był niezwykle hipnotyzujący. Jasiński przez kolejną minutę posyłał mu

piorunujące spojrzenie. Nie zamrugał ani razu. W końcu uśmiechnął się nieznacznie, jakby znudzony tą całą zabawą.

– Jego oczy... – zauważyła Marysia Krzyształowicz. – Zobaczcie.

Zanim ktokolwiek ruszył się z miejsca, Jasiński spuścił nisko głowę i zajęczał. Nie było to jednak zwykłe ludzkie jęknienie. Dźwięk zabrzmiał, jak gdyby pochodził z innego wymiaru, z nieznanego człowiekowi otchłani. Z czasem przerodził się w śpiew, bardzo cichy, niedorzecznie spokojny. Początkowo nie sposób było dosłyszeć słów. Nabrały sensu dopiero po zdającej się trwać całe wieki chwili.

Choć w jadeicie rzeźbieni – rozpadliśmy się.

Choć ze złota kuci – czas nas zabrał.

Choć z piór Quetzala – ślad po nas zaginął.

Nie zawsze byliśmy na tej ziemi.

Teraz na zawsze tu przybyliśmy.

Nagle chłopak zamilkł. Galiński poczuł lekkie drżenie podłogi pod stopami. Jednocześnie zdawało mu się, że słyszy głęboki, odległy grzmot. Zrobiło mu się słabo, przed oczami stanęła czarna mgła. Pomyślał, że zaraz straci równowagę. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Mgła rozwiała się. Żrenice Jasińskiego wróciły do pierwotnego stanu. Znowu były ciemne, prawie czarne.

Chłopak stał naprzeciwko nauczyciela i sprawiał wrażenie totalnie oszołomionego. Był spocony i rozdygotany. Kiedy spojrzął na swoje dłonie, wstrzymał oddech. Zadrżał mu podbródek.

– Krew... – wydusił z trudem.

A potem, całkiem otępiały, podszedł do pierwszej ławki. Oparł się o jej krawędź. Wyglądał jakby miał za moment głośno zapłakać albo od razu rozpaść się na milion kawałków. Ze wstydu, przerażenia – Bóg jeden raczył wiedzieć.

Galiński nie wiedział, co robić. Wciąż stał nieruchomo, pomimo iż zdawał sobie sprawę, że to „coś” odeszło. Hubert Jasiński znowu był sobą – to nie podlegało dyskusji. Podobnie jak nie ulegało wątpliwości, że to, co wydarzyło się przed chwilą nie było głupim żartem, chwilową niedyspozycją chłopaka czy objawem zdenerwowania przed odpytką.

Zabrzmiął dzwonek na przerwę.

Kilka osób wstało, niektórzy powoli. Niepewnie, zaczęli opuszczać salę, inni wciąż siedzieli w swoich ławkach i przypatrywali się Jasińskiemu. Na ich twarzach gościły niepokój i trwoga.

– Zaprowadzę cię do higienistki – powiedział Galiński. Chłopak spojrzał na niego nieprzytomnie. Jego dłoń nadal obficie krwawiła.

– Co się stało? Co ja...

– Porozmawiamy o tym. Teraz musi cię opatrzyć higienistka.

Chłopak skinął głową. Mechanicznie. Za oknem woźny wciąż kosił trawnik, z nieba lał się żar porannego słońca.

* * *

Przygnębiony opuścił gabinet lekarski, zostawiając Jasińskiego pod opieką Anny Modrzejewskiej. Poinformował ją, że chłopak skaleczył się cyrklem. Wcześniej taką właśnie wersję wydarzeń ustalił z uczniem, zapewniając go, że niedługo o wszystkim pogadają.

Hałas, jaki panował w holu rozbijał gromadzące się w jego głowie myśli. Przepychając się między licealistami, dotarł do toalety. Odkręcił kurek z zimną wodą i obmył twarz. Przeszyły go lodowate dreszcze. Zatrząsł się, jak chory na malarię.

Jako dziesięcioletni dzieciak widział ducha. Nastąpiło to krótko po śmierci bliskiego mu wujka. Był wspaniałym człowiekiem. Często zabierał Galińskiego na ryby, uczył go zarzucać wędkę, nakładać robaka na haczyk, a kiedy mieli już pełne siatki leszczy, płoci i okoni, wracali do domu leśną ścieżką, szukając ślimaków. Zostali naprawdę dobrymi kumplami. Aż w końcu wujek Galińskiego zachorował. Rak, jakżeby inaczej. Najbardziej paskudna, brutalna i nie znająca litości choroba. Dwa miesiące i było po wszystkim. Dwa dni po pogrzebie, wracając ze szkoły, Galiński zobaczył wujka, który stał przy drzewie i obserwował go. Miał na sobie swój ulubiony kapelusz, czarny garnitur i nieskazitelnie białą koszulę. Uśmiechał się i machał do chłopca ręką.

Galiński wiedział, że to, co widzi, nie może dziać się naprawdę. Wujek był martwy, ale z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nadal mu się ukazywał. Dzień w dzień, przez kolejny miesiąc. Za każdym razem, kiedy opuszczał budynek szkoły, czuł podniecenie i strach. Nie dlatego, że bał się wujka, ale dlatego, że doznawał czegoś fantastycznego, niewyjaśnionego, czegoś, co nie każdy ma możliwość doświadczyć.

Dziś w szkole znowu poczuł to samo. Podniecenie i strach. Nieustannie rozmyślał o tym, co stało się z Jasińskim.

Po drodze do pokoju nauczycielskiego spotkał Kasię, średniego wzrostu blondynka o przenikliwym spojrzeniu szarych, głęboko osadzonych oczu, małym, zadartym nosku i pełnych ustach, które często podkreślała błyszczącym. Tego dnia miała na sobie obcisłą, kremową spódniczkę i

czerwoną, bawełnianą koszulkę z wizerunkiem Snoopy'ego na piersiach. Wyglądała jak jedna z uczennic.

Poznali się przeszło rok temu, kiedy Kaśkę zatrudniono jako nauczycielkę. Od razu znaleźli wspólne tematy. Była gadatliwa, co raczej małowównemu Galińskiemu, bardzo odpowiadało. Poza tym, zawsze zjawiała się w chwilach, gdy chciał z kimś pogadać. Pomiędzy nimi wytworzyło się swego rodzaju przyciąganie, które z każdym dniem zbliżało ich do siebie. W końcu zaprosił ją do restauracji. Niby nic oryginalnego, ale spędzili ze sobą doskonały wieczór. Potem pojechali do niego. Nie, nie kochali się wtedy. Przegadali pół nocy, powoli upijając się winem. W końcu po prostu zasnęli. Kiedy się obudził, Kaśka delikatnie lizała jego ucho. Miała na sobie jedynie majteczki i buty na obcasie.

Teraz uśmiechnęła się na jego widok.

– Masz chwilkę? – zagadnęła. Zatrzymał się.

– Teraz raczej nie – odparł zamyślony.

Nie zamierzał być niemiłym, ale nie chciał z nią rozmawiać. Wciąż widział oczy Jasińskiego. Czerwone jak krew.

To nie było przewidzenie...

Kasia skrzywiła się zawadiacko, początkowo nie dostrzegając, że Galiński ma zły humor.

– Chciałam pogadać o naszym wypadzie do kina. Mieliśmy wybrać film.

Popatrzył na nią, lecz nie odpowiedział.

Ten nimb tajemniczości. Nimb grozy. Tam coś było. We wnętrzu Jasińskiego. W jego duszy... W jego...

– Halo? Słyszysz mnie?

Ocknął się.

– Tak. – Potrząsnął głową. – Słyszę. Film. Mieliśmy wybrać tytuł...

– Hej, co ci jest? Co to za dziwny nastrój? Stało się coś?

– Chyba tak.

– Chcesz o tym pogadać?

Zaprzeczył kręcąc głową. Koniecznie musiał napić się kawy i pomyśleć. W ciszy, spokoju. Nie miał zbyt wiele czasu. Za kilka minut zaczynał kolejne zajęcia.

Bez słowa ruszył wzdłuż holu. Był wytrącony z równowagi i przerażony. Bił się z myślami. Dziwnymi i niezidentyfikowanymi.

Kiedy poczuł dotyk chłodnej kobiecej dłoni, wstrzymał oddech.

– Dawid, na Boga, co jest grane? – Usłyszał jej głos. Ledwo za nim nadążała. – Powiesz mi?

– Nie teraz.

– Dlaczego nie teraz?

– Muszę pozbierać myśli. Jestem wykończony.

– Raczej zdenerwowany.

– Być może. Tak, zdenerwowany też.

– Czym?

Zatrzymali się przed pokojem nauczycielskim. Obok gromadka licealistów śmiała się do rozpuku, a jeden z nich – wysoki, ostrzyżony na jeża chłopak – co chwilę podskakiwał i robił głupie miny, naśladując Jima Carreya. Galiński nie cierpiał Carreya. Zdecydowanie wolał starego, dobrego Benny'ego Hilla.

– Kasiu, porozmawiamy o tym później, dobrze? Muszę coś przemyśleć. I napić się kawy.

Zawahała się. Kosmyk włosów opadł jej na czoło, lecz nie pokwapiła się, aby go zaczesać.

– Później, to znaczy kiedy? Nie możesz od razu powiedzieć, co jest grane? Tak, abym nie musiała się denerwować? Za chwilę mam zajęcia z

klasą maturalną. Chciałabym być skoncentrowana. Źle się czujesz? Jesteś blady.

Znów się zamyślił. Tym razem jednak nie trwało to zbyt długo.

– Coś stało się na zajęciach, które przeprowadziłem.

– Co takiego?

– Nie wiem. Jeden z moich uczniów...

– Tak?

– On... Nie wiem, jak mam ci to wyjaśnić.

– Po prostu wykrztuś to z siebie.

Oparł się o ścianę.

– To nie takie proste. Coś w niego wstąpiło, rozumiesz? To nie żart. Coś w nim było. Jakby...

Kasia wbiła w niego wzrok. Nie odezwała się. Galiński wzruszył ramionami.

– Muszę poukładać myśli, wiesz?

– Jestem z tobą – powiedziała łagodnym głosem. Chwyciła go za rękę. – To pewnie przemęczenie. Za dwa tygodnie kończy się rok szkolny. Odpoczniemy. Oboje. Zaplanujemy sobie jakiś wyjazd, dobrze? Tym razem może rzucimy się na jakąś zagraniczną ofertę, co ty na to? Może Rodos? Słyszałam, że jest tam pięknie. Trochę wieje, ale warto pojechać. Mam znajomą, która pracuje w biurze podróży, mówiłam ci? Mogłaby nam wybrać jakąś ciekawą ofertę.

Zdał sobie sprawę, jak idiotycznie zabrzmiało to, co powiedział. „Coś w nim było”! Mógł jeszcze poprosić Kaśkę o krucyfiks i wiaderko wody święconej. Gdzieś w jego wnętrzu rozbrzmiał sardoniczny rechot. Trwał przez dłuższą chwilę, a potem ucichł.

– Tak, masz rację – bąknął, przełykając ślinę. – Mówisz, że Rodos będzie w porządku?

– Nie słuchasz mnie, co?

Wariuję, pomyślał.

– Dobrze, idź na kawę. – Kaśka pocałowała go w policzek. – Może rzeczywiście ci pomoże.

– Tak. Tak zrobię.

– A jak nie pomoże, to ja ci pomogę. Wieczorem. Możesz zacząć się bać!

* * *

Po powrocie do domu stan roztargnienia i podenerwowania nie ustąpił. Jedyne, na co miał ochotę, to położyć się do łóżka i zasnąć. Wiedział jednak, że nie zdoła zmrużyć oka. W jego umyśle wciąż tkwił się obraz Jasińskiego – drżącego i gulgoczącego, jakby jego gardło zalały litry wody.

Aby zdławić natrętne myśli, odkurzył dywan w salonie i naprawił kran w łazience. Posprzątał nawet w garderobie, pełnej niepotrzebnych rzeczy gromadzonych latami przez nieżyjącego już ojca. Były tam dwa stare surduty, pamiętające jeszcze czasy drugiej wojny światowej, kilka garniturów, zmechacone spodnie oraz pięć par znoszonych i zakurzonych butów. W głębi garderoby stało kilka butelek po winie domowej roboty i karton z kolekcją kryminałów Agaty Christie. Wszystko, prócz książek, trafiło na śmietnik.

Następnie Galiński wpadł na pomysł przygotowania kolacji, zakładając, że Kasia wpadnie do niego wieczorem. Ile to już razy prosił, aby w końcu z nim zamieszkała? Zawsze odpowiadała tak samo, że nie jest jeszcze gotowa. Był bezradny. Nie wiedział, co ma zrobić, by przekonać ją, że przeprowadzka wyjdzie im obojgu na dobre. Miał trzydzieści sześć lat, ona

trzydzieści jeden. Czy to nie odpowiedni wiek na podjęcie ważnych życiowych decyzji? Znali się od ponad pięciu lat, parą byli od czterech. Kawał czasu. Nie zarabiali kokosów, lecz nie musieli się tym przejmować. Galiński był nieźle zabezpieczony. Rodzice zostawili mu w spadku trochę papierów wartościowych i cenną biżuterię. Matka uwielbiała świecidełka. Składowała je w wielkiej, pozłacanej szkatule, która teraz kurzyła się pod łóżkiem i tylko czekała na moment, aż ktoś się nią zainteresuje.

Mogli żyć jak pączki w maśle. Gdyby tylko Kaśka przełamała się, spakowała swoje rzeczy i przeprowadziła do niego.

Stół w salonie był zastawiony, jedzenie zaczynało stygnąć. Kasia uwielbiała spaghetti w sosie gulaszowym, toteż przyrządził wszystko według jej przepisu. Nie zjawiała się jednak, a Galińskiego znów dopadły czarne myśli.

Siedział przy stole, nerwowo przestawiając z miejsca na miejsce półmisek z makaronem. Nie miał apetytu. Mijały kolejne kwadransy. Był zły. Na Kaśkę i na siebie. Nie potrafił się skoncentrować. Wreszcie poszedł do kuchni po worek foliowy. Pieprzyć spaghetti. Pieprzyć to wszystko. Kiedy otworzył szafkę, zabrzmiał dzwonek telefonu. Szybko odebrał.

– Dawid? – Usłyszał jej głos.

– Cześć – burknął, zmierzając do salonu. – Czekałem na ciebie.

– Przepraszam. Miałam istny młyn na kółku filmowym. Dzieciaki wypożyczyły jakiś trzyipółgodzinny film science fiction i musiałam zostać, aby go z nimi obejrzeć.

Westchnął ciężko, po czym usiadł na miękkiej pufie.

– Jesteś w domu?

– Tak, mama jest chora. Chyba się przeziębila. Kaszle jak diabli i ma wysoką gorączkę.

– Czyli nie przyjedziesz.

– Dzisiaj wolałabym z nią zostać. Sam wiesz, jak to jest.

Zawsze to samo, pomyślał zrezygnowany. Kiedy ona wreszcie zrozumie, że tak dłużej być nie może? Mama to, mama tamto. A ich wspólne plany i potrzeby? Jeśli mają stworzyć udany związek, mamusia musi zejść piętro niżej w hierarchii... Miał ochotę jej to powiedzieć, nie pierwszy raz zresztą. Zabrakło mu jednak odwagi. Uznał, że przyjdzie czas na stanowcze wyrażenie swego zdania. Póki co byli tylko w luźnym związku. Mogłaby jego uwagi odebrać jako atak, a nie chciał niczego spieprzyć.

– A ojciec? – zapytał. – Mógłby z nią zostać.

– Tata pojechał na ryby – odparła. – Wróci pewnie za dwie albo trzy godziny. Obiecuję ci, że jutro do ciebie przyjadę. Wybierzemy film i pójdziemy do kina, co ty na to? Albo inaczej, ty wybierzesz film. Może być najkrwawszy horror, najbrutalniejszy thriller. Obiecuję, że nie będę marudzić. A po powrocie do domu przyrządzimy wspólnie smaczną kolację.

Spojrzał na stół, na nietknięty sos gulaszowy i pełną misę makaronu.

– Jasne – burknął. – Świetny pomysł.

Zerknął na swoje odbicie w lustrze, wiszącym na drzwiach mahoniowej szafy. Pod brązowymi oczami pojawiły się podłużne, sine place. Zazwyczaj zaczesywane do tyłu włosy, teraz opadały na wysokie, przecięte zmarszczką czoło. Miał spieczone usta, na prawym policzku widniała czerwona krostka po ukąszeniu komara.

– Opowiesz mi wreszcie dokładnie, czym tak bardzo przejąłeś się w pracy? – spytała niespodziewanie.

Z początku nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Przymknął oczy, starając się po raz kolejny nie przywoływać twarzy Jasińskiego. Zbyt długo rozmyślał o tym wszystkim i czuł się wyczerpany.

– Zdaje się, że już o tym rozmawialiśmy – uciął.

– No tak, ale mieliśmy wrócić do tematu.

– Nie przez telefon.

– Nie chcę naciskać, ale... – urwała na moment. W słuchawce coś zatrzeszczało, zapiszczało, po czym znowu zatrzeszczało. – Byłeś błąd jak ściana, Dawid – dodała. – Jakbyś się czegoś wystraszył.

– Mówiłem ci już, czego się przestraszyłem. – Miał ochotę opowiedzieć jej w szczegółach o tym, co zaszło w jego klasie. Wyrzucić z siebie ten cholerny lęk i niepewność. Zdawał sobie jednak sprawę, że w tym przypadku powinien albo natychmiast zmienić temat, albo po prostu milczeć.

Weź się w garść, Dawidzie, nakazał sobie w duchu.

– Chłopak dziwnie się zachowywał – odparł bez przekonania. – Bolała mnie głowa, panowała jakaś dziwna atmosfera. Jakby nagle wszystkich dopadła apatia. Miałaś rację mówiąc, że to zmęczenie. Nie ma o czym mówić.

Nastąpiła długa cisza.

– Tak uważasz? – spytała wreszcie Kaśka.

– Tak, skarbie. Właśnie tak uważam.

Przez kilka kolejnych minut rozmawiali o szkole. Kaśka od niedawna uczyła języka polskiego, lecz jej ambicje sięgały znacznie wyżej. Zamierzała zrobić doktorat z nauk humanistycznych i podjąć pracę na uczelni. Nie lubiła klimatu, który panował w szkołach średnich. Rozwydrzone dzieciaki, hałas na przerwach i stuknięci dyrektorzy doprowadzali ją do obłądu. Była typem szarej myszki, lubiącej godzinami przesiadywać w bibliotece, albo w kameralnej kawiarni daleko od centrum miasta.

Kiedy Galiński odłożył słuchawkę, wziął głęboki oddech i zwiesił głowę. Wiszący na ścianie antyczny zegar wybił dziesiętnastą. Wiele by

dał, aby usłyszeć czyjeś kroki na piętrze. Odwrócić głowę i zobaczyć parkę dzieciaków. Niezdarnie zeskakiwałyby ze schodów, rozweselone, ciepłe, pachnące dzieciństwem. Podbiegłyby i siadły mu na kolanach: „Tatusiu, jesteś zmartwiony?”, wyobraził sobie, jak pytają. Pewnie nie widziałyby, co odpowiedzieć. Ale nie musiałyby nic mówić. Mógłby po prostu wziąć je na ręce, poczuć zapach ich skóry, pogłaskać po główkach.

A potem jego głowę wypełniły zupełnie inne myśli, w których usłyszał przeraźliwy, wzbudzający odrazę, gulgot. Wydobywał się z gardła omamionego jakąś tajemniczą, złowrogą siłą Jasińskiego.

ROZDZIAŁ 2

ŚMIERĆ W SZATNI

Wjeżdżając na parking, zobaczył trzy radiowozy i dwie karetki pogotowia. Samochody stały jeden obok drugiego, tuż przed głównym wejściem do budynku szkolnego. Na dachach samochodów szaleńczo miały światła. Po chwili Galiński usłyszał jęk syreny i na parking wjechał kolejny wóz policyjny. Z piskiem opon zatrzymał się przed obrośniętą bluszczem ścianą. Syrena ostatni raz donośnie zawyła, potem nagle ucichła. Z radiowozu wyskoczyło dwóch rosyjskich funkcjonariuszy. Jeden z nich miał małe rozbiegane oczka, długie wąsy i przypominał Andy'ego Sipowicza z serialu *Nowojorscy gliniarze*. Drugi policjant był niski i chudy jak patyk. Miał siwe, lekko kręcone włosy i bulwiasty nos. Zatraskując drzwi, skinął porozumiewawczo do swojego kolegi, po czym obaj wbiegli do wąskiego holu głównego.

Galińskiemu serce podeszło do gardła. Wjechał na pierwsze wolne miejsce parkingowe i zgasił silnik. Jeszcze przez chwilę trzymał ręce na kierownicy. Gapił się na włosy na swoich nadgarstkach. Dostał gęsiej skórki.

W końcu wyskoczył z Omegi i, zarzucając torbę na ramię, pognął w stronę wejścia. W drodze do pokoju nauczycielskiego zaczęły go dręczyć złe przeczucia. Bolesne gniesienie w żołądku sprawiło, że musiał się na chwilę zatrzymać i wziąć kilka głębokich wdechów. Nie licząc dwóch

skąpo odzianych dziewczyn z drugiej A, cicho rozmawiających przy oknie, hol był pusty i zatrważająco cichy.

W pokoju nauczycielskim również świeciło pustkami. Na niektórych stolikach stały kubki z niedopitą herbatą. Rzucił torbę na swoje krzesło, po czym z powrotem wyszedł na korytarz. Drzwi od gabinetu dyrektora były uchylone. Bez zastanowienia wszedł do środka. Pomieszczenie było niewielkie, ale urządzone ze smakiem. W rogu stało czarne biurko, ponad dwumetrowy fikus rzucał groteskowe cienie na wysoką szafę, której półki wypełnione były pożółkłymi kopertami, zniszczonymi segregatorami i zeszytami. W powietrzu unosił się łagodny zapach lawendy, wymieszany z kwaśnym odorem potu.

Andrzej „Dzik” Moskał stał przy otwartym oknie i nerwowo bębnił palcami o parapet. Miał na sobie szarą połówkę i ciasne, jakby o numer za małe, spodnie. Na widok Galińskiego westchnął i posłał mu długie, tajemnicze spojrzenie.

– Panie Galiński – odezwał się w końcu, a jego głos wydawał się pozbawiony jakichkolwiek emocji. – Widzę, że dzisiaj przyjechał pan prawie godzinę przed czasem.

– Co się stało? – spytał nauczyciel.

Dzik odsunął się od okna, wcisnął dłonie do kieszeni i wolno podszedł do biurka. Przez dobrą minutę wbijał wzrok w walające się na blacie papierzyska, jakby nie był pewien, co powinien z nimi zrobić. Zakaszłał i odpowiedział grobowym tonem: – Jeden z pańskich uczniów nie żyje.

Galiński zaniemówił. Poczuł się tak, jakby ktoś rąbnął go w głowę kijem bejsbolowym. Otworzył usta, jednak nie potrafił sklecić zdania.

– Kto? – wykrztusił.

– Niejaki Adrian Romski.

– Adrian...

Jeszcze wczoraj widział go na zajęciach. Jakiś tydzień temu odpytywał Romskiego z układu oddechowego ryb. Całkiem nieźle mu poszło, choć chłopak nie przepadał za biologią. Zdarzało się, że nawalał na sprawdzianach, ale nie dlatego, że miał gdzieś przedmiot Galińskiego. Po prostu biologia była jego piętą achillesową, tak jak dla większości matematyka czy chemia.

– Taaa – mruknął dyrektor.

– Jak to się stało?

– Został zamordowany – słowa Moskala miały siłę rażenia wystrzelonej kuli armatniej. – Dzisiaj rano.

– Boże.

– Tak. Boże. W dodatku stało się to w szkolnej szatni.

Nauczyciel był wstrząśnięty. Przez dobrą minutę nie potrafił wykrztusić słowa.

– Wiadomo, kto to zrobił? – wydusił wreszcie.

Dzik podszedł i spojrzał mu prosto w oczy. Był w nich strach i wściekłość.

– Owszem, wiadomo – fuknął. – Wykończył go inny pański uczeń. Jacek Krzyżanowski.

Galiński zeszywniał. Nie był przekonany, czy dobrze usłyszał. Krzyżanowski? To jakiś idiotyczny żart! Miał ochotę wykrzyknąć to prosto w twarz Dzika. Ostatnią rzeczą, jakiej mógł się spodziewać po Krzyżanowskim, było morderstwo. To nie miało sensu, do cholery. Chłopak był chodzącą oazą spokoju. Nigdy, podobnie jak Romski, nie sprawiał żadnych problemów wychowawczych. Morderstwo? Kompletna niedorzeczność!

– Niemożliwe – oświadczył poważnym tonem Galiński, starając się zapanować nad emocjami. – Jacek nie byłby do tego zdolny. To po prostu

niedorzeczne.

Andrzej Moskał położył mu dłoń na ramieniu.

– Panie Galiński, powtarzam panu, co usłyszałem od gliniarzy. Byłem tam, na dole, w szatni przy sali gimnastycznej. Widziałem martwe ciało. Cholernie martwe. Powiedziałbym, że bardziej martwego ciała nigdy nie zdarzyło mi się oglądać!

Galiński nie odezwał się. Zdruzgotany, mógł tylko stać i czekać na kolejne słowa dyrektora.

– Było poranione jak... – Moskał szukał odpowiedniego określenia. Bezskutecznie. – Krzyżanowski ponacinał jego skórę w kilku miejscach, rozumie pan? Jeden z gliniarzy powiedział mi kilka minut temu, że to wygląda tak, jakby chłopak usiłował zderzyć skórę z tego nieszczęśnika.

Zapanowała kolejna krótka pauza, którą znowu przerwał Dzik: – Byłem tam zaledwie kilka minut, a prawie się porzygałem. Nie mogłem na to patrzeć. Kazano mi wrócić do gabinetu.

Galiński nabrał powietrza do płuc i wypuścił je ze świstem. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Krzyżanowski miał poukładane w głowie, tak jak żaden inny z jego uczniów. Odkąd zaczął spotykać się z Marysią Krysztalowicz, jego spojrzenie na otaczający świat stało się wyjątkowo dojrzałe. Zdradzili mu kiedyś, że planują wspólny wyjazd nad morze, a w przyszłości studia na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Chłopak był ambitny, grzeczny, uzdolniony. Po co miałyby kogoś zabijać? W dodatku Romskiego, z którym tak dobrze się rozumieli? Grali w jednej drużynie piłkarskiej, spotykali się po zajęciach i omawiali zagadnienia na sprawdziany, chodzili na kółko filmowe Kaśki, redagowali szkolną gazetkę. Byli zgrani. Naprawdę zgrani.

– Czy ktoś widział, jak do tego doszło? – zapytał Galiński. Dyrektor zaczął krążyć po gabinecie. W końcu obszedł biurko i ciężko klapnął w

fotelu.

– W tej chwili nie bardzo wiadomo. Przesłuchują świadków – odparł wyraźnie rozdrażniony. – Dwie dziewczyny z pana klasy być może widziały, jak Krzyżanowski ciął nożem tego chłopaka.

– Nie wierzę w to. On nie skrzywdziłby muchy.

– Muchy może i nie. Ale z całą pewnością zarznął człowieka. Jeśli tak bardzo chce pan wszystko wiedzieć, niech pan zejdzie na dół i pogada z glinami. A potem niech pan do mnie wróci.

– Gdzie ich przesłuchują?

– W sali gimnastycznej.

Galiński ruszył do drzwi. Miał właśnie wyjść, kiedy coś mu się przypomniało: – Przed szkołą stoją dwie karetki...

Dzik popatrzył na niego spode łba, a potem, krzyżując ręce, rzekł z udawanym spokojem: – Druga jest dla Kaczmarek. Kiedy zobaczył rzeźnię, źle się poczuł.

* * *

Wszedł w długi, wąski korytarz, prowadzący do męskiej szatni. Pierwszą osobą, którą tam zobaczył był Tomasz Kaczmarek, nauczyciel wychowania fizycznego. Siedział na drewnianej ławce ze spuszczonej nisko rękoma i zamkniętymi oczyma. W kompletnie wygniecionym i o numer za dużym dresie przypominał stracha na wróble. Plastikowy gwizdek zwisał z jego szyi niczym kiczowata błyskotka. W głębi holu zgromadziła się grupa około trzydziestu uczniów. Przeciskali się między sobą i pokrzykiwali coś niezrozumiale, dopóki pod ich adresem nie posypały się uwagi ze strony dwóch biegnących w stronę sali gimnastycznej funkcjonariuszy.

Wąsaty policjant, niczym strażnik, blokował wejście do szatni. Żółta taśma błyszczała w świetle porannego słońca, które wpadało do pomieszczenia przez maleńkie, trójkątne okienka.

– Wszystko z tobą w porządku? – zapytał Galiński, zatrzymując się przy koledze. Wuefista podniósł głowę.

– Już tak – odparł krótko. Wciąż był blady i wyglądał jakby przed chwilą obudził się z koszmarne snu. – Dostałem jakiś środek uspokajający.

Galiński nie mógł się powstrzymać od zadania kolejnego pytania: – To rzeczywiście zrobił Krzyżanowski?

Kaczmarek machinalnie otarł twarz rękawem.

– Podobno tak.

– Są tu jacyś gliniarze, z którymi mógłbym pogadać?

– W sali gimnastycznej. Dwóch wyprowadziło Krzyżanowskiego do radiowozu.

Wtedy, niczym zjawa, pojawił się sanitariusz w obszernym odblaskowym kaftanie. Był wysokim, chudym trzydziestokilkulatkiem w okularach w rogowej oprawie i nosie tak krzywym, iż można było pomyśleć, że przed momentem został poważnie złamany.

– I jak się pan teraz czuje? – rzucił do Kaczmarka, po czym przykucnął i zbadał tętno mężczyzny. – Lepiej?

– W porządku, doktorze.

– To dobrze. Może pan wstać? – Wuefista podniósł się z ławki bez większego problemu. – Świetnie. Niech pan weźmie wolne na resztę dnia. Albo i na dłużej. Przyda się panu trochę odpoczynku.

– Dziękuję.

– A pan? – Sanitariusz zwrócił się do Galińskiego. – Potrzebuje pan pomocy?

– Nie, dziękuję. Nic mi nie jest. Jestem wychowawcą klasy, do której chodził zabity chłopak – zawahał się na moment, po czym dodał: – a także podejrzanego. Mógłby mi pan powiedzieć, co tutaj zaszło?

Mężczyzna podniósł z podłogi torbę lekarską i wzruszył ramionami.

– Na pewno zostanie pan przesłuchany. Powiem tylko, że sytuacja nie wygląda dobrze. Chłopaka pocięto nożem. Nie żył już, kiedy przyjechaliśmy. Proszę pójść do sali gimnastycznej i porozmawiać z funkcjonariuszami. Są bardziej kompetentni, by wypowiadać się w tej kwestii.

Galiński podziękował, tymczasem sanitariusz sztywno ruszył w stronę wyjścia. Po chwili usłyszeli warkot silnika. Karetka odjechała. Kaczmarek zacisnął usta, przeszedł kilka metrów korytarzem i nagle zatrzymał się.

– Wiesz jak on wyglądał? – wyszeptał tak cicho, że Galiński ledwo go usłyszał.

– Mogę sobie wyobrazić.

– Zabrali go. Jezu...

– A Krzyżanowski? Co z nim?

– Właśnie o nim mówię. – Kaczmarek zaszurał podeszwą buta o linoleum.

Biolog zmarszczył brwi. Poczuł, jak adrenalina wzbiera w jego żyłach i rusza pędem wąskimi kanalikami, rozpoczynając wyścig z krwią. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu wiedział, że to, co za moment usłyszy, zwali go z nóg.

– Dawid, byś widział jego twarz. – Wuefista wciąż stał obrócony tyłem do kolegi. – Jego spojrzenie. Ruchy. Tak, jakby coś w niego wstąpiło.

– Mów dalej.

– To nie takie proste, stary. Kiedy wszedłem do szatni, Romski był już martwy. Krzyżanowski go pociął, rozumiesz? Całego go pociął, jak jakiś

pierdolony Freddie Krueger. Spojrzałem na niego, kompletnie rozbity. Odwzajemnił spojrzenie. Patrzył na mnie oczyma pełnymi nienawiści i jednocześnie zadowolenia. A potem nagle jego twarz złagodniała. Gdy spojrzał na posiekane ciało Romskiego, wrzasnął i najzwyczajniej w świecie rozplakał się. Zaczął się trząść. Wyglądał tak, jakby nie miał pojęcia, co się przed momentem stało. Jakby ktoś wszedł w niego, w jego umysł i... i kazał mu zabić. Rozumiesz cokolwiek z tego, co mówię?

Galiński wolno pokręcił głową. Nie mógł powiedzieć, że cokolwiek rozumie. Tak naprawdę myślał o Jasińskim i metamorfozie, jaką chłopak wczoraj przeszedł. Wszystko wskazywało na to, że to samo stało się z Krzyżanowskim. Co mogło spowodować, że dopuścił się takiego czynu? Nie mógł przecież tłumaczyć tego tym, iż „coś” opanowało umysł tego dzieciaka. Takie rzeczy się przecież nie dzieją, chyba że w filmach.

– Coś musiało przejąć kontrolę nad Krzyżanowskim – stwierdził Kaczmarek. – Coś złowrogiego, mrocznego, nie pochodzącego z tego świata. Byś to zobaczył... To było jak jakieś opętanie. Dawid, nie patrz tak na mnie...

Czyżby dzień wcześniej ta sama siła opanowała Jasińskiego?

Jaka siła?

Nie bądź śmieszny, skarcił go głos rozsądku. Coś mrocznego, nie z tego świata?

– Idź już – Galiński zacisnął dłoń na ramieniu Kaczmarka. – Poinformuję o wszystkim dyrektora. Po prostu jedź do domu, napij się czegoś mocniejszego i odpocznij.

– W porządku. Tak właśnie zrobię. Wiedziałem, że mi nie uwierzysz.

– Nie twierdzą, że ci nie wierzę.

– Patrząc na Krzyżanowskiego, byłem przerażony. Dawid, uważam, że w niego „coś” wstąpiło. Nazwij to jak chcesz: siłą, demonem, duchem,

poltergeistem. „Coś” w nim było. I zabiło tego biednego dzieciaka.

Pilnujący wejścia do szatni mundurowy odsunął się i do holu weszło dwóch funkcjonariuszy. Mieli nietęgą miny. Jeden z nich ścisnął pod pachą grubego notatnik. Drżała mu ręka. Drugi policjant miał zaciśnięte zęby z trudem panował nad odruchem wymiotnym. Galiński zaczepił ich, kiedy przechodzili obok.

– Jestem wychowawcą Krzyżanowskiego – poinformował. – A także jego ofiary. Mogą mi panowie poświęcić chwilę?

Zatrzymali się z piskiem podeszew. Spojrzeli na niego tępo, po czym jeden z nich pociągnął nosem i bardzo służbowym tonem zapytał: – Jak pan się nazywa?

– Galiński. Dawid Galiński.

– Jest pan wychowawcą, tak? Proszę podać swoje zamiary, skontaktujemy się z panem. Zostanie pan wezwany na przesłuchanie.

Dyktując numer telefonu, nie mógł się powstrzymać: – Naprawdę uważacie, że to robota tego chłopaka... Krzyżanowskiego? – Policjant zignorował pytanie.

– Czy oprawca sprawiał jakieś problemy wychowawcze?

– Nie, absolutnie. To pilny, ambitny i koleżeński chłopak. Nigdy nie było z nim żadnych problemów.

– A kontakty z rówieśnikami?

– Jak najlepsze.

– Z nikim się nie pokłócił?

– Nie zauważyłem.

– Lubi go pan?

– Oczywiście. – Galiński zawahał się.

– W porządku. W takim razie dziękujemy.

– To wzorowy uczeń – podkreślił Galiński. – Nigdy nie było z nim żadnych problemów. Nigdy.

Funkcjonariusz prychnął, po czym krzywo się uśmiechnął.

– Za to teraz są. I to poważne. Trzeba mieć nie lada popieprzone w głowie, aby zrobić coś takiego. Niech mi pan wierzy.

– Reszta zajęć została odwołana – oznajmił na koniec drugi policjant. – Jak mówiłem, skontaktujemy się z panem.

Po chwili, z lekkim ociąganiem, obaj wyszli do holu głównego i zniknęli Galińskiemu z oczu.

* * *

Parking tętnił życiem. Stały na nim w pełnym słońcu dwa radiowozy, Omega Galińskiego, stary, podniszczony Volkswagen i Taurus dyrektora. Za płotem, na niewielkim placu, było zaparkowanych kilka samochodów różnych ekip telewizyjnych. Dziennikarze biegali w tę i z powrotem. Mogło się zdawać, że nie do końca wiedzieli, co mają robić. Nad placem unosiły się drobiny kurzu.

Sam budynek szkoły sprawiał wrażenie opuszczonego. Z wnętrza nie dobiegały rozmowy, wybuchy gromkiego śmiechu, ani pokrzykiwania rozweselonych uczniów. Grobowa cisza. Galiński spojrzął w okna gabinetu Dzika. Zauważył, że mężczyzna wciąż siedzi przy biurku. Rozmyślał. Biolog zatrzymał się na chwilę, walcząc z chęcią powrotu do budynku i pogadania z Moskalem. Ostatecznie zrezygnował. Obecność Galińskiego mogłaby wzbudzić w Dziku niepotrzebną irytację.

Dochodziło południe. Zadzwoni do Kaśki i zaproponuje spotkanie. Pojadą na obiad do Pizza Hut, gdzie opowie o wszystkim, co wydarzyło się

w szkole pod jej nieobecność. Nie mógł dłużej tłumić w sobie wrażenia, że dzieje się coś niewytłumaczalnego. Zda jej dokładną relację z krótkiej rozmowy, jaką przeprowadził z Kaczmarkiem oraz w szczegółach opowie o zmianach, które zaszły w Jasińskim poprzedniego dnia. Tym razem nie będzie owijać w bawełnę, jąkać się i zastanawiać, czy wzięła go za idiotę. Za wszelką cenę chciał poznać jej punkt widzenia. Usłyszeć, że oba przypadki nic nie łączy, a jedynym sposobem na pozbycie się tego cholernego uczucia niepokoju jest szklaneczka Stocka i kilka godzin snu. Tak naprawdę pragnął, aby go uspokoiła. Czuł bowiem, że popada w jakiś dziwny obłąd, który jak kleszcze ściska jego głowę, wdziera się w najskrytsze zakamarki umysłu i zaczyna siać destrukcję.

Nie mógł uwierzyć, że już nigdy nie zobaczy Adriana Romskiego. Przez moment odniósł wrażenie, że dopiero teraz zajechał pod budynek szkoły, że jest ósma i że za moment rozpocznie zajęcia. Że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nic nie było w porządku. Jego uczeń był martwy. Martwy.

Galiński potrząsnął głową. Chciał stąd odjechać. Jak najszybciej. Założył okulary przeciwsłoneczne i wydobyl z kieszeni telefon komórkowy. Podążając w stronę auta, wybrał numer, jednak zamiast sygnału, usłyszał ciepły, melodyjny głos Kasi, którym poprosiła o zostawienie wiadomości i obiecała, że oddzwoni najszybciej jak to tylko możliwe.

– To ja, kotek. – Nagrywając się na pocztę głosową, nigdy nie potrafił zachować naturalnej barwy głosu. Czuł lęk, jakby za moment miał zostać wypchnięty na deski teatru, aby wyrecytować jakąś bardzo trudną kwestię. – Chciałbym z tobą porozmawiać. Zadzwoń, jak będziesz wolna. Na razie.

Wcisnął komórkę z powrotem do kieszeni i otworzył drzwiczki samochodu. Miał właśnie wsiąść do środka, kiedy usłyszał jak ktoś biegnie

w jego stronę. Odwrócił się i zobaczył Marysię Kryształowicz. Zdumiony zaczekał, aż się zbliży.

Zdyszana, zmierzwiła włosy. Jej ogromne, błękitne oczy były zalane łzami. Miała zaczerwienione, wilgotne policzki. Była w szoku.

– Panie profesorze – wykrztusiła. – Czy to prawda? To prawda, że Jacek...

Urwała w połowie zdania, z trudem powstrzymując się od płaczu. Galiński potarł czoło. Mógł jedynie potwierdzić.

– Tak, niestety to prawda.

– Ale jak to możliwe? Panie profesorze... – Nagle zaszlochała tak głośno, że aż nienaturalnie. Galiński przyciągnął ją do siebie i przytulił.

– Ja także nie mogę w to uwierzyć – powiedział łagodnie. – Policja jednak nie ma żadnych wątpliwości. Byli świadkowie.

Dziewczyna wtuliła się w niego, wciąż płacząc i dygocząc. Nie potrafił jej pocieszyć.

– Odwiozę cię – mruknął. – Wsiadaj do samochodu.

– Gdzie on teraz jest?

– Został aresztowany.

– Pójdzie do więzienia?

– Jest już pełnoletni, więc chyba tak.

Odsunęła się od niego i wytarła twarz wierzchem dłoni. Jej włosy powiewały na delikatnym wietrze, niczym kłosa pszenicy.

– Nie mogę w to uwierzyć – jęknęła. – Nie mogę. On nie mógł tego zrobić. Nie Jacek.

– Wsiadaj. Podwiozę cię do domu. – Obszedł auto i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Nie trzeba. Dam sobie radę.

– Wsiadaj – powtórzył z lekkim naciskiem. – O ile mnie pamięć nie myli, mieszkasz na Wildzie, prawda?

Skinęła głową.

– Na Pamiątkowej – bąknęła. Rozmazał jej się makijaż i na policzkach pojawiły się granatowe cętki. Z lekkim wahaniem zajęła miejsce. Zanim ruszyli, ponownie odezwała się, tym razem bardziej opanowanym głosem:

– Lubiłam Adriana.

– Ja też.

– Muszę panu coś powiedzieć.

– Nie krępuj się.

– Powinam panu powiedzieć, że...

– Że? – Rzucił jej przelotne spojrzenie.

– Wczoraj, kiedy skończyliśmy zajęcia, zaczepił mnie Krystian Skolimowski.

– I co?

– Nie wiem od czego zacząć... – Dziewczyna odwróciła głowę.

– Coś się stało?

– Tak, panie profesorze. Stało się.

Galiński czekał, aż dziewczyna przejdzie do meritum. Zastanawiał się, co tym razem usłyszy.

No dalej, dzieciно, uracz wujka Galińskiego jakąś nieprawdopodobną historyjką i ruszajmy. Natychmiast pożałował swoich myśli. Targnęły nim wyrzuty sumienia. Ta dziewczyna była zdruzgotana. Jego zasranym obowiązkiem było ją wysłuchać.

Skolimowski... Ech. Kolejne nazwisko, którego zapewne długo nie zapomni. Znow jego uczeń. Chłopak nie był prymusem, często wszczywał bójki i kłął jak szewc. Na jego temat krążyły różne opinie. A to, że dręczył pierwszoklasistów, a to, że zbyt często wagarował, a to znowu, że popijał na

przerwach i palił papierosy. Przez wzgląd na swoje czarne włosy, wielkie piwne oczy i ciemną karnację cieszył się sporym powodzeniem u dziewczyn, nawet tych najbardziej cnotliwych. Był twardzielem, jak mawiali o nim znajomi z klasy. Galiński miał z nim całkiem niezły kontakt, choć zdarzało się, że wzywał jego rodziców z powodu słabych ocen. Skolimowski cierpiał na powszechną wśród młodzieży zarazę. Był do bólu leniwy.

– A więc?

– Cóż... – podjęła Marysia. – Nie wiem, co w niego wstąpiło. Myślałam, że chce ze mną o czymś porozmawiać.

Galiński z całych sił ścisnął kierownicę. Chciał zapytać wprost o co chodzi, ale tego nie zrobił. Po prostu czekał aż dziewczyna sama mu to powie.

– Krystian popchnął mnie na żywopłot – wydukała.

– Powiedział, że musi mi wyrządzić krzywdę. Że tak trzeba. Dla dobra ogółu. Nie wiem, co mu odbiło. Chwycił mnie za ramię, przyciągnął do siebie, a potem znowu rzucił na żywopłot. Rozciąłam sobie skórę na ręce. – Otworzyła szczupłą, kościstą dłoń i Galiński zobaczył lekko pożółkły plaster. Wbił wzrok w dziewczynę.

– Zgłosiłaś to dyrektorowi? – zapytał.

– Nie. Jest pan pierwszą osobą, której o tym mówię.

– Zamyśliła się, po czym dodała: – Wie jeszcze pan od wuefu. Był na miejscu, kiedy to się stało.

– Pan Kaczmarek?

Przytaknęła.

– W zasadzie to dzięki niemu nic mi nie jest.

– Opowiedz mi o tym.

– Kiedy Krystian rzucił się na mnie, pan Kaczmarek wychodził właśnie z parkingu. Pewnie chciał pójść na przystanek tramwajowy. Krystian momentalnie odskoczył ode mnie i powiedział tylko, że mam stulić pysk i siedzieć cicho. Dodał, że jeśli puszcze parę z ust, zabije mnie.

Galiński nadął wargi, kompletnie oszołomiony natłokiem myśli.

– Co się stało później? – spytał, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Wycofał, wrzucił właściwy bieg i wcisnął pedał gazu niemal do samej podłogi. Omega wyrwała do przodu i po chwili jechali już wąską ulicą w stronę skrzyżowania. Opierając głowę o zagłówek, Marysia zaczęła aż Galiński zatrzyma auto na światłach.

– Pan Kaczmarek zauważył, że coś się dzieje – kontynuowała. – Podszedł do Skolimowskiego, ale nie odezwał się słowem. Chyba zamarł. Na minutę, albo dłużej. Spojrzał tylko na chłopaka, a potem... Po prostu sobie poszedł, tak jakby niczego nie widział. Był jak zahipnotyzowany. To było bardzo dziwne zachowanie.

– Poszedł sobie?

– Tak.

– I nic nie powiedział dyrektorowi?

Nie chciało mu się w to wierzyć. Zbyt dobrze znał Kaczmarka. Pojęcie dyscyplina miało dla niego pierwszorzędne znaczenie.

– Nie zgłosił tego. Gdyby tak było, Skolimowski wylądowałby na dywaniku. Nasza wspólna znajoma z pewnością od razu by mnie o tym poinformowała. A najdziwniejsze jest to, że widziałam go rano.

Przyjechałam już o szóstej, aby podać koleżance zeszyt. Wie pan, miała się zwolnić po dwóch godzinach lekcyjnych.

Galiński pokręcił głową. Dziewczyna była tak przejęta, że ledwo ją rozumiał.

– A więc był od rana w szkole, okej. A mówił coś?

– Nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego ani nawet zaniepokojonego. Przywitał się ze mną, jak gdyby nigdy nic. Pocałował mnie nawet w policzek i życzył miłego dnia. Byłam w szoku. Nie wspomniał o niczym. Po prostu przywitał się i oświadczył, że musi lecieć, bo umówił się z kumplem. Zdążyłam tylko zapytać, o co mu wczoraj chodziło.

– I co odpowiedział?

– Popatrzył na mnie zdziwiony i zapytał, co przez to rozumiem. Gdyby pan zobaczył jak bardzo był zaskoczony, zaczęłby pan wątpić, że cokolwiek się wydarzyło.

Światło zmieniło się na zielone i Galiński ruszył Wołyńską za starym, zdezelowanym Polonezem. Przejechali skrzyżowanie, po czym, mijając stojący na przystanku tramwaj, znacznie przyśpieszyli.

– A co się stało, gdy pan Kaczmarek sobie poszedł?

Znał Kaczmarka i wiedział, że w obliczu podobnej sytuacji nie pozostałby obojętny. A może dziewczyna ściemnia? Zastanawiał się nad tym, ale nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego miałyby to robić. Poza tym, była autentycznie zaniepokojona. Coś tu śmierdziało.

Spokojnie, Galiński, usłyszał w głowie swój zmęczony głos. Nie przesadzaj aż tak bardzo. Facet po prostu śpieszył się i to wszystko. Mógł nie zauważyć, co się dzieje. A ty jesteś zmęczony i powinienesz wziąć prysznic. I napić się czegoś mocniejszego, bo ześwirujesz.

– Krystian uciekł – odpowiedziała bez entuzjazmu dziewczyna. – Pognał w stronę osiedla.

Biologowi nie mieściło się to w głowie. Spokojnie, znów ten głos. Odwieź dziewczuszkę tam, gdzie jej miejsce i wracaj do domu. A potem połóż się do łóżka i prześpij. Przedtem łyknij kielicha.

Musiał koniecznie porozmawiać z Kaczmarkiem. Zapytać co dokładnie widział i dlaczego nie powiadomił dyrektora o napaści na uczennicę.

Dlaczego nawet nie wspomniał o tym incydencie? Mógł to zrobić, kiedy rozmawiali w holu przed salą gimnastyczną. Facet był przejęty, wręcz zdruzgotany. Pomiął ten fakt i tyle.

Nagle jego myśli rozproszył dzwonek telefonu komórkowego. Jedną ręką prowadząc, a drugą błędząc po kieszeniach w poszukiwaniu aparatu, kłął w duchu na czym świat stoi. Nieco się uspokoił, kiedy chwilę potem usłyszał głos Kaśki.

– Cześć, właśnie odsłuchiłam wiadomość od ciebie.

– Witaj, wiesz co, zadzwonię do ciebie za piętnaście minut, dobra? Prowadzę samochód.

– Słyszałam o tym, co się stało. Dzwonił do mnie Dzik.

– Aha.

– Boże, nie mam pojęcia, co powiedzieć. To straszne. Gadają o tym na co drugim kanale.

– Porozmawiamy o tym później, dobrze? – Chwila przerwy.

– Chciałam cię tylko prosić, abyś się na mnie nie gniewał. Moja mama na dobre się rozchorowała i nie mogę dziś do ciebie przyjechać. Naprawdę mi przykro, ale bardzo prosiła, bym z nią została.

– W porządku. – Nie czuł się na siłach, aby ciągnąć temat.

– Nie jesteś zły?

– Nie jestem...

Jestem wkurwiony! – dodał w duchu.

– ...chciałem pogadać. O tym wszystkim. Ale w takim razie zaczekamy z tym do następnego razu. – Chciał powiedzieć, że jej potrzebuje, ale powstrzymał się.

– Co dolega twojej matce? – zmienił temat, by nie popaść w większą irytację.

– Byliśmy dzisiaj u lekarza. To może być zapalenie płuc. Lekarz powiedział, że jest osłabiona.

– Twoja matka jest dzielną bab... babką, szybko dojdzie do siebie.

Po kilku minutach Kaśka zapewniła go, że kolejny wieczór spędzą we dwoje. Tym razem, dodała z naciskiem, nikt ani nic nie miało stanowić przeszkody. Galiński wydobył z siebie kolejne głośnie westchnienie i rozłączył się.

Wjechali na Wildę od strony ulicy Królowej Jadwigi. Symfonia klaksonów w centrum miasta zdawała się trwać bez końca. Co jakiś czas rozlegały się piski trących o asfalt opon i krzyki poirytowanych wzmożonym ruchem kierowców. Cysterna z olejem rzepakowym omal nie zderzyła się z tramwajem numer dwanaście, gdy motorniczy zagapił się i nie dostrzegł poziomej linii na sygnalizatorze. Kierowca cysterny otworzył drzwi i pokazał mu środkowy palec. Motorniczy zrewanżował się tym samym.

Kiedy zatrzymali się na chodniku przy pięciopiętrowej, szarej kamienicy o paskudnym, spiczastym dachu, Marysia odpięła pas bezpieczeństwa i chwyciła kłamkę. Galiński zauważył, że ociąga się z otwarciem drzwi. Miał zapytać, o co chodzi, kiedy odwróciła się do niego i oznajmiła: – Jest jeszcze coś.

– Co takiego?

– Nie wiem, jak to powiedzieć. Pewnie pomyśli pan, że oszalałam.

Z pewnością nie bardziej, niż ja – przemknęło Galińskiemu przez myśl. Zaprzeczył skinieniem głowy.

– Wątpię, czy jest coś, co mogłoby mnie jeszcze zaskoczyć.

– Chodzi o oczy Skolimowskiego – oznajmiła i nagle zamilkła.

Przez dobre dwie albo trzy minuty wpatrywał się w dziewczynę w taki sposób, jakby kompletnie nie miał pojęcia, kim ona jest i co robi w jego

samochodzie. Potem poczuł, jak z twarzy odpływa mu krew. Przenikliwe spojrzenie, jakie mu posyłała, wzbudzało w nim lęk.

– Co z nimi? – spytał w końcu, choć wiedział, jaka będzie odpowiedź.

– Z początku pomyślałam, że mi się przewidziało – zaczęła, starannie dobierając słowa. – Potem, gdy znowu spojrzałam na jego twarz... One zmieniły kolor. Stały się czerwone, rdzawoczerwone. Wiem jak to brzmi. Wiem, co pan sobie myśli. Ale ja jestem pewna. Właśnie tak wyglądały. Jakby jego oczodoły zalał jakiś czerwony płyn, nie bardzo wiem jak to ująć? Wyglądały... Wyglądały jak... – dziewczyna otworzyła drzwi i wystawiła nogi na zewnątrz. Po jej policzkach spływały łzy. Trzęsła się.

– To nie były oczy Skolimowskiego – wydusiła, a potem wysiadła niezdarnie i trzasnęła drzwiami.

Spoglądał jak biegnie w stronę bramy – bezmyślnie, jakby gonił ją sam diabeł. Kiedy zniknęła w ciemnościach klatki schodowej, zamknął oczy i wcisnął się w fotel. Do jego uszu dobiegał hałas ulicy. Słyszał szczekanie psa, ryk silników, stukot obcasów o płyty chodnikowe, strzępki rozmów.

Było coś jeszcze. Jakby echo. Ciche, ale nadzwyczaj wyraźne. Dudniło mu w uszach. W pewnej chwili oszołomiony potrząsnął głową. Jestem zmęczony, pomyślał. Piekielnie zmęczony i zdenerwowany. Zaczyna mnie zżerać stres.

Echo jednak trwało. Słowa Marysi Kryształowicz roznosiły się po całym samochodzie niczym puszczone z podniszczonej taśmy magnetofonowej: „To nie były oczy Skolimowskiego nie były oczy Skolimowskiego oczy Skolimowskiego oczy... mowskiego... kiego...”.

ROZDZIAŁ 3

GŁOSY

Kaczmarek zamyślił się. Uważne spojrzenie szarych oczu penetrowało solidne, drewniane półki z piłkami koszykowymi, siatkowymi i lekarskimi, pałkami do gry w palanta, raketami tenisowymi i setkami jasnozielonych, włochatych piłeczek. Pozostało obojętne zarówno na migoczący ekranik telefonu komórkowego, na którym wyświetlało się imię jego żony, jak i na przeszywający wzrok, stojącego nieopodal obszernego, sosnowego biurka, Galińskiego. Wuefista odwrócił się i wciskając ręce do kieszeni nieskazitelnie białego dresu, przykucnął. Na jego twarzy malowało się zdumienie.

– Dlaczego nie poinformowałeś Dzika o tym, co tam zaszło? – zapytał Galiński z rezygnacją w głosie. Kaczmarek podniósł głowę. Sprawiał wrażenie oderwanego od rzeczywistości.

– Nie miałem pojęcia, że Skolimowski ją zaatakował, rozumiesz? Nie miałem o tym pojęcia! Kiedy ich zobaczyłem, wyglądali tak, jakby między nimi trwała jakaś nic nie znacząca sprzeczka. To wszystko.

– Nie widziałeś jak ją popycha? Rozcięła sobie nadgarstek.

– Ależ skąd! Nie widziałem. Usłyszałem tylko dziewczynę. Krzyknęła coś, wymachując rękoma.

Skolimowski stał przy niej... ale, na Boga, nie robił jej krzywdy! Myślisz, że potrafiłbym przyglądać się bez emocji jak ją tłucze?

Biolog, totalnie skołowany, wysunął dolną szczękę. To wszystko było zawile jak kłębek wełny. Wierzył Kaczmarkowi. Najdziwniejsze jednak, że wierzył także Marysi Kryszałowicz. Była przerażona. Błagała go wzrokiem, aby nie wątpił w jej słowa. Kiedy przypomniał sobie jak opowiadała o oczach Skolimowskiego, przeszedł go lodowaty dreszcz. Kryszałowicz nie zmyślała, tego był pewien.

Z sali gimnastycznej dobiegały do nich krzyki grających w kosza licealistów. Aplauz, jaki się rozniósł, zwiastował przygniatające zwycięstwo jednej z drużyn.

Galiński nadał nie spuszczał wzroku z Kaczmarka. Coś tu nie grało. Nie był pewny, co. Podświadomość zachęcała go do zadania kolejnego pytania: – Podszedłeś do nich, prawda? Podszedłeś i zapytałeś, czy wszystko w porządku. – Wuefista skinął głową, zasepiony.

– Zgadza się. Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu, a chłopak odparł, że ma dziś ciężki dzień. Nic więcej nie pamiętam.

– Tylko tyle?

– Tylko tyle. Uznałem, że nie ma o czym mówić. Do diabła, Dawid, czy na moim miejscu wypytywałbyś parę szczeniaków, o co się kłócą i dlaczego stoją przy żywopłocie jak dwa kołki? Zastanów się!

– Co było dalej? – spytał po dłuższej chwili Galiński.

Kaczmarek zawahał się. Przez moment było widać, że pytanie bardzo go zaskoczyło. Spojrzał na Galińskiego uważnie, jakby oczekiwał nagłej zmiany tematu. Jego pociemniałe od emocji oczy patrzyły na biologa błagalnie.

– Proszę cię, skończmy już – rzekł. Jednak Galiński był przekonany, że kolega nie powiedział mu wszystkiego. Było coś jeszcze. Chciał wiedzieć, co.

– Przypomnij sobie – nalegał. – Wydarzyło się coś?

Kaczmarek wstał i podszedł do biurka. Podniósł telefon komórkowy, ale nawet nie spojrzał na ekran.

– Co ci odbiło? – palnął tak nagle, że słowa zadudniły Galińskiemu w uszach. – Bawisz się w policjanta, do cholery? Wystarczająco wielu ich tu ostatnio mieliśmy.

– Po prostu pytam. Jestem ciekawski.

– Może zbyt ciekawski.

Mężczyzna wyraźnie zaczął unikać spojrzenia Galińskiego. Powód wydawał się jasny – zdrowy rozsądek nakazywał wuefiście milczeć. Biolog zbliżył się do niego, położył rękę na ramieniu i pochylił głowę tak, jakby chciał wyssać z oczu kolegi całą prawdę.

– Powiedz, czy było coś dziwnego w zachowaniu Skolimowskiego? – spytał podchwytliwie. – Gesty, zachowanie? Może było coś w jego oczach?...

Po tym pytaniu mężczyzna napiął mięśnie, jak gdyby próbował okiełzać siłę, która wprawiała go w zakłopotanie. Wciąż błędził wzrokiem po kantorku.

– Oczach? Co masz na myśli, pytając o oczy?

Galiński zdjął rękę z ramienia kolegi.

– Może ty mi powiesz? Nie przypominasz sobie? Oczy... Oczy, oczy, oczy... Coś ci świta? – Nastąpiła pauza. Kaczmarek przeczesał ręką włosy, a potem odłożył telefon na biurko i szybkim krokiem opuścił kantorek. Galiński usłyszał jak pokrzykuje coś do uczniów, odgwizduje koniec meczu i pozwala im rozejść się do szatni. Kiedy wrócił, zamknął za sobą drzwi. Zaszleścił materiał dresu, zapiszczały podeszwy trampek. Skoncentrowany, oparł się o ścianę.

Jego gęba zaraz eksploduje, zagrzmiało w głowie biologa. Rozproszy się, ejakuluje setkami słów. Naprawdę chcesz tego słuchać?

– Posłuchaj – podjął wuefista. – Kiedy ostatnim razem mówiłem o tym, że „coś” wstąpiło w Krzyżanowskiego...

– Wiem, zachowałem się tak, jakbym ci nie uwierzył.

– Bo nie uwierzyłeś. I wcale ci się nie dziwię. Tyle tylko, że mówiłem prawdę. Znacząco wiem, co widziałem.

– Jak to się ma do Skolimowskiego?

Kaczmarek wzruszył ramionami.

– Po wczorajszej tragedii i naszej rozmowie pomyślałem sobie, że to, co zobaczyłem, było skutkiem zwyczajnego szoku. Rozumiesz – wstrząs, osłabienie, nerwy. Pomyślałem sobie, że najzwyczajniej w świecie mi się przewidziało. Jak wiesz, napatoczyłem się na Krzyżanowskiego zaraz po tym, jak zabił Romskiego... – Galiński skinął głową.

I tak nic nie rozumiesz Dawidzie, głos był szorstki, niezbyt przyjazny.

– Ujrzałem zakrwawione ciało, leżące na posadzce. Chcąc nie chcąc zwróciłem uwagę na zachowanie Krzyżanowskiego. Wiesz, płakał, całkiem oszołomiony. Tak, jakby nie wiedział, co się stało. Jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił. – Nagle przerwał. Galiński nie wchodził mu w słowo.

– Dawid, dlaczego zapytałeś o oczy? – podjął po chwili.

Popatrzyli po sobie i wreszcie biolog odrzekł: – Tu się dzieje coś dziwnego. – Wrażenie, że jakaś siła opanowała jego umysł było miazdzące. Kaczmarek pokręcił głową.

– Zaraz po tym, jak doszło do tragedii, Krzyżanowski był przerażony, ale wydaje mi się, że było coś jeszcze. Coś na kształt furii. A jego spojrzenie... Kiedy patrzył na mnie... Czułem, że to już nie był on. Jakby na chwilę zmienił się w jakąś paskudną dziką bestię – przerwał, aby zaczerpnąć tchu. – Doprawdy nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

W umyśle Galińskiego rozległ się śmiech. Z początku był to cichy, niewinny chichot, lecz po chwili przerodził się w głośny rechot. Ktoś kpił z niego, wyśmiewał się. Tylko kto, do diabła? Skąd się wziął?

Ja wariuję, pomyślał nauczyciel, potrząsając głową, jakby chciał wyrzucić z niej intruza.

– Wszystko z tobą okej? – zapytał Kaczmarek. Galiński zamrugał.

– Tak.

– Dobrze się czujesz?

– Taaa...

Dziwnie się wystawiacie. Jakbyście pozjadali wszystkie rozумы.

Kim ty...

Nie mam czasu na te twoje durne pytania.

Kto tu jest? Kto jest w mojej głowie?

– Też to widziałeś, Dawid, prawda? – Głos wuefisty wyrwał go z letargu.

– To spojrzenie. Musiałeś coś zobaczyć, inaczej byś tak nie reagował.

Nie odpowiedział. Miał ochotę uciec z tego pierdolonego kantorka. Wrócić do domu, zadzwonić do Kaśki.

– Tak... – wreszcie wykrztusił. – Masz racje. Ale najpierw ty mi powiedz... Wyczułeś, że ze Skolimowskim jest coś nie tak, prawda?

– Wyczułem – przytaknął Kaczmarek. – Z jego oczu również wyziewał chłód. Były... Nie wiem, jak mam to powiedzieć. Były odblaskowo czerwone. Patrzyły na mnie złowrogo i nakazywały, abym odszedł. Abym się nie wtrącał... Poczułem się jak w jakimś horrorze klasy C. Myślałem, że te dzieciaki robią sobie ze mnie jaja. Ze to jakieś szkła kontaktowe, czy coś w tym rodzaju.

– Co zrobiłeś?

– Poprosiłem dziewczynę, aby się odsunęła, a potem kazałem chłopakowi spierdalać.

– I posłuchał.

– Tak, ale zanim zareagował, powiedział coś, co jeszcze bardziej przyparło mnie do muru.

– Mianowicie?

Przez ułamek sekundy wszystko znieruchomiało jak na filmowym kadrze. Galiński poczuł, że podnosi mu się ciśnienie.

– To brzmiało tak, jakby wypowiadał się nie tylko w swoim imieniu. Powiedział, że wkrótce nastąpi koniec i... – Kaczmarek zamyślił się, usiłując dokładnie przypomnieć sobie słowa Skolimowskiego. – I że nadejdzie nowa era. I że to oni ją zapoczątkują.

– Kto?

– Nie wiem. To jakiś obłąd. Powtarzam ci tylko, co usłyszałem. Kurwa, to wszystko jest kompletnie popierdolone.

Galiński poczuł strach. Pełzały po nim macki strachu, próbując dotknąć każdego centymetra jego ciała, dostać się aż do łańcucha DNA i rozbić go w pył.

Kim jesteś? – zapytał w duchu.

Cisza.

Kaczmarek sięgnął do szuflady biurka po butelkę oranżady i upił kilka łyków.

– Teraz twoja kolej – oznajmił, spoglądając z zainteresowaniem na biologa. – Co ty widziałeś?

Galiński zamyślił się. Był winien koledze kilka słów o Jasińskim. Pokrótce opowiedział więc o tym, co wydarzyło się podczas jego lekcji. Wspomniał o dziwnym zachowaniu Huberta, o demonicznych oczach i wyśpiewanych przez chłopaka, kompletnie niezrozumiałych słowach. Kiedy to mówił, czuł nieopisaną ulgę, jakby ktoś strącił z jego barków niewidzialny ciężar.

– To brzmiało jak jakaś dziwna pieśń. Mógłbym przysiąc, że poczułem się jak w transie hipnotycznym. Jednego jestem pewien – że w życiu czegoś takiego nie słyszałem.

Wuefista słuchał uważnie, co jakiś czas marszcząc brwi. Najwidoczniej próbował sobie wszystko poukładać w głowie.

– Te cholerne oczy – mruknął, zamyślony. – Niczym u jakiegoś pierdolonego diabła z kreskówki. Rozmawiałaś o tym z Kaśką?

– Nie miałem czasu. Napomknąłem jedynie o zachowaniu Jasińskiego.

– I co?

– Jest sceptyczna.

– To dlatego, że tak naprawdę nie wie, co się dzieje. Nie miała okazji się przekonać.

– Jeszcze nie. – Galiński wolno pokręcił głową. Wuefista obdarzył go kłopotliwie długim, pełnym obaw spojrzeniem.

– Też czujesz, że coś zaczyna się dziać? – zapytał, a w jego głosie brzmiało przecucie nadchodzącego zła. – Coś niewytłumaczalnego, wprawiającego w odrętwienie?

Galiński nie odpowiedział. Był maksymalnie skoncentrowany. Czekał, aż w jego głowie ponownie odezwie się głos...

* * *

Po lekcjach pojechał na ulicę Grunwaldzką, rozmyślając nie o rozmowie z Kaczmarkiem, ale o Dziku. Gdy zobaczył go dzisiaj siedzącego w swoim gabinecie – bezsilnego, otumanionego dziesiątkami wypalonych papierosów – poczuł żal. Facetowi prawdopodobnie już nigdy nie uda się dopiąć swego. Mógł zapomnieć o rankingach szkół i pogodzić się z faktem,

że od tej pory liceum imienia Generałowej Zamoyskiej zacznie tracić swoją pozycję. Zawsze pełen energii, czujności – tego dnia tkwił w fotelu ze spuszczoną głową i zapewne nie ruszyłby go stamtąd nawet wybuch bomby. Tego też dnia, spoglądając na niego, Galiński zdał sobie sprawę, że nie docenił Moskala.

Był zdruzgotany śmiercią licealisty. Naprawdę zdruzgotany. Ten gbur, człowiek–skała, surowy sędzia ogólniaka numer dwadzieścia pięć, zmora zarówno uczniów, jak i nauczycieli, miał mokrą od łez twarz. Ten widok wstrząsnął Galińskim i odjął mu mowę.

Objechał rondo Jana Nowaka–Jeziorańskiego i zaczął wodzić wzrokiem w poszukiwaniu miejsca do parkowania. Był cały mokry. Auto nie wyposażono w klimatyzację, a cholerny nawiew schrzanił się kilka tygodni wcześniej. Musiał koniecznie zmienić gablotę. Na mniejszą i bardziej nowoczesną. Omega kombi sprawdzała się podczas długich wypadów na wakacje, nijak natomiast nie radziła sobie na zatłoczonych ulicach miasta. Słonica, jak ją przezywał, w złości usiłując wydostać się z korka albo wcisnąć się na jedno z tych przeklętych, mikroskopijnych miejsc parkingowych przed marketem.

Kaśka, która skończyła pracę w południe, miała czekać na niego w parku, nieopodal maleńkiego kościółka z czerwonej cegły. Dwie wieżyczki wznosiły się wysoko ponad korony drzew.

Wjechał na chodnik, mając nadzieję, że nie będzie musiał długo tkwić w aucie. Zgasił silnik. Rozpiął dwa guziki koszuli i dmuchnął kilka razy na klatkę piersiową. Miał ochotę rozebrać się do bielizny, podjechać do pierwszego lepszego pubu i zamówić zimne piwo.

A może kieliszek peyotlu?, padła propozycja.

Zesztywniał.

Kim jesteś?

Wszystko w swoim czasie. Wszystko w swoim czasie.

Ale...

Ciii... Czy ty musisz zadawać tyle pytań? Człowieku, za dużo myślisz.

I znów cisza.

Co to było? Czym było? I co robiło w jego głowie?

Bawiło się z nim.

Świruję, pomyślał. Najzwyczajniej w świecie swiruję.

I racja, za dużo myślę.

Kim ty, do diabła, jesteś???

Cisza.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się i ujrzał Kaśkę. Wsiadła bez słowa do samochodu. Pocałowała go na powitanie. Jasne włosy spięła w wysoki kok, który delikatnie przechylał się do tyłu. Długie, mocne rzęsy pobłyskiwały na zielono i idealnie komponowały się z przewiewną sukienką w błękitne kwiaty. Dość głęboki dekolci odsłaniał powabny rowek między jej kształtnymi piersiami. Na nogach miała lekkie sandały. Zdjęła je jednak od razu kiedy ruszyli. Bose stopy oparła o deskę rozdzielczą.

– Chyba się nie spóźniłam? – zapytała całkiem poważnie. Galiński spojrzał na nią ukradkiem. Niewątpliwie coś ją gryzło, pomyślał, widząc jak się czerwieni i nerwowo bębni palcami o oparcie fotela. Zjechał z chodnika i gwałtownie przyśpieszył.

– Wszystko w porządku? – zagadnął.

– W porządku? Żartujesz sobie?

Wrzucił trójkę i wyprzedził wlokącą się prawym pasem ciężarówkę. Jej kierowca zatrafił, na co Galiński odpowiedział wiązką przekleństw.

– Chciałbym z tobą wreszcie na spokojnie porozmawiać – zwrócił się do Kaśki. – Ostatnio ciągle się mijamy.

– Fakt. Ja też chcę pogadać. Przytrafiło mi się dzisiaj coś dziwnego.

- Co takiego? – Zwolnił, po czym skręcił w Bukowską.
- Porozmawiamy, kiedy dojedziemy na miejsce... A właściwie dokąd jedziemy?
- Na Wrocławskiej jest fajna knajpka. Wstąpimy na spaghetti w sosie gulaszowym, okej?

Nie odpowiedziała. Korciło go, aby zapytać o co chodzi. Wolał jej jednak bardziej nie denerwować. Poirytowana czy przejęta, sprawiała wrażenie totalnie zagubionej, a co za tym szło, łatwo wybuchała gniewem. Pogadają na spokojnie, kiedy będą już na miejscu, postanowił. Może wtedy sama się otworzy.

Był spięty. W samochodzie wytworzyła się dziwna atmosfera, jakby coś niewidzialnego krążyło w powietrzu i zjadało ich pewność siebie. Galiński wjechał na lekko zatłoczoną Roosevelta, objechał Rondo Kaponiera, po czym zatrzymał się w korku na ulicy Święty Marcin. Wyjrzał za okno. Ludzie sprawiali wrażenie zmęczonych i znudzonych. Ściskali w rękach siatki z Tesco, Piotra i Pawła oraz Biedronki. Cały czas mamrotali coś pod nosami, jakby przeklinali dzień, w którym przyszli na świat. Słońce paliło niemiłosiernie. Pragnienia nie gasiły nawet schłodzone napoje w puszkach, rozdawane w jakiejś akcji marketingowej na co drugiej ulicy w centrum.

Niemal topiąc się w skwarze jaki opanował wewnątrz Omegi, Galiński z finezją odpiął kolejne guziki koszuli.

Kaśka pochyliła się i sięgnęła do torebki. Po chwili wyciągnęła butelkę wody mineralnej i z kwaśną miną pomachała nią przed Dawidem. Na jej widok wybałuszył oczy.

- Na litość boską, ja się tu rozpląwam, a ty... Do licha, mogłaś powiedzieć, że masz mineralkę. – pochwycił butelkę i upił kilka sporych łyków. – Rany, tak się nade mną znęcać. – Beknął pod nosem.

Na Wrocławską zajęchali po prawie godzinnej męczarni w korku. Galiński zaparkował przed niewielką knajpą o nazwie „Abra Cadabra”, po czym ze sporą satysfakcją odpiął pas.

Pomieszczenie urządzone bardzo nowocześnie. Okrągłe dębowe stoliki pokrywały brązowe obrusy. W wysokich lichtarzach paliły się długie, chude świece. W de grała muzyka jazzowa, której brzmienie mąciły stłumione rozmowy klientów. Większość mężczyzn miała na sobie idealnie dopasowane, czarne garnitury. Kobiety ubrane były w drogie garsonki i żakiety. Ich stopy zdobiły błyszczące, eleganckie buty na wysokim obcasie. Pierwsze wrażenie, jakie odniósł Galiński było takie, że w knajpie trwa stypa. Zaczął się zastanawiać, kiedy podejdzie kelner i dyskretnie zasugeruje szybkie opuszczenie lokalu.

– Wybrałeś idealne miejsce na rozmowę – odezwała się ironicznie Kaśka, zajmując stolik w rogu sali. – I naprawdę podają tu spaghetti w sosie gulaszowym?

Galiński usiadł i rozejrzył się dookoła. Ostatni raz był tu kilka lat temu. Wtedy podawali tu pizzę i rozmaite makarony, a także przepyszną lasagne. Muzyka grała znacznie donośniej, bar oblegały tłumy podchmielonych gości, delektujących się smakiem piwa i rozmawiających tak głośno, że trudno było pozbierać myśli.

– Chcesz stąd wyjść? – zapytał. – Kawałek dalej jest jakaś włoska restauracja.

Kaśka jednak zaprzeczyła skinieniem głowy. Pierwszy raz tego dnia na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Daj spokój – oznajmiła, spoglądając w menu. – Zawołaj kelnera i zjedzmy coś wreszcie. Umieram z głodu.

Zamówili po kotlecie schabowym z frytkami i modrą kapustą. Wysoki, śniady kelner zaproponował jakieś nowe piwo bezalkoholowe, podobno

słodkie i niezwykle smacznie. Jak się później okazało, było zbyt słodkie, średnio smaczne, a kufel kosztował prawie trzydzieści złotych.

– Sheraton leży na łopatkach – skomentował Galiński.

– Nie smakuje ci? – Kaśka upiła łyżeczek, przypatrując się uważnie biologowi.

Z początku jedli w milczeniu, delektując się smakiem świetnie przyprawionego kotleta. Galiński nie chciał psuć klimatu, jednak nadszedł czas na rozmowę. Do dupy, pomyślał. Podniósł głowę znad talerza i otarł usta serwetką.

– Co chciałaś mi powiedzieć?

– Byłam dzisiaj w szkole zaledwie dwie, może trzy godziny – odezwała się z filozoficznym spokojem, który niemal wprowadził go w zakłopotanie. Pochylił się i odgarnął kosmyk włosów, który opadł jej na czoło. Wyprostowała się, uważnie rozejrzała po sali. Znał ją. Chciała mieć pewność, że nikt jej nie usłyszy.

– Wiem – upił łyk piwa. – Miałaś tylko dwie lekcje.

– Właśnie.

Jej oczy zmętniały. Poczł się dziwnie. Odniósł wrażenie, że jakby nagle przestał należeć do świata realnego. Przez moment zastanawiał się, czy to piwo aby na pewno jest bezalkoholowe.

– Na pierwszej lekcji jeden z uczniów zaczął się dziwnie zachowywać. Znasz go. To Adam Duszczał.

W całym liceum nie było nikogo, prócz Duszczał, kto potrafiłby rozwiązać zadanie matematyczne zanim nauczyciel wytłumaczył jak tego dokonać. Chłopak zadziwiał wszystkich ponadprzeciętną inteligencją i elokwencją. Świetnie przemawiał, choć przedmioty humanistyczne nie należały do jego ulubionych. Skupiał się na wiedzy ścisłej, głównie

matematycznej i fizycznej. Galiński czekał, aż dziewczyna powie coś więcej.

– Pewnie nie zwróciłabym na niego większej uwagi, gdyby nie jego kolega z ławki. Gość wstał i odskoczył, tak jakby trzepnął go prąd. Wyglądał na przestraszonego i totalnie otumanionego. Mało tego. Powiedziałabym, że był przerażony. Wbijał wzrok w Duszczaaka, nie wiedząc, co zrobić z rękoma. Zapytałam, co się stało, ale ten przez długi czas nie odpowiadał.

– Widziałaś, co go tak przeraziło?

A więc jednak, pomyślał Galiński. To dzieje się na szerszą skalę. Niedobrze. Kolejny chłopak. Zastanawiał się przez chwilę. Kolejna osoba, z którą działo się coś..., nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa. Działo się coś dziwnego, niewytłumaczalnego. Jego zasób słów był zbyt ubogi, aby nazwać siłę, która zagnieżdżała się w tych dzieciakach. Im bardziej o tym myślał, tym gęstsza mgła tworzyła się przed jego oczyma. Mgła niewiedzy i bezsilności.

– Wiesz, przypomniałam sobie o tym, co mówiłeś o Jasińskim. O tym, co ci się przytrafiło na lekcji.

– I co?

Popatrzyła na niego, rozkojarzona. Odsunęła od siebie talerz i potarła rękę.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Oczy tego chłopaka były takie... – zamilkła na moment – były takie nieludzkie. Duszczaak siedział w ławce, uśmiechając się szyderczo... Przez długi czas nawet nie mrugał. Dopiero po kilku wlokących się w nieskończoność minutach wstał. Wstał i... Dawid, on po prostu podszedł do swojego kolegi z ławki i rąbnął go pięścią w twarz. Nie wiedziałam, co mam robić. Patrzyłam na to, co się dzieje, walcząc z chęcią ucieczki stamtąd. Bałam się.

Milczał. Kaśka spuściła nisko głowę, chwyciła jego dłoń i mocno ścisnęła.

– Duszczał najpierw odezwał się w jakimś dziwnym języku, a potem wymamrotał coś po polsku. Nie potrafię sobie jednak przypomnieć słów. Sprawiał wrażenie obłąkanego...

– Opętanego? – Przyjrzała mu się.

– Opętanego?

– Uhm... – mruknął.

– Nie, Dawid, tego nie powiedziałam. Miałam na myśli coś innego.

– Co takiego?

Upłynęła kolejna minuta, zanim odpowiedziała: – Widziałam kiedyś ludzi w szpitalu psychiatrycznym. To, jak się zachowywali, jak mówili. Wiesz, jak spoglądali na siebie i na bliskich, którzy ich odwiedzali...

– Sugerujesz, że Duszczał oszalał?

Zamilkła.

– A Jasiński? – wałkował ją Galiński. – On też? Skarbie, to nie gra...

– A co, twoim zdaniem, gra?

– Doszło do morderstwa. Dokonanego przez zupełnie innego ucznia. Oni nie zwariowali, Kasiu. – Galiński ściszył głos. – Nie ześwirowali, jak uważasz. Coś ich opętało. Coś pokierowało ich umysłami. Nadal kieruje i to mnie najbardziej niepokoi.

Podszedł do nich kelner i ze sztucznym uśmiechem na twarzy zapytał, czy są jeszcze głodni.

– Nie – odrzekł twardo Galiński.

Kelner zawahał się chwilę. A potem uklonił się niepewnie, po czym odwrócił na pięcie i odszedł. Jego chód był sztywny, jakby do butów wsypano mu garść ostrych kamyczków.

Tymczasem Kaśka pochyliła się nad stolikiem i spoglądając ponad ramię biologa, wydała z siebie głośny pomruk.

– Wszystko w porządku? – zapytał trochę za głośno. Kilka osób ostentacyjnie odwróciło się w ich stronę i odniósł wrażenie, że za chwilę powtórzą po nim: Wszystko w porządku?

Wrażenie, że stał się częścią jakiegoś fantastycznego, pozbawionego logiki świata, spotęgowało się. Przymknął oczy. Targały nim różnorakie uczucia. Był zły, przygnębiony, bezradny i w dodatku zaczynała go boleć głowa. Cholerne piwo... – zaklął w duchu – za cholerną kupę forsy.

– Nie ciekawi cię, co przydarzyło mi się na kolejnych zajęciach? – zapytała niespodziewanie Kaśka.

Ocknął się, ale nie potrafił okazać zainteresowania. W głębi duszy wiedział, że wszystko, co usłyszy, wywoła w nim lęk i sprawi, iż żołądek podskoczy mu do gardła. Znowu szósty zmysł podpowiadał, że chodzi o któregoś z uczniów. Nic go już nie zaskoczy.

– Powiedz.

– Chodzi o Jasińskiego – odparła, cedząc słowa. – Nie dość, że zachowywał się jak idiota, krążąc w kółko po klasie, to jeszcze podbiegł do mojego biurka i oświadczył, że wyrznie nas wszystkich w pień.

Gdyby nie wiedział, co miała na myśli, stwierdziłby, że brak jej piątej klepki.

– Co dokładnie powiedział?

– Że szykuje się zagłada, ot co.

– Coś więcej?

– Jasne. Że wyrznie w pień wszystkich dookoła. Razem z kolegami, oczywiście. Deklamował coś w jakimś dziwnym języku, aż zakręciło mi się w głowie. Następnie pogroził mi palcem i oświadczył, że właśnie nastał czas ostatnich dni naszej kultury. Ledwie mogłam mówić. Byłam w szoku,

kiedy to usłyszałam. Pierwsze, co chciałam zrobić, to wezwać jego rodziców, pójść z nim do dyrektora. Nie wiem, zrobić cokolwiek, ale... – pokręciła głową. – Ale mogłam tylko patrzeć na niego. Albo to szok, albo co, Jezu, po prostu siedziałam przy biurku i nie potrafiłam nawet się odezwać. – A potem rozłożyła ręce i roześmiała się nerwowo.

– Nieźle, co?

– Hmm. – Zadumał się Galiński.

– Hmm? Tylko hmm? Nic więcej nie powiesz? Dawid, ludzie w tej szkole idiocieją! Do diabła, nie sądziłam, że spotka mnie coś takiego. Jestem kompletnie oszołomiona. Ostatnio słyszy się o gimnazjalistach, którzy terroryzują młodszych uczniów. O licealistach, którzy tłuką się na przerwach, łamią sobie nosy, ręce, nogi... ale to? – Odwróciła głowę i spojrzała przez okno. A potem dodała: – Wiesz, kiedy wspominałeś o oczach... pamiętasz, jak o tym mówiłeś? Pomyślałam, że jesteś przemęczony. – Patrzył na nią i uważnie słuchał. Pokręciła głową.

– Teraz sądzę, że nie ty byłeś przemęczony, ale że przemęczeni są wszyscy uczniowie. Mocno przemęczeni, jeśli wiesz, co mam na myśli. Oni są chorzy psychicznie, to cholerni, niebezpieczni psychopaci. Jeden z nich już zabił. Kwestia czasu i usłyszymy o kolejnym morderstwie. Wspomnisz moje słowa.

Galiński odsunął od siebie talerz.

– Próbujesz odgadnąć, co się dzieje, wyjaśnić to sobie po swojemu. Ale nie dopuszczasz do siebie myśli, że w dzieciaki mogło coś wstąpić.

Pochyliła się.

– Non stop to powtarzasz – powiedziała. – Coś. Coś. Coś. Ciągłe mówisz o jakimś czymś. Co masz na myśli? Ze zostały opętane? Tak uważasz?

– Być może.

Roześmiała się, trochę zbyt głośno.

– Dawid, nie żartuj sobie ze mnie.

– Sama widziałaś jak się zachowują. Sama słyszałaś ten język. I wspomniałaś o nieludzko wyglądających oczach.

– Oni nie są opętani, Dawid.

Zacisnął zęby. Miał ochotę opowiedzieć jej o głosie, który słyszy. Który rozlega się w jego głowie, drwi z niego, wyśmiewa. Najpierw jednak wolał dokończyć bieżący temat, poznać punkt widzenia Kaśki.

– W takim razie co? Nagle zwariowali? To chcesz mi powiedzieć? Że ześwirowali? Zbiorowo?

– To możliwe, Dawid. Zbiorowe zidiocenie. – Dotknęła jego dłoni.

Rąbnął pięścią w stół. Śniady kelner spojrzał na niego wymownie zza baru.

– Ale ja w to nie wierzę – warknął Galiński. – Rozumiesz? Nie po tym, czego byłem świadkiem. Widziałem tę zmianę, jaka nastąpiła w Jasińskim, kiedy wziąłem go do odpowiedzi. W jednej chwili był wkurzonym uczniakiem, modlącym się w duchu o łatwe pytania, a w drugiej gadał jak obłąkany...

– Właśnie, obłąkany...

Łapała go za słówka. Wkurzyło go to.

– Nie przerywaj mi. Byłem tam! Czułem atmosferę przygnębienia. Strachu. Trudno ją opisać. Tak, jakby „coś” wisiało w powietrzu. Jakby czyjaś dusza zawisała pod sufitem i obserwowała wszystkich. Kasiu, Jasiński nie zwariował. „Coś” w niego wstąpiło. I nie tylko w niego. Pogadaj z Kaczmarkiem, niech opowie ci swoją historię. Może wtedy spojrzysz prawdzie w oczy.

Pieszcząc rękę Galińskiego, Kaśka intensywnie myślała. Zastanawiał się o czym. Może sądziła, że to on zwariował? Gdy otworzyła usta, aby coś

powiedzieć, podszedł kelner.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Może chcieliby państwo coś domówić?

Nauczyciel podniósł na niego wzrok.

– Widzi pan tę parkę na drugim końcu sali? – powiedział, wskazując palcem na szczerzącego się do swej wybranki dwudziestolatka w garniturze, na oko droższym od samochodu Galińskiego.

– Owszem – odparł kelner.

– W takim razie jeśli musi pan zawracać komuś tyłek, proponuję, aby najpierw dobrał się pan do nich.

Chwilę później zostali przy stoliku sami.

– Co chcesz zrobić? – zapytała Kaśka. – Uparłeś się, co?

– Uparłem?

– Tak. Wierzysz w to, że ci uczniowie zostali opętani. Co więc zamierzasz zrobić? Zawołać księdza? – Zamrugął, a potem obejrzał się za siebie. Śniady kelner posłał mu piorunujące spojrzenie.

– Rachunek – wycedził przez zęby Galiński.

* * *

W drodze do domu nie rozmawiali. Ich nietęgę minę znamionowały zaniepokojenie. Galiński nie mógł zrozumieć, dlaczego Kaśka tak bardzo upiera się przy swoim stanowisku. Przecież ta cała teoria o rzekomym szaleństwie licealistów była kompletnie niewiarygodna. Być może jego wcale nie brzmiała rozsądniej, jednak z całą pewnością była bardziej prawdopodobna. Myśląc o tym, niemal puścił kierownicę. Jeszcze trochę, a odruchowo złapałby się za głowę.

Do diabła, opętanie? Naprawdę brał pod uwagę taką ewentualność? To wszystko było pochrzanione i napawało go odrazą. Nie wiedział, co robić, co powiedzieć. Ba! Nie wiedział nawet, co o tym wszystkim myśleć.

Kiedy znaleźli się w domu Galińskiego, Kaśka oznajmiła, że musi wziąć prysznic. Pocałował ją w czoło i przyniósł świeży ręcznik. Patrzył jak zamyka drzwi od łazienki, a potem usiłował przypomnieć sobie słowa, które Jasiński wyśpiewał podczas odpytki. Pamiętał trzy pierwsze wersy.

Choć w jadeicie rzeźbieni – rozpadliśmy się.

Choć ze złota kuci – czas nas zabrał.

Choć z piór Quetzala – ślad po nas zaginął.

Co było dalej?

Stał jak słup soli przed drzwiami do łazienki i odtwarzał w pamięci obrazy z tamtej lekcji. Nie potrafił sobie przypomnieć reszty słów. Był wściekły, oszołomiony, miał mętlik w głowie. Przez chwilę wsłuchiwał się w szum wody. Wyobraził sobie gładkie, smukłe ciało Kaśki, jej piersi, pośladki, ramiona. Zastanawiał się, czy do niej nie dołączyć, ale jego umysł zdominowały myśli, które skutecznie tłumiły podniecenie.

Wspiął się po schodach na piętro. Jego gabinet – jeśli tak można nazwać niewielki pokój z wyeksploatowaną kanapą, drewnianym stołem, dwoma fotelami, wysokim regałem na książki i biurkiem z komputerem – znajdował się na końcu korytarza. Było tam tak duszno, że z miejsca otworzył okno, przeklinając się za to, że nie zrobił tego rano, zanim wyszedł do pracy. Przysunął sobie jeden z foteli i zasiadł przed monitorem. Uruchomił sprzęt i odczekał, aż na pulpicie pojawiły się kolorowe ikony. Włączył Internet i wpisał adres wyszukiwarki.

Co tak właściwie chciał znaleźć? Dowód, że nie odbiła mu szajba? W jaki sposób miał to udowodnić? Wpisał w Google trzy pierwsze wersy utworu, który zaśpiewał Jasiński. Żałosne, skomentował, obserwując wyskakujące strony internetowe.

Nie miał nawet punktu zaczepienia. Te linijki tekstu mogły znaczyć cokolwiek. Przeglądając w skupieniu linki, starał się wykazać jak największą cierpliwością. Spokojnie, tylko spokojnie, powtarzał w duchu.

Mijały minuty. Nie znalazł nic ciekawego. Uparcie przeglądał kolejne strony, walcząc z chęcią rozbicia monitora klawiaturą. Co chwila natrafiał na linki z wierszami, piosenkami, jednak w żadnym z utworów nie padały pożądane słowa. Widocznie wyszukiwarka potraktowała tajemnicze wersy jako fragmenty utworów lirycznych i teraz kierowała poszukiwacza na tego typu portale.

Szukał dalej, odwiedzając wskazywane przez Google serwisy erotyczne, jakąś stronę o hodowli marihuany na Kubie i kolejne portale literackie. Starał się dość dokładnie przeglądać wszystkie strony, na jakie natrafiał, ale nie znalazł niczego, co mogłoby okazać się pomocne.

– Dawid? – usłyszał ciepły głos Kaśki. Kąpiel nieco ją odprężyła, pozwoliła odetchnąć i pozbierać myśli. – Co robisz?

– Sam nie wiem.

– Szukasz czegoś?

Podeszła do niego i pocałowała w czubek głowy. Chłodnymi dłońmi zaczęła ugniatać spięte mięśnie, mocno i energicznie, aż jęknął. Poczul przeszywające dreszcze i na moment zamknął oczy.

– Wpisałem do przeglądarki słowa tej piosenki...

– Tej, którą śpiewał Jasiński?

– Właśnie.

– Myślisz, że te słowa znaczą cokolwiek?

– Nie mam pojęcia. Najwyraźniej nie znaczą zbyt wiele, skoro nawet największa wyszukiwarka ma problem z ich rozpoznaniem.

Obeszła fotel i usiadła mu na kolanach. Miała na sobie tylko szlafrok. Przez cienki materiał prześwitywały ciemne, sterczące sutki jej kształtnych piersi. Pochyliła się i pocałowała go w usta. Odwzajemnił pocałunek, obejmując ją w pasie. Była krucha, ale nie chuda. Wszelkie krągłości zostały idealnie zachowane. Uwielbiał jej biodra – wąskie, świetnie ukształtowane, jakby rzeźbione dłutem perfekcjonisty. Kiedy spoglądał na nią nagą, nie mógł wyjść z podziwu. Marzył, by zacząć pieszczoty, jednocześnie patrzeć, jak porusza się, jak wypina figlarnie swoją drobną pupę, zachęcając go do czynów absolutnie lubieżnych. Uwielbiał to. Ocknął się, kiedy wstała i zaproponowała kawę.

– Z podwójną śmietanką, co ty na to? – Skinął głową.

– Tak, tak, dzięki.

– I z cukrem. Nic tak nie dodaje sił, jak wszelkie słodkości.

Uśmiechnął się, obserwując jak na bosa opuszcza pokój. Będąc przy drzwiach, zatrzymała się na chwilę.

– Będziesz dalej szukał? – spytała. Krótka chwila rozmarzenia ulotniła się równie szybko, jak się pojawiła.

– Tak, jeszcze trochę poszperam – odpowiedział ponuro. – Intryguje mnie tekst tej piosenki. Mam wrażenie, że te słowa coś znaczą. Najgorsze jest to, że nie wiem, jak prawidłowo napisać jedno z nich.

– Które?

– Kecała. Tak ono brzmiało.

– Kecała?

– Choć z piór kecala – ślad po nas zaginął.

Zamyśliła się.

– Może spróbuj przez „q” – zaproponowała po chwili.

– Qecala?

– Albo qetzala? Pokombinuj. Pewnie trafisz na coś bardziej sensownego.

To nie był zły pomysł. Pośpiesznie wprowadził zaproponowaną przez Kaśkę korektę i kliknął przycisk „Szukaj”. Tym razem oprócz adresów portali erotycznych i literackich, znalazł coś jeszcze. Nazwy dwóch nowych linków nie były długie, za to bardzo intrygujące. Najczęściej występującymi słowami były: „Aztekowie”, „Pierzasty wąż”, „Teotihuacan” i „Bóstwo”.

Drżącą ręką kliknął myszką i po chwili otworzyła się przed nim strona o Mezoameryce. Na widok barwnych rysunków bożków o dziwacznych imionach i zagmatwanych symboli, zakręciło mu się w głowie.

Dostrzegł coś jeszcze. Na samym dole strony, kolorową i wytłuszczoną czcionką widniały słowa, które znał doskonale. Jak się okazało, były to strofy poematu, napisanego na cześć króla-poety o tak zakręconym imieniu, iż Galiński potrzebował kilku dłuższych chwil, aby prawidłowo je odczytać.

Netzahualcoyod – Głodujący Kojot, wielki poeta, wspaniały wódz, który za sprawą swych umiejętności poprowadził swój lud do niejednego zwycięstwa. Przyjacielski i skory do żartów, bywał jednak przesadnie zasadniczy. Potrafił jednego dnia złożyć w ofierze bogu Huitzilipohtli czterdziestu, a nawet pięćdziesięciu, najmężniejszych wojowników. Śpiewana na jego cześć pieśń miała na celu podkreślić jego potęgę, jednocześnie ukazać grozę nadciągającej zagłady...

– Netza... – Galiński oderwał wzrok od monitora i skołowany potrząsnął głową. – Netza... Matko... Huitzili... lo... Huitzilipoh...

Nie znał się zbyt dobrze na kulturze dawnego Meksyku, a już z pewnością nie miał pojęcia, jakim cudem Aztekowie wypowiadali imiona swoich bogów, nie łamiąc sobie przy tym języków.

Huitzilipochtli. Netzahualcoyod.

Usłyszał wchodzącą do pokoju Kaśkę. Przyczłapała do biurka i podała mu kubek kawy.

– I co? – spytała, spoglądając w monitor. – Znalazłeś coś?

Chciał odpowiedzieć, ale nagle powieki zaczęły ciążyć mu tak bardzo, że mógł je rozewrzeć jedynie nieznacznie i tylko na kilka sekund. Nie potrafił wykrztusić słowa. Poczucił się co najmniej dziwnie, tak jakby tym razem jego opętała jakaś niewidzialna moc, wysysając całą witalność.

Ponownie spojrzął na znajomy tekst. Zauważył, że niektóre słowa były napisane w nieco innej formie.

– Rozpadniecie się – przeczytał na głos. Mógł przysiąc, że Jasiński zaśpiewał: „Rozpadliśmy się”. – „Czas nas zabierze”. – Z całą pewnością chłopak zaśpiewał: „Czas nas zabrał”.

Głupi szczegół, niemal niezauważalny. Odniósł jednak natychmiastowe wrażenie, że ów szczegół miał w tym przypadku spore znaczenie. Musiał pogodzić się z niewiedzą. Podniósł głowę i zerknął na Kaśkę. Stała nad nim, uważnie czytając słowa poematu. Minęło dobrych kilka minut zanim ostrożnie, jakby w obawie przed czymś niewytłumaczalnym, wypowiedziała to dziwaczne imię: – Netzahualcoyod.

– Głodujący Kojot – przetłumaczył Galiński. – Znasz gościa?

Zamyśliła się.

– Zawsze chciałam polecieć do Meksyku – oznajmiła po chwili. – Zobaczyć to wszystko na własne oczy. Wiesz, piramidy, posągi, dżunglę. Poczucić zapach dawnego Tenochtitlanu.

– Jakoś mnie nie ciągnie – bąknął.

Nie masz pojęcia, co tracisz, głos w jego głowie zdawał się być głośniejszy, wyraźniejszy. Twoja pani dobrze prawi.

Na twarzy Kaśki zagościł uśmiech. Położyła rękę na jego ramieniu i delikatnie ścisnęła.

– Wiesz, pewnie ten cały Netzahualcoyod zamieszkiwał kiedyś dawny Meksyk.

– Naprawdę? – Mimowolnie zadygotał.

Ty i te twoje bezsensowne pytania, Dawidzie...

ROZDZIAŁ 4

DZIWNY SEN

Wyłączył komputer, ziewnął szeroko, poruszył szyją w prawo i lewo, by rozluźnić spięte mięśnie. Nie miał pojęcia, co go tak nagle zmęczyło. Wbijanie wzroku w cholerny monitor? Zakaszłał kilka razy i oparł się w fotelu, niezdolny, aby odpowiedzieć na szereg nurtujących go pytań. Kaśka w milczeniu łypała na niego wzrokiem. Zapewne nie wie, co powiedzieć, pomyślał. Słowa pociechy w stylu: „To tylko zmęczenie spowodowane natłokiem obowiązków” nie pasowały do sytuacji.

Wypił duszkiem prawie cały kubek kawy i odchylił głowę do tyłu, zamykając na chwilę oczy. Miał chęć ponownie uruchomić komputer i poszukać więcej informacji o Głodującym Kojocie, na którego cześć śpiewano tę dziwną pieśń. Skąd Jasiński znał tekst? I dlaczego odśpiewał go przed całą klasą? Idiotyczne pytania, stwierdził Galiński. Szkoda czasu, by próbować na nie odpowiedzieć. Niemniej pojawiały się kolejne. Całe mnóstwo pytań. Nie potrafił nad nimi zapanować. Kłębiły się w jego głowie jak wygłodniałe korniki.

Netzahualcoyod. Powtarzał w myślach imię azteckiego władcy, jednocześnie usiłując odpowiedzieć sobie na pytanie, czy fakt, że Jasiński zacytował właśnie ten utwór, nie był zbiegiem okoliczności. Czy chłopak mógł oszaleć? Nie wierzył w taką ewentualność. Wciąż podświadomie czuł, że w powietrzu wisi niewidzialna chmura. Chmura, z której wkrótce lunie

deszcz rozpaczy i strachu. Ziewnął szeroko, po czym wstał z fotela i objął Kaśkę. Pocałowała go w podbródek, a następnie polizała jego usta.

– Napijesz się jeszcze kawy? – zapytała.

– Jutro od samego rana mam lekcje – odparł. – Wolę się od razu położyć.

W sypialni Galiński z miejsca pozbył się ubrania. W samych slipkach poszedł do łazienki wyszorować zęby. Długo stał nad umywalką i wpatrywał się w swoje lustrzane odbicie. Miał lekko przetłuszczone włosy, ale brakowało mu sił, by je umyć. Zrobi to jutro rano. Teraz pójdzie spać. Bolały go mięśnie i głowa. Uczucie senności potęgowało się z sekundy na sekundę, a kiedy opuszczał łazienkę, stało się niemal paraliżujące.

– Co się, do diabła, dzieje? – mruknął pod nosem i przystanął na moment, aby odetchnąć. Skronie pulsowały uporczywie, jakby ktoś mu wbijał w nie dłuta.

Wszedł do sypialni i usiadł na łóżku. Kaśka ściągała właśnie szlafrok i zobaczył jej kształtne piersi. Zakołysały się leniwie, jakby w zwolnionym tempie. Posłał jej beznamienne spojrzenie, choć gdzieś głęboko w jego wnętrzu budziło się pożądanie.

– Połóż się – powiedziała, podchodząc do okna i zaciągając ciemne, wzorzyste zasłony.

– Jestem wykończony.

– Emocje – wyjaśniła krótko, delikatnie błędząc palcami po materiale zasłony. Jej jędrne pośladki przypominały dwie dojrzałe połówki jabłka – Chyba za bardzo się tym wszystkim przejęliśmy.

– Tak uważasz? – Kaśka odwróciła się do niego.

– Owszem. Wydarzyło się wiele potwornych rzeczy, które nami wstrząsnęły, ale musimy żyć dalej, nie sądzisz? Ja już nie mam siły o tym wszystkim myśleć. Czuję, że wariuję. Niech sprawę zabójstwa bada sobie policja. W końcu kto, jak nie oni, mogą wyjaśnić zagadkę?

Racja, kto, jak nie oni...

Tak, musimy żyć dalej...

Westchnął.

A co jeśli Duszczakowi znowu odpierdoli? Jak Kaśka wtedy zareaguje? Pewnie powiadomi szkolnego psychologa. A następnie zawiadomi rodziców delikwenta. O ile będzie w stanie ruszyć się z miejsca. Martwił się o nią i o te dzieciaki.

Jaka byłaby reakcja Galińskiego, gdyby któryś z jego uczniów znowu zaczął śpiewać azteckie pieśni? Nie miał pojęcia, co zrobiłby w takiej sytuacji. Między innymi dlatego obawiał się kolejnego dnia.

– Ten Duszczak... – wymamrotał. – Wtedy, w klasie...

– Tak? – Posłała mu pytające spojrzenie.

– Powiedziałem ci, że podczas odpytywania Jasińskiego poczułem dziwną atmosferę. Jak gdyby coś wisiało w powietrzu. Pamiętasz?

– Pamiętam. I co?

– Czy w przypadku Duszczaka nie czułaś, że...

Skinęła głową, następnie usiadła obok na łóżku i dotknęła jego nagiego ramienia.

– Dawidzie, byłam bardzo zdenerwowana. Wiesz, w pewnym momencie nawet się wystraszyłam. W oczach tego chłopaka rozbłysła... nie wiem, jak to określić. To była dzikość. Taka sama, jaką dostrzega się w oczach szaleńca. Mówiłam ci...

– Wiem... Wiem, że mówiłaś. A powiedz, czy... nie pomyślałaś, że w klasie jest ktoś jeszcze? – Zaskoczyło ją to pytanie. I chyba też lekko zirytowało.

– Dawid, znowu zaczynasz?

– Nie odniosłaś wrażenia, że tego chłopaka coś opanowało? Jakaś siła?

Świadomie rozmyślał o czymś, czego nie potrafił zrozumieć. Działanie szóstego zmysłu nie dawało mu spokoju. Nie do końca pojmował, co tak naprawdę go intrygowało. To tak, jakby usiłować ogarnąć wzrokiem zapach. Rozpoznawalny w nozdrzach, cholernie intensywny, ale niewidzialny.

Galiński wiedział, że ta tajemnicza siła nie jest wytworem jego wyobraźni. Nie powstała na skutek zmęczenia czy rozkojarzenia. Była całkiem realna, niemal namacalna, a jednak nie dało się jasno stwierdzić, czym w rzeczywistości jest, skąd pochodzi i dlaczego tak wyraźnie wpływa na uczniów liceum imienia Generałowej Zamoyskiej. Spojrzał na Kaśkę.

– Nie, skarbie – wyszeptała w końcu. – Nie odniosłam takiego wrażenia. Czuję strach, to prawda. Ostatnio zbyt wiele złego dzieje się w gimnazjach i szkołach średnich. I jeszcze to zabójstwo. Ale... – urwała na moment i westchnęła. – Nie, na pewno nie pomyślałam, że został opętany.

Może bała się do tego przyznać? Może po prostu nie chciała rozmawiać o swoich lękach? Nic z tego nie rozumiał. Zawsze byli ze sobą szczerzy. Nie mieli problemów z porozumieniem się, ani z brakiem zaufania do siebie. Z drugiej strony nie miał powodów, aby sądzić, że ukrywa przed nim prawdziwe uczucia. To było do niej niepodobne.

Musiał odpocząć. Oczyszczyć umysł. Koniecznie. W przeciwnym razie popadnie w obłąd jeszcze tego wieczoru.

– W porządku, żabko – mruknął, a potem pocałował ją w ucho. – Wywiad skończony – dodał, ale słowa ledwo przeszły mu przez gardło.

– Na pewno? Bo ja już mam dość. – Zmierwiła sobie włosy.

– Na pewno. Co nie oznacza, że nie wrócimy do tego tematu. – Puścił jej ostentacyjnie oko. Westchnęła z udawanym zrezygnowaniem.

– Może teraz zejdziemy na inny temat?

Zmysłowo wydeła wargi i przybliżyła głowę, zachęcając go do pocałunku. Dotyk jej miękkich, wilgotnych ust sprawił, że po plecach przebiegł mu przyjemny dreszcz. Poczuł jak mrowieję mu uda i podbrzusze. Pomogła mu zdjąć slipki i dotknęła penisa – bardzo delikatnie, jakby bała się, że najłżejsza pieszczota może sprawić mu ból. Jęknął. Jej chłodne palce zaczęły wędrować po jego przyrodzeniu, od góry aż po sam dół. Kiedy leciutko podrapała go po jądrach, zesztyniał i wstrzymał na kilka sekund oddech. Wyprężył się w pozycji siedzącej, po czym przymknął oczy. Popchnęła go i opadli plecami na łóżko.

– Skarbie... – wychrypiał.

– Tak? – Nie zdejmując dłoni z pęczniejącego penisa, zaczęła całować Galińskiego po klatce piersiowej. Ssała i gryzła sutki niczym spragniony kociak. Zadrżał, gdy po chwili jej głowa zesunęła się niżej i wolno zaczęła zmierzać ku pępkowi.

– Zaraz całkiem się obudzi – szepnęła. Jej język wbił się w niego z impetem, następnie ruszył jeszcze niżej. Wypuściła członek z dłoni, by po chwili wziąć go do ust. Nie mógł się powstrzymać, aby nie spojrzeć na powolne ruchy jej głowy. Dostrzegła malujące się na jego twarzy podniecenie. Aby spotęgować je jeszcze bardziej, odrzuciła włosy i patrząc na niego rozmarzonym wzrokiem, polizała czubek penisa.

– Twardy jak pal – stwierdziła, uśmiechając się.

– Dawno taki nie był, co? – wystękał, patrząc, jak Kaśka zaczyna energicznie lizać penisa.

Subtelnie wycalowała oba jądra, po czym zwilżyła wargi, aby dostrzegł, jak bardzo jej się ta zabawa podoba. Czuł, że jeśli ona zaraz nie przestanie, eksploduje.

Jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz, mały, powtarzał w duchu, zaciskając szczęki i usiłując zapanować nad kumulującym się w jego wnętrzu ciepłem.

– Kochanie – stęknął znów.

Lecz Kaśka nie podniosła nawet głowy. Wciąż pieściła językiem nabrzmiałego, mięsistego penisa, który pulsował jej w ustach, gotowy do wielkiej eksplozji. Szczupłe ręce dziewczyny wędrowały po całym ciele Galińskiego. Zauważył, że drżą. W momencie, kiedy wyciągnął dłoń, chcąc przyciągnąć Kaśkę do siebie, zdał sobie sprawę, że dłużej nie wytrzyma. Zacisnął powieki i wygiął ciało w łuk, czując jednocześnie przypływ nieopisanego, obezwładniającego ciepła.

Miał właśnie ejakulować, gdy niespodziewanie wypuściła członek z ust. Galiński przez chwilę leżał w bezruchu i głęboko oddychał. Wiedział, że Kaśka obserwuje jego napięte mięśnie brzucha i klatki piersiowej. Podniósł głowę i dotknął jej włosów. Były miękkie, jeszcze wilgotne po kąpieli. Pachniały kwiatowym szamponem.

Wdrapała się na niego i po chwili ich wargi złączyły się w zachłannym pocałunku. Jej język penetrował każdy zakamarek ust mężczyzny. Czuł, jak masuje mu podniebienie, przesuwa się po zębach górnej szczęki i jak trąca śliską powierzchnię policzków. Ugniatał jej drobne pośladki, delektując się każdą upływającą sekundą. Potrzebował zbliżenia jak nigdy dotąd. Miał ochotę krzyczeć z radości, błagając, aby ten wieczór trwał jak najdłużej.

– Jesteś gotowy na ciąg dalszy? – szepnęła mu do ucha, po czym polizała je. Ciężkie piersi napierały na jego tors.

Zdołał tylko skinąć nieznacznie głową i westchnąć, na co Kaśka przyłożyła mu palec do ust, trącając uprzednio górną wargę.

– Kocham cię – oświadczyła.

– Ja ciebie też kocham.

– No więc? Jesteś gotowy?

A potem podniosła się i ujrzał je – duże, idealnie okrągłe. Kiedy pierwszy raz zobaczył ją nago, to pomyślał, że nie są dziełem samej natury,

że taki kształt można osiągnąć jedynie dzięki operacji. Mylił się. Piersi Kaśki były po prostu kolejnym naturalnym cudem świata, a ich widok sprawiał, że nie potrafił oderwać od nich wzroku. Hipnotyzowały, kołysząc się w takt miłosnych pchnięć.

Musiała zauważyć, że wpatruje się w nie z lekko rozchyłonymi ustami, bo zachichotała i pochyliła się nieznacznie, aby mógł je pocałować. Uczynił to z największą rozkoszą. Krążył językiem wokół brodawek, co jakiś czas delikatnie przygryzając sutki, aż zrobiły się prawie tak twarde jak pestki śliwki. Kiedy zerknął na jej twarz, zobaczył, że ma przymknięte oczy. Cichutko pojękiwała, co tylko dodawało mu zapału do dalszych pieszczot. W końcu, nie mogąc powstrzymać podniecenia, pochwyciła jego penis i wycelowała go prosto między swoje wargi sromowe. Jej perfekcyjnie ogolony wzgórek łonowy był lekko zaróżowiony, a skóra na brzuchu i piersiach brązowa od opalenizny.

Zanim usiadła na nim, zwilżyła palce śliną, którą następnie wtarła w żołądź Galińskiego. Doskonale wiedziała, jak pobudzić go do granic ludzkich możliwości. Wiedziała, co zrobić, by zmusić go do wypowiedzenia błagalnych słów: – Proszę – jęknął, ku jej sporej satysfakcji i, sfrustrowany, poruszył biodrami, zachęcając, by wreszcie usiadła na nim w pełnym tego słowa znaczeniu.

Odczekała jeszcze tylko chwilę. A potem nadziała się na sterczący wysoko w górze członek, aż zniknął mu z oczu. Zdołał tylko chwycić ją za uda tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę niczym tępe sztylety. Syknęła – nie z bólu, ale narastającego pragnienia.

Ujeżdżała go rytmicznie, podnosząc się i opadając. Z każdą kolejną sekundą wkładała w to więcej energii, z każdą minutą coraz mniej kontrolowała swoje ruchy. Z początku tylko cicho pojękiwała, dotykając

dłonią jego palców. Pieścił jej piersi. Ugniatał je, usiłując pochwycić w całości, lecz były zbyt duże, zbyt śliskie od potu.

Słyszał jak ich ciała zderzają się ze sobą. *Staccato* namiętności podsycalo jego pożądanie, dodawało mu sił. Pieszcząc jej brzuch dostrzegł, jak bardzo napięła mięśnie. Przyśpieszone oddechy przerodziły się w głośne jęki. Coś ścisnęło jądra Galińskiego niczym wielkie metalowe imadło. Czuł, że zaraz rozsadzi go energia. Miał nadzieję, że ona czuła podobnie i że przeżyją to razem.

Eksplodował w momencie, gdy Kaśka odrzuciła głowę do tyłu i zacisnęła dłonie na jego łydkach. Gorąca sperma trysnęła w nią niczym woda z pękniętego węża. Wydał z siebie donośne jęknięcie, które brzmiało bardziej jak ostatnie westchnienie wycieńczonego wędrowca niż miłosne uniesienie. Ucisk na łydkach zelżał i po chwili, nie wyciągając z siebie prącia, Kaśka opadła na klatkę piersiową Dawida. Dyszała ciężko, spocona, o zamglonym spojrzeniu. Pocałował ją i objął. Poczul nieopisane odprężenie i błogość, zupełnie jak po spożyciu sporej ilości alkoholu.

- Uwielbiam cię, żabko – oznajmił.
- A ja ciebie – odparła lekko zachrypniętym głosem. – Podobało ci się?
- To pytanie retoryczne?
- Chyba erotyczne. Powiedz... Dlaczego ostatnio nazywasz mnie żabką?
- Hmm... Rzeczywiście, nazywam cię tak...
- Więc?
- Więc co?
- Więc powiesz mi dlaczego?
- Nie, nie. Będziesz zła.
- Zła? Lepiej powiedz mi to od razu! – Uniosła głowę, by spojrzeć na niego.
- Na pewno chcesz wiedzieć?

– Tak!
– Cóż – spojrział na nią kątem oka – jako dziecko miałem psa, suczkę...
– Psa?
– Wabiła się Żabka.
– Wabiła się?
– I gdy ujrzałem ciebie...
– Żabka... Ty...
– ...miałaś takie same oczy. Roześmiane. Jak Żabka.
– Ty...
– I te oczy spowodowały, że się w tobie zakochałem. Wiedziałem, że znalazłem coś, co znowu będzie dla mnie tak bardzo ważne... I dlatego zacząłem nazywać cię Żabką. Bezwiednie trochę...

Na obliczu Kaśki pojawiły się skrajne emocje – od śmiechu do łez. Przytulił ją mocno, a następnie pocałował w ramię. Nagle odsunęła się, posłała mu kuksańca i parsknęła śmiechem. Miała łzy w oczach. Zamilkli.

W głowie Galińskiego również rozległ się śmiech. Pojawił się nagle, paraliżując go całkowicie. Był donośny, ale całkiem pozbawiony wesołości. Pobrmiewało w nim szyderstwo i złośliwość. Miażdżył psychikę. Druzgotał jestestwo.

* * *

Godzinę później Kaśka zasnęła z głową na jego torsie. Galiński przez jakiś czas wpatrywał się beznamiętnie w pogrążony w mroku żyrandol. Nie czuł się już wykończony, choć miał świadomość, że błogi stan, jaki ogarnął go po fantastycznym seksie sprawi, że lada moment uśnie.

Cholerna szkoła, pieprzone przeczucia. Gówno, gówno, gówno. Na myśl o tym wszystkim, co wydarzyło się od dnia, w którym przywołał do odpowiedzi Jasińskiego, aż do dzisiejszego wieczoru, kiedy Kaśka pochwyciła w swe dłonie jego penisa, zaczynało go telepać. Dopiero seks podziałał na niego jak najlepsze na świecie lekarstwo. W sumie nic nowego. Uwielbiał łóżkowe zabawy. Zawsze dawały mu odprężenie i nastawiały optymistycznie.

Pogłaskał Kaśkę po głowie. Delektując się słodkim zapachem jej włosów, poczuł, że ogarnia go senność. Kontury żyrandola zniknęły. Wpadł w ciemność.

Ze zdumieniem spostrzegł, że jest już całkiem jasno. Odwrócił głowę w stronę okna i zobaczył podążający wąską, kamienną drogą samochód. Stary i poobijany. Opel. A może Ford. Po chwili auto odjechało i zapanowała cisza. Podniósł się na łokciach, po czym wychylił z łóżka i rozsunął zasłony. Promienie słoneczne momentalnie zdzieliły go po twarzy, niczym cienkie, tajlandzkie bicze. Musiał spać cholernie twardym snem.

Przeciągnął się i zerknął na zegarek. Która mogła być godzina? Budzik jeszcze nie dzwonił, tego był pewien. Z pewnością usłyszałby jego dźwięk – paskudną melodyjkę wzorowaną na kawałku *Mandy Barry*'ego Manilowa. Celowo ją sobie ustawił. Budziła go natychmiast.

Mrużył oczy, aż w końcu otworzył je na całą szerokość. Usiłował dostrzec wskazówki zegarka, ale uciekały mu, jak gdyby nagle ożyły.

Mruknął pod nosem, następnie podniósł z nocnego stolika srebrnego Timexa i potrząsnął nim. Nadal nic. Wskazówki wciąż były niedostrzegalne, w szaleńczym tempie kręciły się po tarczy.

Przecież mam cholerny budzik, do diabła. Omiótł wzrokiem nocny stolik, ale nigdzie go nie było. W momencie, kiedy spuszczał nogi z łóżka, usłyszał głos Kaśki: – Nie idź – nie wyglądała na zasną.

– Która godzina? Coś się stało z tym paskud...

– A czy to ważne? Chodź tu do mnie.

Westchnął.

– Kochanie, na dziesiątą mam lekcje. Ty na dziewiątą, o ile mnie pamięć nie myli.

– Pieprzyć zajęcia. Po prostu kochaj się ze mną.

– Co? Teraz?

– Tak, teraz. Kochaj się ze mną.

Jej głos. Wywołał w nim dreszcze. Ona nie prosiła. Nakazywała mu. W sposób, w jaki jeszcze nigdy tego nie robiła. Głos. Jakby inny. Obcy... Poczul się spięty. I chyba zaniepokojony.

– Słuchaj, pójdę sprawdzić, która jest godzina.

Wtedy podniosła się na łokciach i chwyciła go za nadgarstek.

– Chodź tu – rzekła twardo. – Chodź tu i zrób to ze mną.

Pociągnęła Galińskiego, wbijając mu paznokcie w skórę. Syknął z bólu.

– Chodź tu! – powtórzyła. Nie potrafił się przeciwstawić. Ogarnął go lęk. Kaśka... Co się stało? Co z nią?

Sposób, w jaki na niego patrzyła... W jaki mu rozkazywała. I jeszcze ten głos. Niby brzmiał normalnie, ale... Nie, coś z nim było nie tak.

– Ja... – wydusił. Nagle pchnęła go mocno i wbił się głową w poduszkę. Był bezradny. Zbyt słaby, aby zrobić cokolwiek. Potrząsnął głową, przez którą przelatywały setki, tysiące myśli. Nacierają ze wszystkich stron, jakby cały dom był nimi naszpikowany. Jakby nie mogły znaleźć ujścia. Zaatakowały go w momencie, gdy był najbardziej przerażony.

Kaśka usiadła na nim. Jej twarz była blada, bez wyrazu.

– Rznij mnie! – ryknęła.

– Kaśka...

– Rznij mnie, natychmiast!

Pochwyciła jego zwiotczały członek i potrzęsała nim, aż poczuł dotkliwy ból.

– No dalej – ponagliła. – Co jest? Nie podniecam cię już? Nie chcesz mnie zerznąć?!

Świat zawirował. Stał się kompletnie nierzeczywisty.

Wydarł się na całe gardło jak kompletny głupek. Nagle wpadł w ciemność. Na krótką chwilę, po której zobaczył Kaśkę ponownie.

Ujeżdżała go. Tak, jak ostatniego wieczoru. Z tym wyjątkiem, że teraz tkwiła w niej prawdziwa bestia. Patrzył na swój członek, który wsuwał się i wysuwał z jej pochwy. Był nadal miękki, a jednak znalazła sposób. Zawsze potrafiła znaleźć sposób. Na wszystko.

Nie, nie, nie, zawodził w myślach. To tylko sen, który zaraz się skończy. Tylko pieprzony, surrealistyczny koszmar – nic więcej.

– Tak! Och! Tak! Różnij mnie! – wrzeszczała Kaśka, a jej głos był ciężki, chrapliwy, nieludzki.

Chwyciła swoje piersi i mocno ścisnęła. Skóra momentalnie zaczerwieniła się, ale kobieta nie zwracała na to uwagi. Nie przestając ujeżdżać Galińskiego, zaśmiała się gardłowo. Był to śmiech odmienca z domu wariatów, kogoś, kto nie zdaje sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje i kim tak naprawdę jest.

Galiński wiedział, że nic nie może zrobić. Nie miał wpływu na to, co się działo. Czekał, aż cały ten koszmar dobiegnie końca. Pozwalał Kaśce robić wszystko, na co miała ochotę. Śnił, miał tego świadomość. Mimo to oddychał głęboko, pragnąc choć trochę złagodzić własne napięcie. Był jednak zbyt zdenerwowany, by zapanować nad trzepoczącym sercem. Zamknął oczy.

Obudź się... Obudź...

Czuł rwący ból ud. Kaśka skakała na nim jak opętana. Z jej gardła wydobywało się teraz donośne rżenie. Czym się stała? Co w nią wstąpiło? Pytania pozostawały bez odpowiedzi.

Obudź się...

Ponownie otworzył oczy i obrócił głowę w kierunku okna. Musiał wytrzymać. Jeszcze tylko trochę i wszystko wróci do normy. Starając się nie wpaść w panikę, wywołaną totalnym absurdem sytuacji, spojrzął w niebo. Było jasnoblękitne, bezchmurne. Tak niebywale realne. Niemal czuł na twarzy powiew wiatru, słyszał śpiew ptaków. To musiało się skończyć. Zacznie wrzeszczeć. Zacznie wierzgać nogami, szamotać się, bić głową w poduszkę. Może to sprawi, że wreszcie zbudzi się z tego piekielnego koszmaru! Nie mógł się jednak poruszyć.

Nagle i Kaśka znieruchomiła. Spojrzął na nią w obawie, że za moment zdarzy się coś jeszcze, coś o wiele bardziej przerażającego, duszącego i, najzwyczajniej w świecie, idiotycznego. Kobieta jęknęła głośno, po czym otworzyła usta i wydała z siebie kilka kolejnych nieartykułowanych dźwięków.

Powoli zaczęła wyciągać z siebie zwiotczalego niczym skórka od banana penisa Galińskiego. Drżała, a z jej czoła spływały ogromne krople potu. A potem wszystko ucichło. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

– To było cudowne – szepnęła tak ciepło, jakby ostatnie minuty należały do najwspanialszych w jej życiu.

Liczył teraz na szybką pobudkę. Lecz sen trwał nadal. Nie zanosilo się na jego zwieńczenie. Wręcz przeciwnie, to był dopiero początek. Atmosfera w jednej sekundzie zgęstniała, zrobiło się parno jak w ruskiej bani. To mogło zwiastować kolejny etap koszmaru.

I wtedy na niebie pojawiła się kula. W zasadzie trudno było Galińskiemu określić, na co patrzy. Czerwone niczym dojrzałe maki, otoczone

połyskującymi, przeźroczystymi mackami. Dopiero, kiedy kula obniżyła lot, zrozumiał, że to nie macki, ale pióropusze dymu. Czerwień zaś była najprawdziwszym ogniem, który buchał z wnętrza spadającego wprost na ich dom meteorytu. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Monstrualnie ogromne i piękne zarazem, wywołujące podziw i przerażenie – spadało coraz niżej. Po chwili Galiński uświadomił sobie, co się zdarzy. Ogarnął go strach jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył. Strach, który wdzierał się w jego wnętrze, pochłaniając każdy napotkany organ, każdą cząstkę umysłu.

To nie był sen. To rzeczywistość. Za moment znikną z powierzchni ziemi. Oto bowiem zmierza ku nim meteoryt tak wielki, że z łatwością rozwali planetę w drobny mak.

Galiński patrzył na nadlatującą kulę ognia i nawet nie zdawał sobie sprawy, że wypowiada słowa modlitwy: – Ojcze nasz, któryś jest w niebie... Ocal nas, nie pozwól, aby to się stało...

Jednak zagłada była nieunikniona. Meteoryt, niczym ogromna czerwona płachta, zdawał przysłaniać już całe niebo.

Nadszedł czas nowej ery, która zmieni oblicze świata, usłyszał znajomy głos. Słońce Ruchu właśnie wygasa.

Nagle łóżko zatrzęsło się. Galiński chwycił się kurczowo pościeli w nadziei, że ten odruch uchroni go przed najgorszym. Popatrzył na Kaśkę. Jej twarz wyrażała stoicki spokój. Była opanowana. Jak zawsze. Czekwała na to, co miało nadejść.

Nie usłyszał nawet wybuchu. Fala ognia wdarła się do domu i ruszyła w ich stronę jak rozwścieczona bestia z piekielnych czeluści. Ból, jakiego doznał, kiedy nastąpiło uderzenie, sprawił, że wrzasnął na całe gardło. Ostatnie co usłyszał to trzask pękających kości, a potem i to ucichło. Znow zapadła ciemność.

Oddychał głęboko, zalany potem i rozdygotany.

– O kurwa – wykrztusił, spoglądając na żyrandol. Był ciężki, sześcioramienny. Doskonale widoczny. Zaczynało świtać.

Odwrócił głowę, aby upewnić się, że Kaśka leży obok niego. Zobaczył jej lekko rozchylone usta. Dolną wargę miała wilgotną o śliny. Nieznaczne ruchy powiek świadczyły o tym, że śni. Z pewnością nie brała udziału w koszmarze.

Nie mogąc opanować drżenia rąk, podniósł się na łokciach i zerknął na szafkę nocną. Budzik stał na swoim miejscu. Podobnie jak zegarek z okrągłą tarczą, kubek po kawie, telefon komórkowy i portfel. Była szósta rano. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nie poczuł jednak ulgi. Obrazy ze snu były nader wyraźne – ujeżdżająca go w brutalny sposób Kaśka, spadający meteoryt, ogień. I ta przytłaczająca atmosfera nadchodzącego końca. Teraz też to czuł. W powietrzu unosił się zwiastun nadciągających kłopotów.

Niepewnie usiadł na brzegu łóżka i otarł spocone czoło wierzchem dłoni. Serce waliło mu jak oszalałe, miał gęsią skórkę.

Kiedy zadzwonił telefon, przez długi czas nie reagował. Miał wrażenie, że to tylko wyobraźnia płata mu figła, że tak naprawdę nie słyszy nic, prócz dudnienia w klatce piersiowej. Telefon jednak wciąż dzwonił. Wbił wzrok w stojący na niewielkiej szafce przy oknie aparat, zastanawiając się, czy odebrać. Kto mógł napierdalać o tej porze? Wstał i obszedł łóżko. Prawie podskoczył, w momencie gdy usłyszał zaspany głos Kaśki.

– Odbierzesz wreszcie? – podciągnęła kołdrę pod samą szyję i ziewnęła szeroko. Jej włosy rozrzucone były na poduszce. Zdezorientowany dotknął palcem słuchawkę. Delikatnie, z wahaniem, jakby miała go zaraz oparzyć.

– Błagam, zrób coś! – jęknęła Kaśka, widząc jak się ociąga. – Chciałabym pospać jeszcze chociaż z dziesięć minut! Dawid?

Popatrzył na nią. Telefon zamilkł. Po chwili znowu się odezwał.

– Dawid? – była poirytowana. – Odbierzesz, czy nie, na miłość boską!

To nie sen, pomyślał. Musiał się ocknąć. Natychmiast powrócić do rzeczywistości.

Oczywiście, że to nie sen, usłyszał wyraźny głos, dobywający się z głębi umysłu. A potem cichy śpiew wypełnił Galińskiego tak, jak woda wypełnia szklanę.

O Matko nasza, Wojowniczo.

O Matko naszą, Wojowniczo.

Słońce wstało, wojenny słycać krzyk.

Spraw, abyśmy wzięli jeńców...

Nie sen..., głos stał się słabszy, niemal ginął pośród kilkunastu, a może kilkudziesięciu innych głosów. *To nie sen...*

– Dawid, zamieniłeś się w figurę woskową?!

Podniósł słuchawkę.

ROZDZIAŁ 5

ZNAKI

Dzik był wyraźnie wstrząśnięty. Zanim zaczął mówić, zakaszłał i ze świstem wciągnął powietrze do płuc.

– Proszę natychmiast przyjechać do szkoły! – rzucił w końcu.

– Co się stało?

– Kurwa, co się stało! Po co panu telefon komórkowy, skoro go pan nie odbiera?!

– Nie odbieram... – Galiński poczuł jak ogarnia go otępienie.

– Jest tu policja. Chciałem uprzedzić, że zamierzają z panem pogadać najszybciej jak to tylko możliwe.

– Proszę wreszcie powiedzieć, co się dzieje.

Dzik wydał z siebie ciche mlaśnięcie, jakby żuł cukierka.

– Kolejna ofiara.

Galiński zdołał usiąść na skraju łóżka. Spodziewał się, że opanuje go jeszcze większe przygnębienie. Zamiast tego poczuł irytację.

– Co? – Zacisnął dłoń na słuchawce. Zrobiło mu się gorąco. Pochłaniało go piekło.

– Zabito kolejnego ucznia, panie Galiński. W dodatku pańskiego ucznia. Dwie godziny spędziłem na komisariacie, tłumacząc niebieskim, że nie mam pojęcia, co tu się, kurwa, wyprawia! Niech pan pakuje dupsko do samo...

– Kogo?

- Co kogo?
- Kogo zabito?
- Lisiaka.

Lisiak, Lisiak, Lisiak, Galiński usiłował przypomnieć sobie jego twarz. Zdenerwowanie i konsternacja były jak wielki pędzel, który zamalowywał trzeźwość umysłu.

– Mariusz Lisiak, matko... – wykrztusił, kiedy stanęła mu przed oczyma pociągła twarz blondyna o błękitnych, paciorkowatych oczach. – Ale jak?

– Najogólniej mówiąc, ktoś utopił go w umywalce.

– Na Boga...

– Boga w to nie mieszajmy. Raczej go tam nie było.

– Kiedy to się stało?

– Dzisiaj rano znaleźli chłopaka w kiblu na pierwszym piętrze. Utopiony, kurwa, w umywalce. Mamy tu cuchnące szambo, panie Galiński! Rozpętało się piekło. Przestaję wierzyć, że istnieje coś takiego jak sprawiedliwość.

– Wiadomo, kto to zrobił?

W słuchawce rozległo się ciche westchnienie.

– Nie. Gliniarze snują teorie, że być może zabito go wczoraj. Najwyraźniej po SKS-ach. Podejrzewają kogoś z uczniów, biorącego udział w meczu koszykówki. To był jakiś mecz o mistrzostwo. Być może kogoś z przegranej drużyny dopadła, delikatnie mówiąc, furia i postanowił dać jej upust. Choć, jak dla mnie, to strasznie naciągane...

Oszołomiony Galiński pokręcił głową. Nie nadażał za tym wszystkim. Pomyślał o rodzicach Lisiaka. Trochę się o nich nasłuchał. Matka od lat cierpiała na stwardnienie rozsiane, ojca wykańczał rak. Nie będą nawet w stanie pojawić się na pogrzebie syna.

Lisiak, Jezu...

– Gliniarze też są w szoku, nawet oni, kurwa – ciągnął Moskał. – Przez piętnaście minut krążyli po moim gabinecie, jakby im ktoś wsadził w dupę dopalacz. Łeb mi od tego wszystkiego pęka. Jeszcze kilka minut i zjawi się tu telewizja. Będziemy mieli prawdziwy kocioł.

Kaśka usiadła na łóżku i, widząc napięcie na twarzy Galińskiego, chwyciła jego dłoń. Kołdra zsunęła się jej z piersi. Nie zwróciła na to uwagi.

– A woźny? Sprzątaczkę? – spytał nerwowo. – Nic nie widzieli?

– Właśnie z nimi gadają. Wychodzi na to, że nikt nic nie widział ani nie słyszał. Zresztą, nie wypytywałem gliniarzy o szczegóły. Nie jestem jakimś cholernym detektywem Colombo. Jeśli mam być szczerzy, nic nie wiem. Nawet, kurwa, nie mam pojęcia, czy zabrali już ciało. Jeszcze trochę i zapomnę jak się nazywam.

Galiński zapewnił, że zjawi się w ciągu piętnastu minut. Szybkim ruchem zakończył połączenie. Pochylił się i schował twarz w dłoniach. Za oknem rozległ się ryk silnika samochodu ciężarowego.

– Powiesz mi, co się stało? – zapytała Kaśka, nie spuszczać z niego wzroku.

Nie odpowiedział. Nie potrafił dobrać właściwych słów. Podniósł tylko głowę i odwzajemnił spojrzenie. Musiał tam pojechać i porozmawiać z policją. Ten pierdolony koszmar senny to było proroctwo. Musiał coś zrobić. Cokolwiek.

– Mój kolejny uczeń nie żyje – wydusił nagle, czując jak wzbiera w nim czarna rozpacz. – Mój kolejny uczeń...

Wstała i przytuliła go do piersi. Robił co mógł, aby nie zobaczyła, że płacze. Udała, że nie widzi.

* * *

Kiedy wjechał na szkolny parking, znajomy widok wywołał w nim falę zimnych dreszczy. Migoczące światła na dachach radiowozów przypominały oślepiające kule dyskotekowe.

Huśtawka uczuć powoli zaczynała doprowadzać go do obłądu. W jednej chwili czuł przygnębienie, w następnej obezwładniający strach, a w kolejnej potęgujące się za sprawą bezradności zdenerwowanie. Targało nim także jakieś absurdalne poczucie zakłopotania. Pojawiło się natychmiast, gdy opuścił auto.

Co robić, do cholery? myślał gorączkowo, zmuszając się do wykonania pierwszego kroku.

Spokojnie, odparł, jak na zawołanie, znajomy głos.

Był ciepły, niezwykle przyjazny i brzmiał całkiem szczerze.

Podbieraj się i ruszaj. Raz–dwa, raz–dwa. Nic innego nie możesz zrobić, prawda?

Musiał to być głos rozsądku, stwierdził Galiński. Bo cóż innego? Jak inaczej można go zdefiniować? Dostawał kręcka i bał się do tego przyznać nawet sam przed sobą? Być może, w tej chwili jednak to się nie liczyło. Potarł wilgotną od potu twarz i spojrzał w okna gabinetu Dzika. Były otwarte.

Głos rozsądku, dobre sobie.

Chciał krzyczeć, ale nie potrafił. Nie panował już nad sobą. Jest coraz gorzej, powtarzał w duchu. Coraz gorzej. Czuł ciężar. Gdzieś w głowie. We wnętrzu, w trzewiach. W żołądku i w klatce piersiowej. To go miażdżyło. Musiał pogadać z glinami. Dowiedzieć się, co się dokładnie stało.

Zrobisz im sprawdzian, znowu ten głos, niezwykle opanowany, spokojny, ale i jakby drwiący. A potem napijesz się kawy, pomyślisz żadnego stresu, żadnego przejmowania się sprawami, które należą do gliniarzy.

Zacisnął zęby. Nie chciał tego słuchać.

Tracił zmysły. Prawie pokłócił się z Kaśką, kiedy zaczęła wymachiwać rękoma i uparcie powtarzać, że musi z nim pojechać do szkoły. Nie miał sił na przekomarzanie się. Pocałował ją tylko, przytulił i łagodnie poprosił, aby została. Opowie jej o wszystkim później. Wyjaśnił, że nie ma potrzeby, aby mu towarzyszyła. Odpowiedziała, że jest zaniepokojona, że jest jakiś inny. Że coś w niego wstąpiło.

Może gdyby jednak przyjechała i zobaczyła to miejsce... te radiowozy, pomyślał. Gdyby poczuła atmosferę...

...przerazająco gęstą, niemożliwą do opisanania...

...może wtedy podzieliłaby jego zaniepokojenie?

Zatracasz się...

Na widok budynku szkolnego Galiński doznał dziwnego uczucia. Miał nieodparte wrażenie, iż coś wisiało nad dachem, wieżyczkami i dawało mu do zrozumienia, że mroczna przygoda dopiero się zaczyna. Zadudniło mu we łbie, jakby właśnie ocknął się po serii ciosów.

Jesteś w epicentrum, Galiński, usłyszał. Siedzisz w tym po uszy i nic na to nie poradzisz Tak musi być. Będziesz świadkiem wszystkiego, co się tu wydarzy i nie myśl sobie, że zdołasz uciec. Z tego nie da się wyzwolić.

Bezmyślnie potrząsnął głową, na znak zgody. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że zachowuje się jak skończony idiota. Na moment znowu był dawnym Galińskim, ponurym nauczycielem, którego żarty od dawna nikogo nie bawią. Z dala od problemów, od tego całego zamieszania. Zaklął siarczyście. Nie może pozwolić sobie, aby te zszarpane nerwy przejęły kontrolę nad jego postępowaniem. Do diabła, przecież to nie w jego stylu! Czy kiedykolwiek robił z siebie takiego palanta? Czy kiedykolwiek czuł się tak, jak teraz?

Na samą myśl o szeregu pytań, jakie mieli mu zadać, czuł bezbrzeżny lęk. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Wdzierał się w niego, gwałcąc każdy napotkany skrawek racjonalnego umysłu.

Trzeba iść. Spokojnie. Po prostu idź, ty stary dzieciaku, powtarzał w duchu, usiłując dodać sobie otuchy. Włosy rozwiewał mu poranny wiatr, ale nie czuł chłodu. Był zlany potem, blady i roztrzęsiony. Starając się za wszelką cenę zachować kamienną twarz, ruszył w stronę głównych drzwi.

Hol był pusty. Wejścia na pierwsze piętro blokowała wysoka ściana z odblaskowo żółtej, papierowej taśmy. Nikt nie krzątał się w pobliżu. Nikt nie dyskutował o zajściu, jak gdyby dawno o wszystkim zapomniano. Galiński wyobraził sobie wrzawę, jaka musiała zapanować, kiedy znaleziono martwego chłopaka. Miał tylko nadzieję, że żaden z uczniów nie napatoczył się, kiedy wynosili ciało.

Popadał w jakieś dziwne stany. Za dużo myślał. Lepiej weź się w garść, rusz dupę i idź pogadać z gliniarzami. Są w pobliżu, czają się w tych swoich mundurkach. Czekają na ciebie, wygłodniali, wściekli, podejrzliwi.

Dość!

Idę, postanowił.

Przemierzył cały korytarz, wolno, ostrożnie, w obawie, że wywołanie najcichszego szelestu może go sporo kosztować.

Kiedy zauważył uchylone drzwi od pokoju Andrzeja Moskala, przystanął. Blady snop światła wydostawał się wąską szczeliną na hol. Galiński wstrzymał oddech.

Prosimy do środka, sarknął głos. Posłuchał.

Dzik nerwowo krążył po gabinecie. Na twarzy miał wymalowany grymas człowieka totalnie załamane. Miał potargane włosy, wygniecioną koszulę i był cały spocony. Na widok Galińskiego machnął tylko ręką i rzucił: – Co za chaos. Wejdziesz, nie stój w progu, do cholery.

Nauczyciel wszedł do środka. Zastanawiał się, kiedy przeszli z Moskałem na ty. Nie mógł sobie przypomnieć. Dyrektor usiadł wreszcie za biurkiem i wbił wzrok w pustą filiżankę po kawie, jakby chciał sobie powróżyć z fusów. Najwyraźniej stwierdził, że nie warto tracić na to czasu, gdyż westchnął, po czym otworzył szufladę i zaczął w niej grzebać. Wreszcie wyciągnął lekko sfatygowaną kopertę i podał ją Galińskiemu.

– To dla ciebie.

– Co to jest?

– Chyba widzisz, że koperta, co? Była tu dzisiaj siostra Adriana Romskiego i zostawiła ją dla ciebie. Prosiła, abys się z nią skontaktował. W środku są namiary.

Biolog wziął kopertę i schował do kieszeni spodni. Siostra Romskiego?

– Mówiła o co chodzi?

– Podejrzewam, że ma to związek ze śmiercią jej brata.

– Dzik zrobił kwaśną minę.

Galiński nie miał siły na słowne potyczki z Moskałem. Skinął tylko głową.

– No i co tak stoisz? – burknął dyrektor. – Usiądź.

Galiński nie zdążył, ponieważ w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Moskał natychmiast wstał.

– Przyszli po ciebie – rzucił wyzywająco. – Teraz ciebie będą dusić, tarmosić, znęcać się jak sadyści nad jakimś psem. Twoja chwila prawdy, Galiński.

* * *

Dwaj rośli funkcjonariusze od razu zawieźli go na komisariat. Mieli zatroskane miny. Zaproponowali herbatę. Poprosił o wodę. Przynieśli małą butelkę mineralnej. Sala przesłuchań była mała i duszna. Gliniarze krążyli nerwowo dookoła niego, co chwila zatrzymując się i na przemian rzucając pytania: – Czy Lisiak miał ostatnio problemy w szkole?

- Jak się uczył?
- Nie zauważył pan, że zachowuje się jakoś dziwnie?
- Może był ostatnio podenerwowany?
- Wyglądało, aby miał jakichś wrogów?
- Czy ktoś mu dokuczał?

Pytania spadały na Galińskiego niczym seria gromów. Odpowiadał krótko, zazwyczaj ograniczając się do prostego „nie”.

Nie wspomniał ani o zajściu przed szkołą, w którym ucierpiała Marysia Kryszałowicz, ani o dziwnej, otaczającej budynek szkolny, aurze. Wystarczyło, że on sam zaczynał uważać siebie za wariata.

- Co pan robił w środę wieczorem?

Myśl, że mogą go podejrzewać napęliła zgrozą. Później, gdy już odpowiedział, uspokoiłi go: – Niech się pan nie denerwuje. Ma pan alibi. Oczywiście, będziemy musieli je sprawdzić, rozumie pan. Niemniej, proszę się nie martwić. Sprawdzamy wszystko i wszystkich, rozumie pan...

Rozumie pan... rozumie pan... Podniósł głowę, oszołomiony.

- Tak, rozumiem – przytaknął machinalnie.
- Taka nasza robota, niestety. Czasami to właśnie odpowiedzi na te najbardziej kłopotliwe pytania są kluczem do rozwikłania zagadki.

- Rozumiem.
- Rozumie pan...

* * *

Opuszczając komisariat, czuł się głupi, wyprany z emocji i zmęczony. Powinni odwołać zajęcia, pomyślał. Absurdalnym wydawało się wracać do szkoły. Denerwowało go ten cały chaos, niewiedza, bezradność. Niestety, albo i stety, nie on decydował o tym, co miało się stać. Nie miał pojęcia, w co wpakowały się te biedne dzieciaki. Kto mógł... Kto mógł zrobić coś takiego? Jaki szaleniec?

W klasie panowała cisza. Twarze uczniów wyrażały smutek i przejęcie. Błede oblicza dzieciaków przypominały kadr z niemego, czarno-białego filmu. Galiński usiadł sztywno przy biurku. Pierwsza ławka ziała pustką. Kiedy przeniósł wzrok na środek klasy, zauważył, jak niewielu uczniów postanowiło przyjść na zajęcia. Wcale go to nie zaskoczyło.

– Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci tym, co się stało – burknął. – Trudno mi wyrazić smutek, jaki czuję. Wy zapewne czujecie podobnie... Chyba nie ma sensu zawracać sobie dziś głowy nauką.

Nikt się nie odezwał. Garstka uczniów, którzy zjawili się na zajęciach, miała spuszczone głowy. Zdawali się przebywać w innym wymiarze.

– Podejrzewam, że zajęcia zostaną odwołane... – kontynuował biolog. – Trochę mnie dziwi, że w ogóle musimy tu teraz siedzieć...

W głowie przewijały mu się wydarzenia ostatnich dni i choć robił wszystko, aby stłamsić nieproszone myśli, te wciąż go atakowały. Przypomniał sobie śpiewającego tajemniczą pieśń Jasińskiego, potem bladą twarz opowiadającego o morderstwie w szatni Kaczmarka, by wreszcie skoncentrować się na rozmowie z gliniarzami. Te łachudry podejrzewały go o zabicie Lisiaka. Czuł to w kościach.

Zmęczenie spotęgowało się. Zawładnęło nim otępienie, jakby wypalił zbyt dużo kiepskiej trawy. Jakiś uczeń zapytał, czy wie, co się stało. Znaczący kto zabił...

– Nie wiem – odparł krótko Galiński.

– To straszne... – odezwał się inny uczeń. Uczennica. W tamtej chwili wszyscy byli dla niego jak jedna szara masa. Nie odróżniał głosów ani twarzy.

– Tak – przytaknął. – Macie rację. To straszne. Czasami życie pokazuje nam, jak bardzo potrafi być okrutne i niesprawiedliwe.

Zamilkł na blisko czterdzieści minut.

Kiedy zadzwonił dzwonek, bez słowa opuścił klasę. Wypił herbatę w pokoju nauczycielskim, po czym poszedł do toalety. Nie zdążył nawet wyciągnąć fujary. Dzwonek na lekcje wydarł się niczym kastrowane zwierzę. Kolejnych kilka godzin spędził za biurkiem, nie odzywając się słowem. Dzieciaki również były spokojne. Nikt nie rozmawiał, nie bawił się komórką, nie słuchał muzyki, nie malował paznokci. Obserwował ich twarze, uważnie śledząc każdy ruch warg, każde mrugnięcie. Czego się spodziewał? Że za chwilę któryś z nich zacznie śpiewać? Że oczy któregoś przemienią się w rozżarzone węgle?

Dobrze, że nikt nie wie, o czym myślisz, zahuczało mu w głowie. Z miejsca wywieźliby cię daleko stąd...

Potał oczy. Szczypały, jakby ktoś potraktował je gazem.

– Może i tak – wyszeptał. – Może i tak. Powiedz, ten cały... klimat... to twoja sprawka?

Klimat?

– Właśnie.

Być może.

Galiński zwilżył językiem spieczone wargi. Zorientował się, że kilku uczniów bacznie mu się przypatruje. Zlekceważył ich.

– Co to jest? – zapytał najciszej jak tylko potrafił.

Coś, co odmieni świat, człowieku.

* * *

Zaparkował samochód na podjeździe i zgasił silnik. W głowie miał mętlik. Jedynym sposobem, by nad nim zapanować było ciągłe liczenie od jednego do stu. Robił to przez całą drogę ze szkoły do domu. Następnie próbował sobie przypomnieć polskich królów, nazwiska piłkarzy Lecha Poznań, łacińskie nazwy najjadowitszych pająków, rozdziały ulubionej książki Kurta Vonneguta Juniora. Robił wszystko, żeby tylko uchronić się przed innymi myślami – mrocznymi, natrętnymi. Siedział sztywno wciśnięty w fotel, starając się zapanować nad rozdrażnieniem.

Będąc już w domu, zaparzył sobie kawę. Następnie przeszedł do salonu. Przez dobrą godzinę siedział na sofie, obrzucając wzrokiem meble, czarny ekran telewizora i sprzęt stereo. Nie mógł się ruszyć. Coś próbowało wdrzeć się do jego umysłu, zniszczyć jasność myśli i zastąpić je uczuciami tak irracjonalnymi, tak szalonymi, że gdyby je do siebie dopuścił, mózg rozleciałby się na kawałki jak uderzona młotkiem bryła lodu.

Wraz z upływem kolejnych minut ogarniało go coraz większe znużenie walką z szaleństwem. Musiał się natychmiast czymś zająć. Czymkolwiek.

Zaległe sprawdziany. To na nich się skoncentruje, a potem zaleje robaka i padnie na łóżko. Przedtem zadzwoni do Kaśki. Może jednak uda jej się wyrwać na noc z domu. Może... Tak naprawdę szczerze w to wątpił. Rozmawiali krótko przed tym zanim opuściła budynek szkoły. Przepraszała, tłumacząc się, że samopoczucie mamy uległo pogorszeniu. Obiecała zadzwonić wieczorem.

Samopoczucie mamy uległo pogorszeniu. Już on znał tę starą wiedźmę. Robiła wszystko, aby wyperswadować córeczce związek z „tym imbecylem Galińskim”. Tak właśnie mawiała, stara jędza. Zawsze słyszał jej głos, kiedy dzwonił do ich mieszkania. „To znowu on? Mówiłam ci tyle razy, że

ten nieszczęśnik nie jest dobrą partią dla ciebie”. Specjalnie podnosiła głos, aby ją słyszał.

Nie miał sił myśleć teraz o tej krowie. Nic dziwnego, że jej stary całe dnie i wieczory przesiadywał na rybach. Dostałby zapewne pierdolca, przebywając z nią na dłuższą metę.

Osowiały, sięgnął do szafki po sprawdziany i z ociąganiem zaczął czytać. Wystawił pierwsze cztery piątki, następnie dwie czwórki i tróję. Kolejnych kilka prac było tak słabych, że tylko dzięki swojej dobrej woli postawił dwóję z minusem. Nie miał wyboru. Gdyby wlepił pały, nie miałby podstaw, aby wystawić delikwentom pozytywne oceny na koniec roku.

Po godzinie stwierdził, że jest zbyt zmęczony, aby kontynuować. Musiał się zdrzemnąć. Sprawdzone prace rzucił na stół, całą resztę wsadził pod pachę i wstał. Może w łóżku sprawdzi jeszcze kilka. Reszta rano.

Kiedy wstał, kilka prac spadło na podłogę. Nadał wargi i, mrużąc szczypiące ze zmęczenia oczy, nachylił się, aby je podnieść.

Jedna z kartek nie była podpisana. Z początku pomyślał, że bazgroły, które zawierała były jego własnymi. Czasami, podczas gdy dzieciaki pisały sprawdzian, czy kartkówkę, wyciągał kartkę i grał w kółko i krzyżyk. Sam ze sobą. Ot tak, dla zabicia czasu.

Z powrotem opadł na fotel i przyjrzał się bazgrołom. Jeden z nich był dość duży i przedstawiał trójkąt, w którym wiły się jakieś zygzaki. Trzy jednakowej długości wężyki. Na ich obu końcach widniały niemal niedostrzegalne kółka. Kolejny rysunek był mniejszy. Dwa idealnie nakreślone romby, a w nich kolejnych kilka zygzaków. Galiński zmarszczył brwi. Co to, u diabła, było?

Położył kartkę na blacie stołu i zaczął przeglądać kolejne prace. Niemal od razu trafił na ten tekst. Tym razem nie były to dziwne znaki. Na

pożółkłej, lekko wygniecionej kartce widniał krótki wiersz. Pismo było pochyłe, bardzo staranne:

*Narodziło się Słońce, które teraz istnieje, Pojawiło się, kiedy zaświeciło.
Kiedy zaświtało.*

Słońce Ruchu, które teraz istnieje.

Ruch i rozkwit cywilizacji jest jego znakiem.

To jest piąte Słońce, które się utrwaliło.

Koniec Jego jest bliski.

Nastąpią wstrząsy.

Z nieba spadnie ognista kula.

A potem nastanie Szósta era.

Nienazwana jeszcze.

Galiński długo wpatrywał się w kartkę, usiłując wmówić sobie, że to kolejny żart. Zerknął na nazwiska autorów prac. Sprawdziany, które miał przejrzeć, należały do uczniów z innej klasy. Przełknął ślinę i po raz ostatni tego wieczoru przeczytał, widniejące na pożółkłej kartce słowa.

Z nieba spadnie ognista kula A potem nastanie Szósta era...

Kto mógł być autorem tekstu? W jakim celu umieścił go na brudnopisie i dołączył do sprawdzianu? Na każdym kroku potykał się o niezrozumiałe i niejasne szczegóły. Jakby był jakimś pieprzonym detektywem, tkwiącym – po pachy we wlokącym się w nieskończoność śledztwie. Tylko dlaczego,

jak dotąd, owe szczegóły nie chciały ze sobą współgrać? A może współgrały, tylko on nie potrafił tego poukładać w całość?

Zrezygnował z dalszego oceniania prac. Czuł, że ogarnia go senność. Może kiedy obudzi się rano, bazgroły wraz z dziwacznym tekstem znikną? Byłoby dobrze, pomyślał. Zapomnieć o tym, co się dzieje.

Ruszył na piętro, co chwila przystając, w obawie, że usłyszy czyjś śpiew. Nasłuchiwał, jednak wokół panowała cisza. Jedynie w zakamarkach jego umysłu brzmiał nieznaczny, niemal nierozpoznawalny dźwięk. Nie mógł uwierzyć, że to słyszy, choć powinien być gotowy na wszystko. Nie, to niemożliwe.

Bębny.

Rytmiczna, całkiem przyjemna muzyka. Słyszał ją wyraźnie. Stawała się coraz głośniejsza. Dobiegała z wnętrza jego głowy. Zacisnął z całych sił powieki, ale nadal słyszał. Żadnych śpiewów. Tylko dudnienie bębnów, nasuwające na myśl początek czegoś nowego, niewytłumaczalnego i przerażającego.

ROZDZIAŁ 6

OBDARTY ZE SKÓRY

Sierżant Zywert włączył syrenę, nacisnął klakson i wyprzedził wlokącą się ulicą Roosevelta półciężarówkę. Opony zapiszczały na rozgrzanym asfalcie, tłumiąc ryk silnika dieslowskiego.

– Kurwa! – krzyknął sierżant Noras, któremu lukrowany pączek wypadł z ręki i poturlał się pod fotel kolegi. – Zaczynam mieć dość tej przeklętej roboty!

– Trzymaj się! – zawołał Zywert, ponownie wciskając klakson. Po chwili zjechali na nierówne pobocze, wyprzedzając rząd tkwiących w korku aut. Brzuszyśko Norasa podskakiwało prawie pod szyję, po czym ciężko opadało na uda.

– Teściowa uczyła cię jeździć?!

– Starła się jak mogła!

– Wielkie gratulacje! Kiedy zginęła?

– Kurwa, na Alei Wielkopolskiej korek.

– Jedź torowiskiem!

Sierżant Zywert zrobił kwaśną minę, następnie przyhamował za wlokącym się, starym Oplem Kadettem. Kierowca gruchota wjechał dwoma kołami na chodnik. Niewiele to dało. Dobre trzydzieści samochodów wciąż tkwiło przed nimi.

– Spróbuj wycofać – fuknął sierżant Noras.

– Co?

– Wycofaj i zjedź na lewo!

– Pod prąd?

W tym momencie sznur aut przemknął tuż obok nich, pozostawiając za sobą tumany kurzu i odór spalin.

– Kurwa, nigdy tam nie dojedziemy. Dzwoni do naszych i powiedz, że tkwimy w korku.

Sierżant Noras westchnął głośno. Z jego twarzy spływał pot. Tłustymi od lukru dłońmi przetarł czoło i sięgnął po odbiornik.

– Zaczekaj. – Zywert podniósł dłoń.

– Co jest?

Zamiast odpowiedzieć, Zywert wcisnął pedał gazu i błyskawicznie kręcąc kierownicą, wjechał na przeciwległy pas.

– Hej, odbiło ci...

Cudem dojechali do skrzyżowania, przecięli torowisko i skręcili w Aleję Wielkopolską. Autem trzęsło jak starym wagonem kolejowym na zwrotnicach. Przynajmniej droga była przejezdna i mogli znacznie przyspieszyć.

Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, co zastaną, kiedy dojadą na ulicę Widną. Kolejne zwłoki dzieciaka. Co tym razem powali ich na ziemię? Pocięte na kawałki wnętrzości, walające się w promieniu kilku metrów od denata? A może litry wody w ciele? Bali się myśleć. Bali się zgadywać.

Od kiedy przydzielono im tę sprawę, pojawiło się milion pytań bez odpowiedzi. Co wstąpiło w Krzyżanowskiego? Jakim sposobem zdołał wypatroszyć Romskiego? Kto utopił Lisiaka? I skąd, u licha, w jego ciele znalazło się tyle wody? Z czymś takim, jak żyli, nie mieli jeszcze do czynienia.

– Może Krzyżanowski nie działał sam? Może w szatni był ktoś jeszcze, kto wraz z nim bawił się w rzeźnika? – rozprawiał sierżant Zywert, kiedy minęli kolejne skrzyżowanie. Zachodził w głowę, jak to możliwe, by nastolatek mógł zrobić coś takiego. I to sam. W dodatku w tak krótkim okresie czasu. Krzyżanowski miał towarzystwo, był tego niemal pewien.

Noras odwrócił na moment głowę, aby spojrzeć na partnera.

– Na razie nic z tego nie rozumiem – rzucił.

– Nie ty jeden. Będzie trzeba jeszcze raz pogadać z tym gnojkiem.

– Zgoda. Ale wiesz co sobie jeszcze pomyślałem?

Zywert zmarszczył brwi. Czekał, aż Noras sam odpowie.

– Że być może Krzyżanowski tego nie zrobił. Bo niby jak? Nie w tak krótkim czasie, z tak chirurgiczną precyzją. Ten dzieciak miał poharatane wnętrzności, do diabła. Równo pokrojone, jak plasterki kiełbasy. I niemal zdartą skórę!

– Też nad tym ciągle dumam.

– A Lisiak? – ciągnął policjant. – Miał w bebechach ponad dwadzieścia litrów wody!

Sierżant Zywert pociągnął nosem. Stłumiony dźwięk wyjącej syreny rozpraszał jego myśli.

– Nie wiem, co o tym sądzić – bąknął. – Wiem natomiast, że nie możemy panikować. Mamy robotę.

– Ja nie panikuję. Po prostu czuję się bezradny, wiesz?

– Noras ze świstem wypuścił powietrze.

– Podobno najlepsi gliniarze czasami tak się czują.

Wydawało się, że to koniec rozmowy, ale nagle Noras westchnął, po czym z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Kto, u licha, wlał w tego dzieciaka tyle litrów wody?

– Co?

– Wlał wodę. W jego bebechy. Kto byłby w stanie to zrobić?

Noras uśmiechnął się krzywo. Mając czterdzieści cztery lata, był prawie dziesięć lat starszy od Zywerta i kilka centymetrów od niego wyższy, jednak w istocie stanowili jedność. Żaden nie potrafiłby pracować osobno. Identyczne poczucie humoru, podobny tok rozumowania i spore ambicje powodowały, że świetnie się dogadywali – i to nie tylko na gruncie zawodowym. W firmie nierzadko nazywano ich ekscentrykami i przepowiadano rychły koniec kariery policyjnej. Jednak metody działań policjantów – często, z pozoru, niewłaściwe – okazywały się nadzwyczaj skuteczne. Świadczyła o tym liczba zamkniętych spraw. Tak naprawdę nikt nie wiedział, w jaki sposób szurnięty chudzielec z garbem na plecach i impulsywny grubas z uśmiechem *à la* Danny de Vito, odnajdują się w ponurym, pełnym przykrych niespodzianek, policyjnym światku. Obaj lada moment mieli otrzymać awans.

– Naprawdę wierzysz w to, co wygadujesz? Wlał wodę? Niby czym? Wężem ogrodowym? W takim razie gdzie jest ten wąż? A może psychopata wcisnął łeb Lisiaka pod kran, co? Pieprzysz zupełnie bez sensu.

– To ty zaczynasz pieprzyć bez sensu. Nie wiem! – Sierżant Zywert uderzył dłonią w kierownicę. – Kapujesz? Nic nie wiem! Badamy tę sprawę, do cholery! Skup się, a nie pierdol farmazony! Daj sobie trochę czasu.

– Mam wrażenie, że nie mamy czasu.

– Myślisz, że mnie nie wkurwia ta cała sytuacja? Że śpię spokojnie? Nieustannie o tym myślę. Myślę o tym, jakim cudem Krzyżanowski zrobił to, co zrobił.

– Jeśli zrobił...

Skręcili w ulicę Wojska Polskiego, a dalej w Wołyńską. W oddali ujrzeli spiczaste wieżyczki liceum Generałowej Zamoyskiej.

– A ty dalej o tym? – Zywert pokręcił głową. – Są świadkowie, zapomniałeś? Dwie uczennice.

– Jasne. Które niewiele pamiętają z tego, co się wydarzyło, a przecież były w pobliżu.

To było zastanawiające. Dwie licealistki, które początkowo twierdziły, że widziały, co wydarzyło się w szatni, po chwili nabrały wody w usta. Na przesłuchaniu nie potrafiły sklecić zdania, które miałyby sens. Nie wspominając już o tym, że nie udzieliły funkcjonariuszom żadnych istotnych informacji.

Rozmowa zmierzała donikąd. Impas. Nie mieli żadnego punktu zaczepienia. Obaj doskonale wiedzieli, że Krzyżanowski nie był w stanie tak paskudnie urządzić Adriana Romskiego. W dodatku jednym małym nożem! Absurd. W takim razie kto? Kto wypatroszył tego dzieciaka? Czy była to ta sama osoba, która wlała w ciało Mariusza Lisiaka dwadzieścia dwa litry wody?

Krzyżanowski wciąż pozostawał w szoku. Odkąd przywieźli go na komisariat, powtarzał w kółko jedną, niestworzoną historię o czymś złym i zimnym, czymś, co go rzekomo opanowało w szkolnej szatni. Psycholog nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy chłopak jest w stanie ciężkiego szoku, czy może najzwyczajniej w świecie oszalał.

– Może jak go przebadają, co nieco się wyjaśni – odezwał się sierżant Zywert, kiedy skręcili w ulicę Widną. Mimowolnie zadrżał. Sierżant Noras również poczuł dreszcze. W tej szkole działo się coś dziwnego. Nawet powietrze zrobiło się bardziej gęste. Miało słodki posmak i drażniło płuca.

– Z miejsca dostanie dwadzieścia pięć lat.

– Albo stwierdzą, że mu odjechało i zamkną w zakładzie dla popierdoleńców. Może jak naszpikują go środkami uspokajającymi to zacznie gadać.

Noras popatrzył partnerowi w oczy. Długo milczał, zanim zapytał: – Jak myślisz, co by wtedy powiedział?

– Nie wiem. – Zywert wzruszył ramionami. Był spięty. Miał wrażenie, że w pobliskich krzakach czai się jakiś szaleniec, który za chwilę wbiegnie prosto pod koła. Zwolnili.

– Spójrz. – Noras wskazał palcem na niewielki lasek w oddali. Zza drzew wyrastał posepny budynek szkoły.

– Co?

– Tam, w krzakach. Ktoś tam stoi.

Sierżant Zywert pochylił się i zmrużył oczy. Wyłączył syrenę.

– Nikogo nie widzę.

– Podjedź bliżej.

Przez moment w napięciu obserwowali kolejne wyłaniające się drzewa. Niebo zaczynało ciemnieć, przybierając barwę ołowiu. Zerwał się porywisty wiatr. Noras chrząknął.

– Dziwne.

Podjechali pod kamienne schody, prowadzące na niewielki, betonowy plac. W czasie zajęć tętnił życiem. Teraz był opustoszały. Tuż obok szumiały korony drzew i porastające pobocze krzewy.

– Przeklęta ulica – wymamrotał Zywert.

– Żebyś wiedział. – Jego partner skinął niepewnie głową.

– Nikogo tu nie ma.

Otworzyli drzwi i wysiedli z radiowozu. Fala chłodnego powietrza zmierzwiła im włosy. Mieli właśnie ruszyć w stronę lasu, kiedy usłyszeli głośny, dobiegający zza budynku, szelest. Odwrócili się niemal jednocześnie i wbili wzrok w wąską alejkę, biegnącą aż do boiska. Po kilku sekundach rozległ się odgłos ciężko stawianych kroków. Podeszwy czyichś butów zaszurały na piaskowym podłożu.

A potem zza rogu liceum wyłonił się mężczyzna w brudnej, flanelowej koszuli i obszernych, workowatych spodniach. Był stary. Z pewnością dawno temu przekroczył siedemdziesiątkę. Jego pocięta zmarszczkami twarz przypominała gnijącego ziemniaka. Na widok funkcjonariuszy mężczyzna przyśpieszył kroku, co chwila potykając się o wystające z ziemi korzenie. Podbiegł do nich, zdyszany.

– Tam – wydusił, wskazując ręką na lasek. – Tam jest.

Sierżant Zywert popatrzył na partnera. Szybkim krokiem we trójkę ruszyli w gąszcz.

– To pan nas zawiadomił?

– Tak – wydukał staruszek. Miał trudności z mówieniem. Trząśł się jak galareta i nieustannie nerwowo oblizywał wyschnięte na wiór wargi.

– Widział pan, jak do tego doszło?

– Nie. Ciało... Tylko ciało... – zawodził mężczyzna. – Wygląda jak ryba. Jak wielka wypatroszona ryba.

– Ryba? Gdzie dokładnie? – Funkcjonariusz spojrzeli po sobie.

Zatrzymali się. Mężczyzna wcisnął ręce do kieszeni i spuścił głowę. Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił wykrztusić słowa. Jego liche, siwe włosy opadły na pomarszczone czoło.

– Za tym drzewem – zdołał wybełkotać, znacząco spoglądając na solidny klon, otoczony niewielkimi krzewami. Wiatr zdawał się tam huczeć trzy razy głośniej. – Wiem o innych morderstwach. Wiem o wszystkim.

Sierżant Zywert podrapał się po głowie, po czym nadał wargi. Zawahał się. Noras najpierw stanął za jego plecami, a potem zaczął podążać wolnym krokiem w kierunku klonu. W połowie drogi przystanął i obrócił się. Zywert wciąż dumał.

– Idziesz?

Staruszek zakaszłał nerwowo, następnie ruszył ku Norasowi.

– Nie, nie – zaprotestował funkcjonariusz. – Pan niech zostanie.

Zywert posłał staruszkowi słaby, nerwowy uśmiech, a potem dołączył do partnera. Czuł się bardzo niepewnie, jakby za chwilę miało wydarzyć się coś nieoczekiwanego. Identyczne wrażenie opętało go wówczas, gdy wjechali na ulicę Widną.

Dziwna okolica, pomyślał, usiłując okiełznać czarne myśli. Dziwny gość. Dziwnie gada. Jak obłąkany.

Kiedy wychodził rano z domu, Marta położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała, że się boi. Zdumiony popatrzył na nią. Zawsze twarda, opanowana i powściągliwa, wtuliła się w niego i zaczęła płakać. Przycisnęła ją mocno do siebie. Zapytał, o co chodzi. Odparła, że nigdy nie miała tak silnego wrażenia, że stanie się coś złego. Drżała, nie mogąc zapanować nad nerwami. Próbował ją uspokoić prostymi słowami, bez skutku. Nadal wyrzucała z siebie obawy. Po chwili jednak opanowała się. Przeprosiła za swoje zachowanie. Stał jak kołek, nie mogąc wykrztusić ani słowa. A teraz czuł to samo. Lęk.

– Stary, ocknij się!

Popatrzył na Norasa mętym wzrokiem.

– Wszystko w porządku? – Słowa kolegi brzmiały jak wypowiedane pod wodą.

– Jasne. – Wzruszył ramionami, udając obojętność.

– Słuchaj, jeśli nie czujesz się na siłach, pójdę sam. – Noras ściszył głos.

– Rzucę okiem na tę rybę i wynosimy się stąd.

– Wszystko w porządku. Serio. Idziemy razem.

Zywert wcisnął ręce do kieszeni i, patrząc pod nogi, podszedł do otoczonego krzewami klonu.

Co się, do cholery, dzieje? – pomyślał, nabierając do płuc powietrza. Sierżant Noras wcisnął się między patykowate gałęzie.

– Ale syf. Jestem ciekawy, kiedy ostatni raz ktoś sprzątał ten teren.

Zywert obrócił się. Mury liceum rzucały ponure cienie na alejkę. Rozejrzał się. Staruszek zniknął.

– Stary...

– Zobacz, ile tu gówien.

– Nie ma go, do diabła.

– Jest. Coś leży za drzewem. Chodź! – nakazał. Zywert potrząsnął głową, jakby miał chęć wyrzucić z siebie wszystkie myśli. Dokąd mógł poleżeć ten stary czubek? Pewnie kurzy jakiegoś taniego peta bez filtra albo odlewa się za budynkiem. Spokojnie. Tylko spokojnie.

– O kurwa – rozległ się głos Norasa, a potem zapanowała cisza. Nawet wiatr nie dął już tak, jak jeszcze kilka minut wcześniej.

Klnąc na czym świat stoi, Zywert zaczął przedzierać się przez gąszcz. Trącał krzaki, których ostre jak szpikulce gałązki przebijały materiał munduru. Niemal umarł ze strachu, kiedy coś wyskoczyło spod kępy liści. Wiewiórka. Jedynie mała, bezbronna wiewiórka. Dostrzegł plecy partnera. Przystanął. Piers podnosiła mu się od przyspieszonego oddechu, przepocony kołnierzyk koszuli ziębił kark. A potem poczuł, jak lodowate macki oplatają mu plecy. Zaszło mu w gardle.

Noras cofnął się. Odwrócił głowę i pobiegł wzrokiem za spojrzeniem partnera. Był zahipnotyzowany szaleństwem wyzierającym z jego oczu.

W lasku było ciemno, ale zza zakrętu alejki docierał przytłumiony blask zachodzącego słońca. Krwawe światło odsłaniało widok gorszy od tych, jakie widział w filmach grozy o opętanych mordercach, pałających żądzą krwi, głodnych ludzkiego mięsa. Podświadomość podpowiadała Zywertowi, że to tylko wytwór jego wyobraźni. W ciągu ostatnich dni zbyt wiele się wydarzyło. Zbyt wielu spraw nie potrafił zrozumieć, a tym bardziej wyjaśnić.

Pod drzewem leżały nagie ludzkie zwłoki. Prawa ręka spoczywała pod skierowaną twarzą do dołu głową. Z pleców, niczym połamana drabina, wystawały kręgi. Jeden z nich dotykał odsłoniętej potylicy. Z czaszki spływała strużka krwi, która w pewnym momencie zastygła, by nagle ruszyć pędem w stronę pokrytego żółtawą mazią ucha. Obie nogi denata pokrywała lepka od krwi ściółka. Pośladki błyszcząły niczym świeży tatar, a kości bioder sterczały po bokach jak niewykształcone skrzydła upośledzonego pingwina.

Gwałtowny powiew wiatru targnął kolejną partią liści, wprost na ciało. Zywert drgnął. Zorientował się, że paznokcie Norasa wbijają się mu w bark. Złapał partnera za przegub.

– Jasna cholera – wybełkotał.

Noras przyłożył sobie dłoń do ust i w pierwszej chwili było pewne, że zwymiotuje. Pochylił głowę i nabrał do płuc powietrza. Nie zachowywał się jak doświadczony, odporny na paskudne widoki glina. Coś w nim pękło. Dotychczas skutecznie udawało mu się kamuflować niepokój i strach. Próbował myśleć racjonalnie. Czasami miewał szalone pomysły, ale nigdy jeszcze nie stracił nad sobą kontroli. Nie pozwalał opętać się przez obłąd. Jednak ten dopadł go w końcu. Tutaj, na terenie liceum Generałowej Zamoyskiej, pośród upiornych kształtów drzew, w mroku skrywającym coś niewyjaśnionego, budzącego odrazę. Przy zwłokach dzieciaka, z którego, niczym kaszmirowy płaszcz, ściągnięto skórę.

– Obdarty... – wykrztusił.

– Zabiorą go zaraz...

– Jest obdarty ze skóry. Ktoś zdarł z niego skórę...

– Noras złapał się za głowę. – Ktoś zdarł skórę z jego pierdolonego ciała.

Wzrok Zywerta nie powędrował za palcem wskazującym partnera. Zatrzymał się w połowie drogi i utkwiał w gęstych chaszczach.

– Chodźmy. – Chwycił kolegę pod ramię. Usłyszeli w oddali wyjąca syrenę.

– Jada nasi... – Noras zaśmiał się chrapliwie.

– Chodźmy.

– Będą krążyć i dumać. A ja ci, kurwa, mówię, że to zrobił jakiś pieprzony chirurg. Chirurg szaleniec. Kumasz? – Zywert nie odpowiedział. Przygryzł tylko dolną wargę, aż zbieła. Poczul łupanie w skroniach.

W momencie, kiedy wolno ruszyli w stronę alejki, do ich uszu dobiegł dźwięk łamanej gałęzi. Noras drgnął. Zanim się obrócił, pokręcił głową, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, że jest przestraszony. Popatrzył na Zywerta, który zanosząc się kaszlem, łypnął okiem za siebie.

Pomyślał, że to pewnie starzec opróżnił wreszcie pęcherz i zaraz, z demonicznym wyrazem twarzy, wyskoczy z krzaków. Nic takiego się nie stało.

Zywert zmarszczył brwi. A potem znów coś chrupnęło, tym razem znacznie głośniej. Dźwięk trwał i trwał, dopóki nie rozległ się głos Norasa: – Hej! Wyłaż z tych krzaków, do diabła!

Zapanowała cisza.

– Gnojek... jak dorwę, to...

Chrrrust–chrrrust. Coś zaczęło przeć w ich stronę, przedzierając się przez krzewy. Łamało kolejne gałęzie. Odgłos ciężko stawianych kroków odbijał się echem pośród drzew. To nie mógł być starzec. Poruszał się zbyt szybko, zbyt dynamicznie.

Wiewiórka? Zywert podszedł do najbliższego krzewu i zaczął nasłuchiwać. Żadna pieprzona wiewiórka nie narobiłaby tyle hałasu. To musiał być człowiek.

Noras obszedł krzak, jednak niewiele zobaczył. Rząd gęstych jarzębin skutecznie zasłaniał widok. Odruchowo przyłożył dłoń do kabury, chcąc sprawdzić, czy broń znajduje się na swoim miejscu. Ryk syren wzmógł się. Radiowozy wjeżdżały już na Widną. Zywert zeszywniał. Zawahał się. Znowu to przeczucie, że coś się wydarzy...

– Zaczekaj – jęknął, ale Noras zdawał się go nie słyszeć.

Wbijał wzrok w coś, co właśnie opuszczało gęstwinę krzaków. Miało ludzki kształt, lecz nie sposób było dostrzec twarzy. Zasłaniała ją jakaś błyszcząca, przypominająca rybie łuski, powłoka.

„Wygląda jak ryba. Jak wielka wypatroszona ryba”, słowa starca uderzyły w nich niczym grom.

Postać wykonała kilka kolejnych kroków, po czym zatrzymała się. To, czym była pokryta falowało jak zawieszony na trzepaku dywan. Było białe, w kilku miejscach lekko żółtawe. Pod osłoną jaskrawoczerwonej mazi marszczyło się, pękało i spadało kawałek po kawałku. Zywert zaniemówił. W przeciwieństwie do Norasa, wiedział, na co patrzy. Żołądek podskoczył mu do gardła. Skóra. Jakiś szalenie obdarł ze skory niewinnego dzieciaka, a potem przywdział ją jak płaszcz. Widok porażał. Nigdy czegoś podobnego nie oglądali. Nawet w najokropniejszych sennych koszmarach.

Noras stał przy drzewie, nieruchomy niczym posąg. Milczał, przerażony rozpościerającym się przed jego oczyma widokiem. Ciężkie jak w parowozowni powietrze zatykało dech w piersiach.

Opatulona krwawymi strzępami skóry postać zaczęła wolno podążać ku funkcjonariuszowi. Jej ruchy były flegmatyczne, a ona sama skupiona, ostrożna. Zwisające bezwładnie wzdłuż ciała ręce przypominały bele płótna, pokryte złuszczoną, czerwoną farbą.

Zywert patrzył martwym wzrokiem, jak istota podchodzi coraz bliżej Norasa. Był gotowy w każdej chwili sięgnąć po broń i zacząć strzelać.

Kiedy postać zbliżyła się do Norasa na odległość zaledwie metra, zwisające z pleców, płaty skóry zafalowały, niczym targnięte podmuchem wiatru, firany.

Zywert zrobił pierwszy krok. Zorientował się, jak trudno jego partnerowi walczyć z paraliżującym strachem. Facet był bezradny. Drżał. Nagle kompletnie zapomniał, że jest policjantem, że powinien zachować hart ducha i trzeźwość umysłu. Miał panować nad nerwami, tymczasem stał jak słup soli, oszołomiony, ciężko oddychający, niezdolny do czegokolwiek.

– Na ziemię. – Słowa Zywerta zabrzmiały jak prośba o cukierka.

Czuł w gardle oślizgłe macki, które kotłowały się w ustach, usiłując wydostać się na zewnątrz. Atmosfera zagęściła się. Zywert wiedział, że w pobliżu czai się ktoś jeszcze. Ukryty, obserwował ich, delectował się lękiem. Dość!

– Na ziemię! – Padł rozkaz, tym razem z najprawdziwszą wściekłością.

Postać nie zareagowała. Pochyliła się nieznacznie, zaciekawiona nadętym brzuszyskiem Norasa. Wydała z siebie odrażające, chrapliwe westchnienie, nieporównywalne do żadnego znanego Zywertowi dźwięku.

A potem coś trzasnęło w pobliskich chaszczach. Odgłos kroków. Chrupot rozgniatanych gałęzi, który stawał się coraz głośniejszy, intensywniejszy. Zawyła syrena kolejnego radiowozu.

W momencie, gdy spomiędzy krzaków wyłoniło się czterech roślących funkcjonariuszy, postać wykonała gwałtowny ruch ręką, wbijając ją w klatkę piersiową Norasa. Trzask pękających żeber rozniósł się zwielokrotnionym echem. Trysnęła krew, obryzgując mundury policjantów.

Twarz Norasa nie zmieniła wyrazu. Mężczyzna wciąż patrzył na oprawcę, jakby była to jego żona, której żale należało wysłuchać w

milczeniu, po czym pokornie przeprosić.

Zanim ktokolwiek pojął, co się dzieje, istota w płaszczu z ludzkiej skóry wykonała kolejny energiczny ruch. W jednej chwili potwór trzymał w ręku serce funkcjonariusza. Strumień krwi wystrzelił wprost na cherlawe ciało szaleńca, który ścisnął organ w dłoni tak mocno, aż ten zaczął wyslizgiwać się spomiędzy palców. Zywert mógł przysiąc, że serce jego partnera było jeszcze przez kilka sekund.

Tuf–tuf, tuf–tuf...

Nagle istota przyłożyła do ust organ i żwawym ruchem szczęki odgryzła kawałek. Odbezpieczył broń. Wystrzelił. Kula trafiła oprawcę w głowę, pozabawiając ucha i fragmentu policzka. Strzęp skóry z ciała leżącej nieopodal ofiary poszybował wysoko w górę i zawisł na gałęzi drzewa. Strzelił po raz drugi. I trzeci. Naciskał spust tak długo, dopóki nie podszedł do niego jeden z funkcjonariuszy.

– Już okej, stary – rzekł drżącym głosem. Można było pomyśleć, że za chwilę się rozplącze. Ale to Zywert płakał. Ścisnął w dłoni pistolet, nadal celując w leżące na ziemi zwłoki mordercy.

– Kim był ten czubek? – Zywert upuścił broń i stanął nad ciałem. Nie był pewny, do kogo należał kawałek skóry, który wziął do ręki, by odsłonić twarz oprawcy. Serce waliło mu jak oszalałe. Dygotał.

– To uczeń – oznajmił ktoś za jego plecami. – Miał góra siedemnaście lat.

– Jak to możliwe? – spytał inny policjant.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem. Niech mnie diabli...

* * *

Kaśka ziewnęła szeroko, dopisała ostatnie zdanie w pochwalnym komentarzu pod sprawdzianem, po czym odłożyła długopis. Długo walczyła z chęcią zatelefonowania do Dawida. Spojrzała na zegarek. Minęła północ.

Pewnie śpi, pomyślała. Nie będzie go budzić. O tajemniczych znakach, które dostrzegła pod kilkoma pracami swoich uczniów, opowie mu rano. Pewnie go to zainteresuje. Ostatnio wciąż ślęczał przed komputerem i wpisywał to samo imię. Netzahualcoyod. Miał nadzieję, że znajdzie coś nowego, jakieś dodatkowe informacje, które pomogą w pełni zrozumieć ostatnie wydarzenia.

Dziwnie się zachowywał. Irytował ją. Martwił. Niepokoił. Był załamany. Dostrzegła to, ale nie potrafiła pomóc. Wciąż zadawał te same pytania. Ilekroć się widywali, wciąż pytał o jej uczniów. Jak się zachowywali? Czy nie byli agresywni? A może śpiewali w obcych językach? Irytował ją jak jasna cholera.

Czyżby się obwiniał? Śmierć tych dzieciaków mocno dotknęła ją samą. Ale na litość boską, życie toczy się dalej. Będzie musiała z nim porozmawiać. Wyperswadować chęć wyjaśnienia zagadki morderstw na licealistach. To robota dla policji, wciąż mu to powtarzała. Ale on nie słuchał.

Może lepiej nie mówić mu o tych cholernych znakach? Zamyśliła się na moment, a potem pochyliła nad stołem i odszukała właściwy sprawdzian. Pod recenzją lektury *Nad Niemnem* jej ulubionego ucznia, widniał szereg rąbów i trójkątów. Wnętrze każdej figury geometrycznej wypełnione było innymi, równie precyzyjnie nakreślonymi trójkątami, okręgami, półokręgami oraz zygzakami.

Z początku nie zwróciła na te figury większej uwagi. Dopiero, kiedy dostrzegła kolejne pod innymi tekstami, porównała je. Były identyczne. Co

do najdrobniejszego szczegółu. Cztery prace, czterech zajmujących oddzielne ławki uczniów. Jak to możliwe?

W drodze do domu usiłowała znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie, jednak nic nie przychodziło jej do głowy. Tego dnia dzieciaki były półprzytomne. Kompletnie przerażone faktem, iż dokonano morderstwa na ich koledze. Podczas lekcji nie zamienili ze sobą zdania. A te kartki sama im rozdawała. Były czyste.

Musiała odpocząć. Bolały ją plecy i nogi. Powieki miała jak z ołowiu. Mogła jedynie rzucić się na łóżko i zapaść w sen. Rano zadzwoni do Dawida...

Dziesięć minut zajął jej prysznic, po którym przebrała się w błękitną, bawełnianą pidżamę i udała do swojego pokoju. Po drodze zahaczyła o sypialnię rodziców. Mama pochrapywała cichutko, z głową na ramieniu taty. Chyba Czują się już lepiej. Gorączka minęła i odzyskała apetyt. Na kolację zjadła dwie kanapki z szynką drobiową i sałatkę jarzynową. Lekarz powiedział, że wszystko wraca do normy.

Podreptała do okna i odsłoniła żaluzje. Uwielbiała patrzeć na ulicę nocą. Domy na ulicy Meteorytowej stały w znacznej odległości od siebie. Każdy otoczony był dziedzińcem porośniętym bluszczem. Istna oaza spokoju. Za ulicą rozpościerało się pole, za nim niewielkie jezioro i las. Pamiętała dni, kiedy z tatą chadzali łapać ślimaki. Kiedy to było? Dwadzieścia lat temu? Wskakiwała ojcu na plecy i wyruszali na polowanie. W lesie roiło się od winniczków. Nie było dnia, żeby nie wracali z pełnym słoikiem. Kiedy tak o tym myślała, oczy zaszyły jej łzami. Spuściła głowę i głośno westchnęła. Ile by dała, aby znów zobaczyć mamę szczęśliwą, uśmiechniętą, zdrową. I tatę, pełnego wigoru i pomysłów na lepsze jutro. Zbyt szybko się zestarzelili. Oddalili od siebie. Nie chciała o tym myśleć.

Wbijając wzrok w wąską alejkę za szybą okna, położyła się i przykryła kołdrą. Chwilę popłakała, po czym zamknęła oczy i spróbowała zasnąć.

Jak to dobrze, że ma Dawida. Gdyby nie on, już dawno by się załamała. Postrzegał ją jako niezależną, twardą kobietę, co bardzo jej schlebiali. Kiedy jednak docierało do niej, jak bardzo się myli, stawała się przygnębiona i małomówna. Za dużo myślała o rodzicach, o podjęciu nowej pracy, o dzieciach. Wówczas dopadał ją pesymizm. Bała się opuścić dom, założyć rodzinę.

Mama... Nie była już w pełni sił.

Tata... Wciąż jeździł na ryby. Zasywał się w trzcinach na wiele godzin...

Nie. Nie mogła tyle myśleć. Musiała wziąć się w garść. Była dorosła. Miała pracę, perspektywy na przyszłość oraz mężczyznę, który oddałby za nią życie.

W momencie, kiedy poczuła, że zasypia, jej łóżko zadrzało. Otworzyła oczy, natychmiast powracając do rzeczywistości. Długo wbijała wzrok w mosiężny żyrandol, nie bardzo wiedząc, co się stało. Zapaliła nocną lampkę i zaczęła nasłuchiwać. Budzik wskazywał pierwszą. Nie spała, tego była pewna.

Usłyszała jakiś dźwięk za oknem. Ktoś podążał ścieżką w stronę pola. Usiadła na skraju łóżka i wyjrzała przez okno. Dostrzegła mężczyznę w sportowej bluzie. Znała go. Mieszkał kilka domów dalej. Sympatyczny, starszy pan. Rzeźbiarz. Patrzyła, jak biegnie wzdłuż ulicy. Dokąd tak pędzi?

Miała właśnie wstać, kiedy wstrząs powtórzył się. Zadrzało łóżko. Żyrandol zakołysał się leniwie, jakby wprawiony w ruch gwałtownym podmuchem wiatru.

Stojące na biurku zdjęcie w drewnianej ramce przewróciło się, a wiszący na ścianie obraz starej kobiety z upiornie wyglądającym kotem na ramieniu, przechylił się na bok.

Wstrzymała oddech. Serce biło jej szybciej niż zwykle. Nagle dostrzegła kolejnych, podążających alejką, ludzi. Dwie kobiety pędziły przed siebie, nie zwracając uwagi na pałętające się pod ich nogami psy. Za nimi biegł mężczyzna w samych tylko majtkach i podkoszulku. Wykrzykiwał coś niezrozumiale przez telefon komórkowy, a potem nagle zniknął za zakrętem.

Co tam się działo? Kiedy usłyszała ryk syreny policyjnej, poderwała się z łóżka. W pośpiechu założyła spodnie i wybiegła na korytarz. Wsunęła stopy w klapki, po czym zajrzała do sypialni rodziców. Wciąż spali, miarowo oddychając. Nie zbudziłby ich nawet wybuch bomby atomowej.

Noc była gwieździsta i bardzo chłodna. Wiał lekki wiatr. Powietrze pachniało żywicą. Wyszła na ulicę i zamknęła za sobą ogrodową furtkę. Wycie syren ucichło. Idąc piaszczystą ścieżką, poczuła jak ktoś trąca ją ramieniem. Złękniona, odwróciła się.

– Przepraszam – usłyszała po chwili głos młodego, najwyżej szesnastoletniego chłopaka. Posłał jej przelotne spojrzenie, po czym kontynuował bieg.

– Słuchaj... – wydusiła, skołowana. Chciała zapytać, co się stało, dokąd wszyscy biegną, ale młodzieniec zniknął jej już z oczu.

Przyśpieszyła, podążając jego śladem. Kiedy dobrnęła do końca ulicy, znowu to poczuła. Ziemia zdawała się drżeć dokładnie pod jej stopami. Usłyszała donośne dudnienie, które ucichło w momencie, gdy ustały wstrząsy.

Trzęsienie ziemi? Nie chciało jej się w to wierzyć. Wiele lat temu, nieopodal lasu runął na ziemię ogromny głaz. Pamiętała z opowieści dziadków, że wybuchł wtedy pożar, trawiąc wiele domów. Podobno przez trzy noce toczono walkę z ogniem. Miesiąc po zdarzeniu, bezimienna uliczka zyskała miano Meteorytowej. Może spadł kolejny? Zastanawiała się

nad tym, skręcając w dość szeroką, polną drogę, która prowadziła na pole. To tam pognali wszyscy z okolicy. Słyszała pokrzykiwania. Ktoś nieustannie powtarzał: – Patrzcie! Widzicie? Patrzcie! Widzicie to?

Czyżby rzeczywiście spadł kolejny meteoryt? To by tłumaczyło wstrząsy. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Przyśpieszyła kroku, co rusz potykając się o kamienie. Narastała w niej ciekawość, a jednocześnie zaczęła żałować, że wyszła z domu. Jeśli ostatnie drgania zbudziły rodziców, z pewnością zajrzą do jej pokoju. Zobaczą puste łóżko. Mama wpadnie w histerię.

Przez moment chciała zawrócić. Miała właśnie przystanąć, kiedy do jej uszu dotarły kolejne głosy. Ktoś stał za rzędem porastających pobocze sosen. Mężczyzna. Ten sam, którego dostrzegła przez okno. Miał na sobie tylko majtki i sprany podkoszulek. Nie rozmawiał już przez telefon. Stał na baczność i wpatrywał się, osłupiały, w pole.

Zobaczyła innych ludzi. Kobiety, mężczyzn i dzieci, z rozchyłonymi ze zdziwienia ustami. Niektórzy mieli na sobie jedynie bieliznę. Ostre kamyki wrzynały im się w bosc stopy, jednak pozostawali na to obojętni.

Na co patrzyli? Co ich tak pochłonęło? Zawahała się.

A potem zaczęła przedzierać się przez chaszczę, omijając drzewa. Klapki co chwila klinowały się między gałęziami, ale zaintrygowana parła dalej.

Widok, jaki rozpostarł się przed jej oczyma, kiedy wkroczyła na pole, sprawił, że zastygła w bezruchu, niezdolna zaczerpnąć powietrza. Wydobyła z siebie jedynie cichy, stłumiony jęk.

Budowla liczyła osiem ogromnych stopni. Została wzniesiona na planie kwadratu, którego jeden bok z całą pewnością mierzył grubo ponad sześćdziesiąt metrów. Na jej szczyt prowadziły strome, kamienne schody, obramowane balustradą. Stanowił ją gigantyczny stwór o długim

łuskowatym cielsku, zdający się pełznąć w dół. Jego głowa o potężnej – uzbrojonej w setki ostrych, stożkowatych, zębów – szczęce, zwisała złowrogo zaledwie kilka metrów nad ziemią, wbijając martwe spojrzenie w oszołomionych jej widokiem gapiów.

Na samym szczycie budowli, na wysokości znacznie przekraczającej sto metrów, mieścił się szeroki, tonący w ciemnościach budynek. Przypominał niewielką kapliczkę. Dwie wieżyczki strzelały ku rozgwieżdżonemu niebu, przez co wyglądały jak palce giganta, wskazującego drogę do wiecznego szczęścia. Front kapliczki otaczała kręta alejka z ciągiem kilkudziesięciu schodów, które łączyły się ze stopniami głównymi.

Kaśka wpatrywała się niemo w kolosa, nie próbując nawet odpowiedzieć na pytanie, czym był i za sprawą czego wyrósł z ziemi. Wzmógł się wiatr. Dookoła biegali oszołomieni ludzie. W ich oczach malowało się zaskoczenie, strach, ciekawość, podekscytowanie. Pokrzykiwali coś do siebie, gestykulowali. Trzech krępych policjantów stało z boku. Byli absolutnie zaskoczeni widokiem budowli. Patrzyli na kamienną wieżę z rozchylonymi ustami i wybałuszonymi oczyma. Kaśka pomyślała, że czekają na moment, w którym wybudzą się ze snu. Ona sama miała podobną nadzieję. To nie mogło się dziać. Usnęła od razu po przyłożeniu policzka do poduszki i śni teraz surrealistyczny sen. Ogarnęła ją fala chłodu.

Następnie nastąpiła cisza, jakby wszyscy nagle padli trupem. Usłyszała bicie własnego serca. Jednak było coś jeszcze. Jakiś nieznaną dźwięk, ledwo wychwytywany przez ludzkie ucho. Kilka osób podeszło do budowli na odległość paru metrów. Nasłuchiwali.

Dźwięk narastał. Po chwili nikt nie miał już wątpliwości, że dochodził z wnętrza ogromnej konstrukcji. Jakaś starsza kobieta padła na kolana i

zaczęła się modlić. Inni wciąż stali nieruchomo. Milczeli, poszukując w myślach odpowiedzi na pytanie, z czym mają do czynienia.

Wtem rozległo się dudnienie. Zadrżała ziemia. Kaśka cofnęła się. Ponownie spojrzała na budowlę. Ta zdawała się sięgać nieba. Przytłaczała rozmiarami. Była jak gigantyczna pozytywka, która wygrywała wszystkim zgromadzonym marsz pogrzebowy.

ROZDZIAŁ 7

PIRAMIDA

Galiński potarł oczy, wciąż niezdolny, by wypowiedzieć choćby słowo. Przyjechał najszybciej jak to było możliwe. Miał żal do Kaśki, że nie zadzwoniła do niego w nocy i nie poinformowała o tym, co się stało. O piramidzie dowiedział się z porannych wiadomości na kanale TVN24. Podniecony dziennikarzyna nie wiedział, jak składnie wyjaśnić to, co się stało.

– ...nikt nie wie, skąd się wzięła, czym tak naprawdę jest – tłumaczył, pocierając ręce w geście podekscytowania. – Ludzie poczuli, że ich domy drżą w posadach, jakby rozpętała się burza stulecia. Wybiegli na ulice, niektórzy tylko w samej bieliźnie. Byli obezwładnieni przez szok. Z ziemi wyrosła piramida, przypominająca wielkie meksykańskie budowle, w których składano krwawe ofiary na cześć bóstw, w które niegdyś wierzono...

Wbijając wzrok w ekran telewizora, nie słyszał dzwoniącego telefonu.

– Zadzwoniłam jak tylko zaświtało – tłumaczyła teraz, wpatrzona w wyrażającą pełną koncentrację twarz Galińskiego. – Byłeś zmęczony, potrzebowaleś snu. Nie chciałam, abys tu przyjeżdżał. Bo i po co?

– Po co? – fuknął, wskazując palcem na stumetrową piramidę. Na tle jasnoblękitnego nieba wyglądała jak ogromny pałac króla nieznannej krainy
– Po to! Masz pojęcie, co to jest?

Kaśka spuściła tylko głowę.

– Piramida – oznajmił konfidencyjnie Dawid. – Cholerna piramida. Kiedy przeglądałem strony w Internecie w poszukiwaniu informacji o Głodującym Kojocie, co chwila trafiałem na rysunki i zdjęcia podobnych budowli. To aztecka piramida. Tutaj, rozumiesz? Na pieprzonej ulicy Meteorytowej, na kompletnym poznańskim zadupiu! Widzisz to tam na samej górze?

Nie odezwała się. Był zbyt zdenerwowany, zbyt pochłonięty widokiem budowli. Zresztą, nawet nie wiedziała, co mogła w takiej sytuacji powiedzieć.

– To świątynia jednego z wielu azteckich bóstw. Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, jakiego. A ten wąż? Widzisz tego węża, który...

Ślina stanęła mu w gardle i zakaszłał. Nie dokończył wypowiedzi. Ruszył szybkim krokiem w stronę grupki badających grunt archeologów. Mężczyźni mieli na sobie krótkie spodenki, czapeczki bejsbolowe z logo Wydziału Archeologii Państwowej i jasne koszule z podwiniętymi rękawami. Jeden z nich trzymał w ręku jakąś aparaturę, przypominającą ogromny termometr rtęciowy, zakończony na dole gumową uszczelką. Wymachiwał nim to na prawo, to na lewo, po czym zapisywał coś w grubym, obłożonym skórzanym notesie.

Dookoła kręcili się ludzie z ekip telewizyjnych, cała masa funkcjonariuszy policji oraz inne grupy archeologów. Przypadkowi gapie stali kawałek dalej, na polnej ścieżce. Ich twarze rozmywały się w promieniach porannego słońca.

Galiński zatrzymał się tuż przed frontową, ścianą piramidy. Dopiero teraz zauważył, że pokrywały ją wymyślne płaskorzeźby. Postaci uzbrojonych wojowników zdawały się wybiegać ze ściany wprost na niego. W ich kamiennych dłoniach tkwiły pęki kamiennych piór. Tuż obok dostrzegł relief, który przedstawiał polującego jaguara. Zwierzę

rozszarpywało swą ofiarę. W jego nieco wydłużonym pysku tkwiło małe, najwyżej kilkumiesięczne dziecko. Obok krwawej sceny widniała kolejna. Potężny orzeł wbijał dziób w klatkę piersiową długowłosego mężczyzny. Ptak zamierzał pożywić się sercem nieszczęśnika, a potem ponownie zaatakować. Jego oczy pały żądzą zemsty, żądzą zagłady.

Galiński oderwał wzrok od ściany, zaszokowany sugestywnością płaskorzeźb. Kiedy uszedł kilka metrów, dostrzegł następne, już mniej brutalne. Przedstawiały wykrzywione w paskudnym grymasie twarze bożków. Charakteryzowały je głęboko osadzone oczy, krótkie, płaskie nosy i niedorzecznie wysokie czoła. Nie posiadali włosów. Jedynie pióra – masywne, proste – które, niczym fantazyjne peruki, zdobiły ich głowy. Wtem poczuł dłoń Kaśki na swoim ramieniu i mimowolnie drgnął.

– Jezu – jęknął.

– Przepraszam.

– Okej – Wzruszył ramionami.

– Na pewno? Słuchaj, nie chciałam, abyś...

– Wiem, już dobrze. Popatrz na to...

– Halo! Proszę się odsunąć! – krzyknął ktoś za ich plecami. Odwrócili się niemal jednocześnie, mrużąc w porannym słońcu oczy.

W ich stronę podążał starszy mężczyzna z siwymi od kurzu włosami, w rozpiętej, flanelowej koszuli i wyświechtanych spodniach. Miał na nosie okulary w drucianej oprawie ze szklami grubszymi niż denka butelek od coca-coli. Wymachiwał rękoma, jakby usiłował odgonić od siebie rój pszczoł.

– Niech się państwo odsuną, dobrze? – rzekł groźnie. – O kilka metrów. O kilka cholernych metrów! – Potknął się o kamień i prawie upadł. – Dlaczego oni tu są? Dlaczego teren nie jest zabezpieczony?!

Rozległ się warkot silnika i po chwili pod budowlę podjechała rozklekotana furgonetka. Wsiadło z niej trzech mężczyzn w identycznych, brązowych strojach i z miejsca ruszyli ku grupie archeologów.

– Stasiu! – wrzasnął mężczyzna w okularach. – Weź ich na bok!

– Okej! – odkrzyknął ktoś zza bocznej ściany piramidy. Galiński starł pot z czoła, przedstawił się.

– Nie udzielimy panu żadnej informacji – przerwano mu. – Sami nic nie wiemy i tyle. Za dużo się dzieje. Musi pan poczekać.

– Nie jestem dziennikarzem, jeśli o to panu chodzi.

– Świetnie, ale to nie zmienia stanu rzeczy. Pan wybaczy, ale jestem bardzo zajęty. Krystian, pogadaj z niebieskimi, niech zabezpieczą w końcu teren! Co tak, kurwa, stoją! Kosmitów zobaczyli?!

– Tylko chwilka. Proszę mi poświęcić minutę.

– Przykro mi, ale nie mogę. – Mężczyzna ominął Galińskiego i znów zaczął wrzeszczeć: – Stasiu, do cholery! Weź tamtych na bok! Stoją jak pawiany. Niech się najpierw oswoją! Gdzie są gliniarze?

Galiński ruszył za okularnikiem, tonąc po kostki w piasku.

– To piramida, prawda? – wykrzyknął. – Aztecka piramida.

– Już panu mówiłem, nie mam czasu na tego typu dyskusje.

– Jestem nauczycielem. Kilku moich uczniów zostało zamordowanych w ostatnich dniach. Szkoła średnia. Liceum imienia Generałowej Jadwigi Zamoyskiej na ulicy Widna jeden. Kojarzy pan? – Mężczyzna przystanął na chwilę. Zdjął okulary i wyczyścił szkła rękawem koszuli. Na jego twarzy wciąż gościła obojętność.

– Co to ma do rzeczy? – spytał. Galiński podszedł do niego i, spoglądając z ukosa na gigantyczną budowlę, odparł: – Sądzę, że te morderstwa można połączyć z pojawieniem się tego. – Wskazał palcem na węzową gębę z setkami stożkowatych zębów.

– Czyżby?

– W szkole, w której uczę, dzieje się coś dziwnego. Coś kompletnie niezrozumiałego. Uczniowie recytują dziwaczne, azteckie teksty, są brutalni wobec swoich kolegów...

Archeolog przekrzywił głowę jak psiak, usiłujący zrozumieć słowa swego pana.

– Azteckie teksty? – Zrobił kwaśną minę. – Jakie azteckie teksty? Nie wystarczy panu aztecka piramida?

Galiński pokrótce opowiedział historię z przywołanym do odpowiedzi Jasińskim. Starał się starannie dobierać słowa, aby mężczyzna nie uznał go za czubka. Kiedy skończył, wzruszył ramionami.

– Rozumie pan, o co mi chodzi? Przejrzałem Internet w poszukiwaniu słów tej pieśni. I znalazłem.

– Głodujący Kojot, pan powiada... – mruknął mężczyzna. Na de piramidy wyglądał jak meksykański poszukiwacz przygód.

– Właśnie tak. Jakiś poeta, który po śmierci zyskał taką sławę, że zrobiono z niego bóstwo.

Ktoś krzyknął, ktoś inny zakaszłał upiornie, krztusząc się pyłem. Galiński rozejrzał się w poszukiwaniu Kaśki. Dostrzegł ją. Obserwowała płaskorzeźby Jej krótką, bawełniana spódniczka trzepotała na wietrze niczym skrzydła nietoperza. Kiedy spojrzała w jego stronę, przywołał ją gestem ręki. Niechętnie ruszyła z miejsca.

– Słyszałem o tych morderstwach – odezwał się archeolog, grzebiąc w kieszeniach. – Pańska historia jednak, jak dla mnie, nie brzmi zbyt przekonująco.

– Jest prawdziwa – naciskał Galiński. – Podobnie jak ta budowla, która wyrosła z ziemi jak jakieś cholerny chwast.

– Być może. Mam mnóstwo pracy. Musi mi pan wybaczyć.

– Jak pan to wyjaśni? Jak pan wyjaśni zachowanie tych uczniów, do diabła?

– To jest sprawa dla psychologów. Morderstwa zaś, to już sprawa dla policji.

Nauczyciel zacisnął pięści. Miał ochotę walnąć faceta w pysk.

– Mój uczeń zaśpiewał pieśń sprzed kilkuset lat.

– Mógł śpiewać cokolwiek, proszę pana. Każdy jest teraz oszołomiony, ogłupiony, jeśli pan wie, co mam na myśli. – Badacz zaśmiał się krótko, niemal histerycznie. – Dopiero przyjechaliśmy. Badamy wszystko. Za wcześniej, aby dyskutować o tym, co tu się stało i dlaczego...

Każdy jest oszołomiony? Nie wierzył własny uszom. W co ci ludzie pogrywali, do diabła? Chciał coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. Usłyszał coś, jakby charczenie. Potrząsnął głową. Znowu te głosy. Wiele głosów. Nachodziły na siebie. Czym były? Skąd pochodziły?

...puść go...

...nic... zostaw... nadchodzi nowa...

...ni mitz notza... nahui...

...jesteśmy... prawie... aj...

– Proszę pana! – krzyknął. Wszystko go bolało. Czuł się słaby, jakby wyssano z niego całą energię. Gdzie jest Kaśka? Rozejrzał się. Stała nieopodal. Patrzyła na niego. Mówiła coś. Nic nie rozumiał.

...nadchodzi...

...Szósta...

...era...

Dostrzegł podchodzącą, do niego Kaśkę. Popatrzyła na niego tępo, a potem powiedziała coś niezrozumiale. Jęknął, przyciskając dłonie do pulsujących skroni.

– Proszę pana... – wymamrotał.

Jednak archeolog parł już w stronę furgonetki, do której podbiegł wysoki, ostrzyżony na jeża mężczyzna. Jego twarz była pokryta kurzem i piaskiem, jakby właśnie wydostał się ze starego grobowca.

Galiński ruszył za nim chwiejnym krokiem, a kiedy dotarł wreszcie do samochodu, pochylił się i splunął. Czuł się jak na cholernej pustyni. Miał wrażenie, że piasek zasypał mu płuca i żołądek. Splunął ponownie, po czym zorientował się, że archeolog bacznie mu się przypatruje.

– Niech pan wraca do domu. Nie mogę panu pomóc.

– Jest coś jeszcze...

– Proszę to zatrzymać dla siebie.

– Znaki. Rysunki.

Mężczyzna ściągnął brwi. Popatrzył na Kaśkę. Kobieta nie odezwała się.

– Jest pan zmęczony – oświadczył.

– Sprawdziany. – Galiński z trudem łapał powietrze. Każdy oddech sprawiał mu wiele bólu. – Wśród kartek są bazgroły, przypominające jakieś dziwne hieroglify. Koła, półokręgi, zygzaki... Każdy z tych dzieciaków narysował identyczne znaki w tym samym czasie.

Mężczyzna ciężko westchnął.

– Nie mam pojęcia, co mam panu powiedzieć. Chyba po prostu...

– Mam te sprawdziany. Mogę panu pokazać.

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy odezwała się Kaśka.

– Proszę chociaż obejrzeć te sprawdziany – poprosiła. Badacz wyglądał na zrezygnowanego.

– Gdzie pan je ma? – zapytał po dłuższej chwili.

Galiński słyszał bębny. Znajoma muzyka. Skrzywił się. Głowa bolała go tak bardzo, iż pomyślał, że za moment rozleci się na kawałki. Miał wrażenie, że ktoś obija mu mózg drewnianymi pałkami.

– W domu. Mam je w domu – wykrztusił, starając się zapanować nad chęcią zawycia z bólu. Muzyka stawała się coraz głośniejsza.

– Dawid. – usłyszał głos Kaśki – Wszystko w porządku?

Skinął głową.

– Era – wychrypiał nienaturalnie. – Nadchodzi Szósta era.

Okularnik zdębiał. Z pewnością nie słyszał tego dudnienia – dobywało się z wnętrza czaszki nauczyciela i przybierało na sile – niemniej wyglądał tak, jakby nagle zobaczył zjawę. Jego oczy zwęziły się jak ślepie kota.

– Porozmawiamy – rzekł, po czym wyciągał zmiętą kartkę papieru i zapisał numer telefonu. – Albo lepiej niech mi pan poda swój numer. Odezwę się. Może wieczorem, może jutro. Tak, jutro, zdecydowanie jutro. – Skinął głową na znak potwierdzenia, po czym pociągnął nosem.

Muzyka ucichła. W czaszce Galińskiego brzmiały ostatnie, pojedyncze dźwięki bębnów. Był jak w transie. Wirowało mu w głowie. Przez chwilę sądził, że upadnie.

– Jak tu gorąco.

Badacz obserwował go przez dłuższą chwilę.

– Goręcej niż gdziekolwiek indziej – podjął wreszcie, bardziej do siebie niż do Galińskiego. – To ta budowla... kiedy się dotknie ścian, można sobie poparzyć palce. A nawiasem mówiąc, nazywam się Maksymilian Płótniak. Pracuję w Wydziale Archeologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza. – Podniósł wzrok i uśmiechnął się nieznacznie. – Proszę czekać na telefon. A teraz niech pan wraca do domu i ochłonie.

– Dziękuję – wybełkotał Galiński. – Bardzo panu dziękuję.

* * *

– Dokąd jedziemy? – spytała Kaśka, kiedy z piskiem opon przemknęli przez skrzyżowanie, kierując się w stronę centrum miasta. Trzymała się kurczowo deski rozdzielczej, z niepokojem spoglądając na wskazówkę prędkościomierza.

– Muszę pogadać z Krzyżanowskim – odparł ze stoickim spokojem. Ból skroni ustąpił, ale wciąż miał wrażenie, że „coś” siedzi w jego głowie i tylko czeka na dogodny moment, aby przyłożyć ze zdwojoną siłą. Momentami nie był pewny, czy myśli, które bombardowały umysł, były jego własnymi. I jeszcze te głosy – wyraźne i wrogie. Kpiły sobie z niego, naśmiewały się.

– Z Krzyżanowskim? Nie wpuszczą cię.

– Coś wymyślę – bąknął. – Porozmawiam z nim, choćbym miał paść trupem.

Podjechali pod dom Galińskiego. Nauczyciel poprosił Kaśkę, aby została w samochodzie i obiecał, że za chwilę wróci. Nie oponowała. Zajrzał do sypialni. Sięgnął pod łóżko po szkatułkę swojej matki i wyjął z niej starą złotą kolię, wysadzaną rubinami. Jego matka uwielbiała rubiny, nie bardziej jednak niż diamenty i szafiry. Rzecz była zapewne warta grubo ponad dziesięć tysiaków. Modlił się, aby udało mu się porozmawiać z Krzyżanowskim. Pięć, dziesięć minut. Nie potrzebował więcej czasu...

Rzucił Kaśce przelotne spojrzenie, po czym skoncentrował się na prowadzeniu. Nie wspomniał jej o kolii, ani o tym, co zamierza z nią zrobić. Wiedział jednak, że to jedyna szansa, aby zamienić z uczniem kilka słów.

* * *

Chudy, dwumetrowy strażnik z wąsem *à la* Salvador Dali długo wbijał wzrok w połyskującą w kieszeni marynarki Galińskiego biżuterię. Biolog musiał się nieźle naprodukować, by go przekupić. Tłumaczył, że podejrzewa, dlaczego chłopak zabił swojego kolegę i wyraził przypuszczenie, że Krzyżanowski powie mu więcej, niż policji. Strażnik słuchał uważnie, choć Galiński nie miał pojęcia, co tamten myśli. Bał się, że za próbę przekupstwa zamkną i jego, ale musiał spróbować.

Dryblas skinął głową i poprosił, aby nauczyciel zaczekał kilka minut. Biolog domyślił się, o co chodzi. W budynku znajdowały się kamery i musiało to chwilę potrwać, zanim strażnik dogadał się ze swoim kumplem, sprawującym pieczę nad monitorami. Po trzech kwadransach wrócił do Galińskiego i oznajmił ochryple: – Ma pan piętnaście minut. Ani chwili dłużej. Przez cały czas będę stał za drzwiami i was obserwował. Kiedy powiem, że ma pan wyjść, bez słowa opuści pan celę. Rozumiemy się?

* * *

Widok nie należał do przyjemnych. Uczeń, którego podziwiał, któremu ufał i którego darzył sporą sympatią, siedział w obskurnej, cuchnącej lizolem celi o powierzchni trzech metrów kwadratowych. Pod mikroskopijnym okienkiem stała wąska, wyściełana skajem, prycza. To na niej siedział Krzyżanowski, ze skrzyżowanymi, patykowatymi nogami, odstającymi uszami i podkrążonymi od niewyspania oczyma.

– Cześć – zagadnął Galiński, spoglądając wymownie na obserwującego go strażnika. Dryblas podrapał się po głowie, następnie z najwyższą

niechęcią rzucił: – Piętnaście minut. – Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Chłopak skrył twarz w dłoniach.

– Jak się masz? – Galiński podszedł do pryczy i usiadł na skraju. – Pogadamy?

Cisza.

– Wiele się ostatnio wydarzyło... – zaczął, usiłując zachować jowialny ton głosu. – Zamordowano innych uczniów. Zapewne sądzą, że wiesz, kto to zrobił.

Krzyżanowski wolno pokręcił głową.

– Wiesz?

– Nie, proszę pana. – Dzieciak był przybity, zmęczony. – Nie mam pojęcia. To nie ja zabiłem Adriana. Nie wiem, kto to był...

Promienie słoneczne wpadały do celi, tworząc surrealistyczne obrazy na ścianach.

– Pamiętasz coś?

Gównno pamięta.

Galiński przymknął oczy.

– Pamiętam tylko ciało. Zakrwawione ciało – Krzyżanowski z trudem przełknął ślinę. – Nic więcej. Potem przywieźli mnie tutaj.

– Nie pamiętasz, jak do tego doszło?

– Nie.

Jest z nami.

Kim jesteś?

Galiński potrząsnął głową. Upiorny ból skroni powrócił. Jęknął.

Nic nie wskórasz. Jesteśmy już, tutaj. Jesteśmy gotowi, by przywrócić naszą boskość.

Zacisnął pięści. Miał ochotę sięgnąć po coś ostrego i wbić to sobie w głowę.

– Proszę pana... – usłyszał. – Boję się. Strasznie się boję.

– Kogo?

– Nie wiem... Nie wiem, jak ich nazwać.

– Kim oni są?

– Nie wiem, naprawdę. Mają ogromną siłę... – Krzyżanowski pokręcił głową. Z trudem przełknął ślinę.

– Kim są – powtórzył przez zęby Galiński, odchylając głowę. Coś rozrywało jego nerwy. Zgniatało mózg. – Kim?

– Nie mam pojęcia. Demonami albo czymś gorszym. Boję się. Oni są tak blisko.

– Widziałeś ich?

– Są w nas – wymamrotał chłopak. – Przemawiają przez nas...

A potem rozległ się głośny, szyderczy śmiech. Przez moment nie wiadomo było skąd pochodzi. Dopiero kiedy dzieciak wstał i otworzył usta, wszystko stało się jasne. Rechot wybrzmiewał z otchłani jego gardła. Oczy Krzyżanowskiego momentalnie zwięzły się i zabłyśły złowrogo, zupełnie jak oczy pijanego furiata w knajpie, gotowego wypruć flaki każdemu, kto odważy się go wyprosić.

Galiński patrzył w przerażeniu na swojego ucznia, który podszedł do ściany i nie przestając się śmiać zaczął okładać ją pięściami. To już nie był ten sam Krzyżanowski. Tkwiła w nim moc, jakaś nieznaną siłą, pragnąca uwolnić się z celi. Nauczyciel wodził wzrokiem za kawałeczkami złuszczonej farby i tynku sypiącymi się na podłogę. Zdawało mu się, że słyszy przepiękny bólem i desperacją jęk chłopaka, ale został on momentalnie stłumiony przez kolejną salwę śmiechu. Ktoś nagle uderzył w drzwi od zewnątrz. Strażnik. Nie mógł dostać się do środka.

Galiński czuł, jak z sekundy na sekundę ogarnia go coraz większa apatia. Kontury Krzyżanowskiego zaczęły się zacierać. Przypominał teraz

podążającą ku niemu zjawę. Kiedy stanął naprzeciwko nauczyciela, wyszczerzył zęby, jakby w chęci okazania przewagi. Uśmiech, a może szyderstwo, biło z jego twarzy. Chłopak padł na kolana i rozłożył ręce. Zamknął oczy. Jego powieki drżały. Wysznięte na wiór usta, rozchyliły się, a spomiędzy warg wypłynęła strużka krwi.

Serce waliło Galińskiemu w piersiach, jakby miało za moment eksplodować. Nie wiedział, co robić. Strażnik wciąż usiłował dostać się do celi. Bez efektu. Wykrzykiwał przekleństwa, waląc w drzwi – te ani drgnęły.

Tymczasem Krzyżanowski zaczął kołysać się z boku na bok. Jego twarz wyrażała najwyższą koncentrację. Śpiewał. Słowa odbijały się echem od ścian i rozpraszały w powietrzu. Chłopakowi drżał podbródek. Sprawiał wrażenie oderwanego od rzeczywistości. Opętany przez przepotęzną siłę, łkał. Z jego gardła wciąż wydobywały się słowa ponurej pieśni:

A teraz wstań.

A teraz wstań i pozwól mi złożyć ofiarę.

Dymiące Zwierciadło klęka u twych stóp.

Dymiące Zwierciadło chce okazać swą wdzięczność.

O Panie, swój byt pokładam w Tobie.

Tyś mnie wskrzesił jak za dawien lat.

A teraz przyjmij ofiarę.

Nagle drzwi stanęły otworem i do celi wpadł strażnik. Potknąwszy się o drewniany próg, runął z impetem na podłogę. W jego oczach malowało się szaleństwo, jednak w obliczu zaklętej w ciele Krzyżanowskiego istoty był absolutnie bezbronny. Zanim zdążył sięgnąć po broń, chłopak wstał na

równe nogi, chwycił dryblasza za kark tak mocno, aż ten pobladł. Następnie jednym energicznym ruchem wbił pięść w klatkę piersiową mężczyzny i wyszarpnął zeń serce. Organ spoczywał teraz w szczupłej dłoni Krzyżanowskiego, który, uśmiechając się nieznacznie, odwrócił głowę w stronę Galińskiego. Nauczyciel zeszywniał. Nieruchome ciało strażnika leżało nieopodal pryczy. Zobaczył białą, wykrzywioną twarz dryblasza. Zwymiotował.

Krzyżanowski wyciągnął do niego rękę. Serce było ogromne, błyszczące i biło. Galiński nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przyciśnięty do ściany, bał się wykonać najmniejszy ruch.

– Przyjmij ofiarę, mistrzu – wymamrotał chłopak, przytykając mu drgający organ do ust. – Przyjmij na znak mej wdzięczności, Panie.

Wtem huknęło jak z armaty i Galiński zobaczył kawałki drewna, odpadające z framugi otwartych drzwi. Do pomieszczenia wbiegło dwóch roślących policjantów. Na widok leżącego przed pryczą ciała, stanęli jak wryci, po czym jeden z nich cofnął się o kilka kroków. Kiedy ich wzrok powędrował na Krzyżanowskiego i bijące w jego dłoni serce, sięgnęli po broń. Zszokowani, wrzasnęli coś niezrozumiale. Jeden z nich otworzył ogień. Wystrzelił raz, a potem kolejny. I ponownie. Opróżnił cały magazynek. To, co stało się potem, przyparło Galińskiego do muru, całkiem odebrało mu dech.

– Nie! – wrzasnął drugi funkcjonariusz, podbiegając do martwego Krzyżanowskiego. – Coś ty narobił?! Coś ty narobił!!!

Zaskoczony policjant opuścił pistolet, a wtedy jego kolega wyciągnął swoją broń. Jego oczy zwęziły się.

– Tego was uczono, prawda? – wycharczał. – Zabijać. Macie to w genach. Mordowanie... W imię czego? Pytam, w imię czego?!

– O czym ty...

Ale policjant nie dał oszołomionemu koledze dokończyć. Uderzył go w twarz ręką pistoletu z taką siłą, że mężczyzna natychmiast stracił świadomość. Bezwładne ciało runęło na ziemię. Ogarnięty szałem funkcjonariusz dopadł do swojego partnera i wysyczał: – Jesteście głównym, wszyscy!

A potem skręcił policjantowi kark. Jednym szybkim ruchem.

Spojrzał najpierw na Krzyżanowskiego, a następnie na Galińskiego. Nauczyciel nie był w stanie się poruszyć.

– Odrodzi się ponownie, prawda? – Usłyszał głos policjanta. – Dymiące Zwierciadło odrodzi się, prawda?

Chwilę potem uklonił się nisko, po czym skinął głową i cichutko wyszeptał z ulgą: – Odrodzi się...

* * *

Galiński był jak w transie. Pamiętał jedynie, jak jakiś spokojny, przyjazny głos oznajmił mu, że jest już bezpieczny. Otworzył oczy. Siedział na drewnianej ławce, oparty o ścianę. Obok niego Kaśka ścierała z policzków łzy. Była roztrzęsiona i sprawiała wrażenie przerażonej.

Młody, najwyżej dwudziestopięcioletni policjant spytał, czy wszystko w porządku. Galiński nie odpowiedział. Zaschło mu w gardle. Popatrzył na Kaśkę. Dziewczyna odwzajemniła spojrzenie, mocno przytuliła.

– Już dobrze – powiedziała. – Zaraz pojedziemy do domu.

– Będziemy chcieli zamienić z panem kilka słów – wtrącił policjant. – Ale najpierw pan odpocznie. Musi pan ochłonąć.

Już druga osoba tego dnia sugerowała, aby odpoczął. Dziwił się, dlaczego od razu nie zgarnęli go na przesłuchanie, w końcu znalazł się w

samym centrum krwawej jatki, podczas której zginął uzbrojony po zęby strażnik i... policjant. Usiłował przypomnieć sobie, w jaki sposób zginął. Nie potrafił. Miał lukę w pamięci.

Wiedział jedynie, że powinni byli go zamknąć, tymczasem okazywali wobec niego obojętność. Nic z tego nie rozumiał. Dostrzegł kilku innych policjantów. Przyglądali mu się tępo. Jeden z nich podszedł do Dawida.

– Znowu pan – rzucił i roześmiał się nerwowo, odsłaniając duże braki w uzębieniu. Miał przetłuszczone włosy i krzywy nos. Galiński nie widział go wcześniej, a przynajmniej tak mu się wydawało. – Co pan robił w tej celi?

– Rozmawiałem.

– Kto pana wpuścił do środka?

Teraz nie miało to już znaczenia.

– Strażnik, który nie żyje.

Policjant zacisnął szczęki, nagle spoważniał.

– Co tam się wydarzyło?

– Niewiele pamiętam.

– A co pan pamięta?

– Mój uczeń wyrwał strażnikowi serce. Tylko tyle.

– Nic więcej?

– Nie.

Cisza. A potem krótkie pytanie, od niechcienia, jakby dla zachowania pozorów: – Potrzebuje pan karetki?

– Nie.

– A pani? – Gliniarz przeniósł wzrok na Kaśkę.

– Nie, dziękuję. Byłam w samochodzie, kiedy to się stało.

– Może pani prowadzić?

– Tak.

– Proszę nie wyjeżdżać z miasta przez najbliższe kilka dni. – Funkcjonariusz zwrócił się do Galińskiego. – Zostanie pan przesłuchany, tym razem w sprawie dzisiejszego zabójstwa. Najpierw jednak trzeba posprzątać cały ten bajzel...

Galiński skinął głową. Bajzel to on miał we łbie.

* * *

Zatrzymali się na światłach. Reflektory samochodów, niczym dzieńne światło, rozjaśniły znajdujący się przed nimi deptak. Turyści – wydawało się, że są ich tysiące – podziwiali centrum handlowe Stary Browar i wyciągali szyję, aby zobaczyć co też ciekawego prezentują witryny salonów na poszczególnych piętrach. Wokół sunął nie kończący się strumień aut.

Prowadząca Omegę Kaśka usiłowała zachować spokój. Choć nerwy miała w strzępach, nie okazywała tego. Co jakiś czas spoglądała na wbitego w fotel, bladego jak ściana. Dawida i posyłała mu ciepły uśmiech. Tylko w taki sposób mogła choć trochę ukoić jego wewnętrzny ból. Nie wiedziała, co dokładnie wydarzyło się w celi. Słyszała, że zginął strażnik. Podobno Krzyżanowski oszalał i rzucił się na niego. Nie miała jednak pojęcia, w jaki sposób chłopak zdołał pozbawić życia uzbrojonego mężczyznę. Nie zamierzała pytać. Nie teraz. Zerknęła ukradkiem na Galińskiego. Jego twarz była spocona, usta spieczone, a z oczu spozierała groza.

Zdjęła prawą rękę z kierownicy i pochwyciła jego dłoń. Odwrócił głowę i uśmiechnął się słabo. Wjechali na wąską, piaskową dróżkę. W oddali zamajaczyły dachy domków jednorodzinnych.

– Za chwilę weźmiesz prysznic i się położysz – powiedziała miękkim głosem. – Podam ci coś na uspokojenie.

Skinął nieznacznie głową.

– Jutro poczujesz się lepiej. Musisz tylko odpocząć. Nie wiem, jakim sposobem zdołałeś przekonać policję, aby po tym, co się stało, puścili cię do domu, ale cieszę się z tego powodu bezgranicznie. Muszą ci wierzyć.

Wierzyć.

Wierzyć... Co za paranoja!

Nie.

Oni coś kombinują, był tego pewien. Tam stało się coś jeszcze, pomyślał. W dalszym ciągu nie potrafił sobie przypomnieć... Dziura. Czarna dziura.

– Trzecia osoba... – wydukał, na siłę zmieniając temat.

– Słucham? – Kaśka zatrzymała auto na podjeździe i zgasła silnik.

– Trzecia osoba tego dnia mówi mi, że muszę odpocząć. A ja, na Boga, o niczym innym nie marzę.

* * *

Sądził, że głosy wrócą, ale milczały. Wsiadając z auta, przystanął na moment i przymknął oczy. Szok powoli mijał, za to dało o sobie znać zmęczenie. Był wykończony. Ledwo trzymał się na nogach.

Gdzie jesteś? – warknął w duchu, zirytowany. Czy po tym wszystkim, co się stało, nie możesz po prostu powiedzieć, o co tu chodzi? Kim jesteś, do cholery?

Kaśka przyglądała mu się w skupieniu. Pewnie ma mnie za czubka, pomyślał. Sam zaczął zastanawiać się nad wizytą u dobrego psychologa. A

może z miejsca powinien udać się do psychiatry? Do diabła, przecież słyszał te głosy. Nie były jedynie wytworem jego chorej wyobraźni. Podobnie jak nie wymyślił sobie masakry w celi Krzyżanowskiego.

Otworzył drzwi i weszli do salonu. Z początku przyszło mu do głowy, że to, co ujrzał rozglądając się tępo po salonie było tylko wywołanym przez zmęczenie, przewidzeniem. Kiedy jednak usłyszał za sobą cichy jęk Kaśki, wiedział już, że wzrok go nie myli. Ktoś ściągnął ze ścian wszystkie obrazy i gobeliny. Przedmioty były zniszczone i poniewierały się po podłodze. Nie to jednak sprawiło, że osłupiał.

Spoglądał na ściany. Każda z nich pokryta była barwnymi, urzekająco realistycznymi malowidłami. Pierwsze, zdecydowanie największe, przedstawiało ozdobionego kolorowymi piórami wojownika. Mężczyzna biegł w sobie tylko znanym kierunku, jego długie włosy rozwiewał wiatr. Patrząc na wyraz jego twarzy, można było przypuszczać, że jest przerażony. Uciekał przed czymś, co miało za moment wyłonić się z lasu. Drzewa posiadały ogromne korony. Ktoś, kto je malował, zadbał o najdrobniejsze szczegóły. Każdy liść odwzorowano tak realistycznie, iż niemal dostrzegało się, jak faluje na wietrze. Wojownik miał doskonale umięśnione ciało, głęboko osadzone oczy i wysokie czoło. Momentalnie skojarzył się Galińskiemu z wyciosaną z kamienia głową bożka na ścianie piramidy.

Na innym malowidle dostrzegł idealnie odwzorowanego jaguara. Zwierzę pędziło na łeb na szyję w stronę lasu. Trzymało w pysku krwawy strzęp mięsa, najprawdopodobniej ludzkiego. Pokrywała go gładka sierść, która mieniła się w świetle księżyca.

Galiński dopiero po chwili spostrzegł, że oba malowidła stanowią całość. Pędzący wojownik uciekał przed jaguarem. Zwierzę pałało żądzą rozszarpania uciekiniera na kawałki. Rysunek na przeciwległej ścianie dokładnie ukazywało tę brutalną scenę. Ściskający w pysku kawał mięsa

drapieżnik, rzucał się na wojownika. Długie i ostre jak szpikulce lodu pazury wbijały się w jego nagie plecy. Z ran tryskały fontanny krwi.

Kaśka podeszła do jednej ze ścian i spuściła głowę. Chciała coś powiedzieć, ale Galiński ją uprzedził: – Widzisz z czym mamy do czynienia?

– Kto to mógł zrobić? – Odwróciła się i popatrzyła na niego.

– Nie mam pojęcia.

– Wiesz, ile czasu zajmuje namalowanie czegoś takiego?

Zesztywniały, zastanawiał się nad tym. Nie było go w domu ładnych kilka godzin.

– Miesiąc? Dwa? – Jej głos drżał.

– Drzwi były zamknięte.

– Może miał klucze?

– Klucze posiadam tylko ja. – Jakakolwiek próba wyjaśnienia tego, co się stało, była całkiem bez sensu.

Wszedł na piętro. Pchnął drzwi od sypialni. Zapalił światło, choć i bez tego z łatwością mógł dostrzec malowidła na ścianach.

O, kurwa... Wielki, opierzony wąż patrzył na niego wprost ze ściany. Jego gigantyczna głowa unosiła się kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią. Idealnie okrągłe, sprawiające wrażenie doklejonych, oczy miały fioletowy odcień. Hipnotyzowały. Długie, ozdobione różnokolorowymi piórami cielsko wiło się pośród małych, nowonarodzonych węży. Stworzonka trzymały w szczękach ludzkie części ciała. Dłonie, stopy, genitalia i kości ociekały krwią, która tworzyła ogromną, połyskującą w słonecznym świetle kałużę. W niej zaś odbijał się cień ogromnego opierzonego węża.

W chwili gdy do sypialni weszła Kaśka, rozdzwonił się telefon. Galiński podniósł słuchawkę, nawet nie spoglądając na dziewczynę.

– Galiński.

– Dawid? – to był Tomasz Kaczmarek, nauczyciel wychowania fizycznego. Jego głos brzmiał, jakby dochodził z tunelu. – Słuchaj, musisz tu przyjechać.

– Co się stało?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale wychodzi na to, że ktoś przemałował nam salę gimnastyczną.

– Co? – Galiński usiadł na skraju łóżka.

– Przed chwilą. Słuchaj, to są jakieś dziwne malowidła. Same postaci wojowników, węże i inne zwierzęta. Nie mam pojęcia, kto to mógł zrobić. – Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał Kaczmarek: – Stary, coś tu się dzieje, a ja sram w gacie ze strachu.

– Gdzie jesteś? Jest sobota, co ty robisz w szkole?

– Dzwonię z pokoju nauczycielskiego. Mam SKS-y.

– Dlaczego nie odwołano zajęć?

– Mnie się pytasz? Kiedy zapytałem o to dyrektora, odparł, że mam się nie wpierdalać.

– Posłuchaj...

– Słyszałeś o tej piramidzie? Wyrosła z ziemi jak pieprzony grzyb po deszczu. Nikt nie wie, skąd się wzięła.

Galiński zerknął na Kaśkę. Odwzajemniła spojrzenie. Za jej plecami ogromny wąż zdawał się przygotowywać do ataku.

– Ja też nie wiem skąd się wzięła.

– Będziesz w poniedziałek w szkole?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Muszę z tobą pogadać. Coś trzeba zrobić, do cholery.

– Niby co? Jakoś nie mam pomysłu. Właśnie wróciłem do domu po wizycie u Krzyżanowskiego.

– Co ty gadasz? Pojechałeś do więzienia?

– Tak, chłopak zabił strażnika. A dokładniej rzecz biorąc, nie on, tylko jakiś siła, która go opętała...

– Ja pierdolę...

– A malowidła... cóż, myślę, że doskonale wiem, co masz na myśli.

– O czym ty mówisz? – Kaczmarek pociągnął nosem.

– Mam tu istną, starożytną jaskinię. Ściany w moim salonie pokryte są dziwnymi malowidłami, od których włos się jeży na głowie. To samo w sypialni. Podejrzewam, że w innych pokojach jest podobnie. Rano widziałem tę piramidę. Gadałem z pewnym archeologiem. Gość jest lekko rąbnięty, ale zgodził się mnie wysłuchać. Mam zamiar się z nim spotkać i dokładnie opowiedzieć o tym, czego tu doświadczyliśmy.

– Kiedy się spotykacie?

– Dziś albo jutro ma zadzwonić.

– Mogę się do ciebie przyłączyć? Dorzucę od siebie parę faktów.

Galiński milczał przez dłuższą chwilę. Miał zamiar sam to załatwić. Z drugiej jednak strony, Kaczmarek był świadkiem tego, co wydarzyło się w szatni, kiedy Krzyżanowski załatwił Romskiego. Jego obecność mogła okazać się bardzo przydatna.

– W porządku.

– Okej. Zatem czekam na informacje.

– Dam ci znać. – Odłożył słuchawkę.

– Kto? – Usłyszał cichy głos Kaśki.

– Kaczmarek.

– Co stało się tym razem?

Nie odpowiedział. Zamiast tego zadał w duchu jedno pytanie: Jak brzmi twoje imię? Chcę poznać twoje imię. Natychmiast, ty popierdoleńcu!

Powinieneś się wstydzić, usłyszał w odpowiedzi.

Skończ z tą cholerną ironią i gadaj...

Zerknij na ścianę.

Patrzę.

I co widzisz?

Galiński zmrużył oczy.

Węża.

Brawo.

Opierzonego.

Doskonale.

I co to, do diabła, znaczy?

To znaczy, że właśnie wypowiedziałeś moje imię.

ROZDZIAŁ 8

KAMIEŃ OFIARNY

Andrzej Moskał ledwie trzymał się na nogach. Był odrętwiały, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Tego, co się ostatnio działo w szkole, nie można było wytłumaczyć w racjonalny sposób. Nie miał nawet siły myśleć o tym, co mogło być przyczyną takiego stanu rzeczy. To wszystko przekraczało ludzkie pojęcie.

Biedne dzieciaki, rozmyślał, podążając pustym korytarzem w stronę swojego gabinetu. Czym zawiniły? Dlaczego musiały zginąć? Moskał miał ochotę wydrzeć się na całe gardło. Wyrznąć pięścią w ścianę. Rozpieprzyć coś.

Malowidła. Cholerne malowidła. Jakiś skończony czub przemalował cały budynek! Sam się oszukujesz, skarcił się. Kto byłby w stanie zrobić coś takiego? Kaczmarek, kurwa? Najpierw sala gimnastyczna, następnie korytarz na parterze. A potem jeszcze jego cholerny gabinet. Kto? Kto albo co przemalowało szkołę? W jeden dzień. Nie. W kilka godzin. Barwne wizerunki zwierząt, wojowników, jakichś dziwnych postaci... Co to w ogóle było? Co tu się, kurwa, wyprawia? Był bezradny, nie potrafił się skoncentrować. Zazwyczaj doskonale zorganizowany, teraz nie wiedział, w co wsadzić łapy. Cholerny ranking. Tak długo walczył o dobrą opinię dla szkoły, i kiedy wreszcie zaczynał dopinać swego, wszystko trafił jasny szlag.

Ginęły dzieci. To bolało najbardziej.

Jęknął i zatrzymał się. Musiał wziąć kilka głębszych oddechów. Dla uspokojenia. Uspokojenia... Już nigdy nie będzie się czuć spokojny. To wszystko przez jakąś czarną magię. Demony. Coś wykraczającego poza ludzkie rozumowanie.

Przełknął ślinę i kontynuował spacer korytarzem. Przez chwilę miał ochotę zadzwonić do żony. Iwona zawsze doskonale go rozumiała. Od blisko dwudziestu lat. Nie była idealna, ale doskonale radziła sobie ze stresem. I potrafiła świetnie doradzić. Wiele jej zawdzięczał. Kiedy został dyrektorem szkoły, miał swój plan, na podstawie którego zamierzał działać. Iwona poświęciła wiele czasu na rozmowy z nim na ten temat. Sugerowała, by przemyślał kilka punktów, między innymi kwestie związane z promocją szkoły. On był zwolennikiem dobijania się do wrót telewizji regionalnych i gazet, ona parła w kierunku nowoczesności i zaproponowała założenie strony internetowej. Posłuchaj jej i świetnie na tym wyszedł. Biorąc pod uwagę koszty reklamy w prasie i telewizji, można rzec, że Internet to doskonała forma promocji za doprawdy niewielkie pieniądze. Stara, dobra Iwonka.

Wszyscy mu ostatnio zawracali dupę. Chcieli, aby szkoła została zamknięta. Policja nie wydała takiego nakazu, więc nie musiał tego robić. Wystarczyło, że zagrodzili dostęp do części terenu poza budynkiem i zamknęli połowę parteru szkoły. Nikt nie przeszkadzał. Większość dzieciaków i tak nie przychodziło na lekcje, a ci, którzy się zjawiali, wchodzili drugim wejściem i natychmiast wbiegali na górę. Bali się nawet przebywać na parterze.

Westchnął. Źle zrobił. Powinien był jednak zamknąć szkołę. Doszło do kompletnie popierdolonych morderstw. Coś było nie tak. Coś nie grało w tym wszystkim. Gliny mogły wydać nakaz zamknięcia budynku. Powinni to

zrobić, a jednak stało się inaczej. Obserwowali dzieci? Ich zachowanie, reakcje na to, co się stało? Nie, to nie to.

– Proszę się zastanowić, czy chciałby pan, aby szkołę zamknięto – powiedział mu jeden z policjantów. – Czy to by nam w czymkolwiek pomogło? Raczej nie. Zamordowano te dzieciaki i nikt tego nie cofnie.

Dziwne gadanie. Zapytał, co ma robić. Na co gliniarz odparł, że powinien dalej wykonywać swoją robotę, a policji pozwolić zająć się sprawą. Najdziwniejsze było to, że w głosie funkcjonariusza pobrzmiwała ekscytacja. Jakby tylko czekał, aż zginie następny dzieciak. Może mu się po prostu wydawało. Stres i szok zrobił swoje...

Drzwi do jego gabinetu były otwarte. Zdziwił się, kiedy to zobaczył. Zamykał je przecież, gdy wychodził. Nikt nie odważyłby się pod jego nieobecność buszować po gabinecie, to nie wchodziło w grę. A jednak ktoś tam był.

Zwolnił kroku. Nasłuchiwał przez chwilę, ale do jego uszu nie dotarł żaden dźwięk. Może niedokładnie je zamknął i przeciąg je otworzył? Kombinował zupełnie niepotrzebnie – drzwi doskonale wymierzono i perfekcyjnie osadzono. Nie mogły otworzyć się na całą szerokość. Po za tym doskonale pamiętał, jak je zamykał.

W pewnej chwili jednak coś usłyszał. Kroki. Ktoś był w jego gabinecie. Może znowu policja? Czego chcieli? Coś podpowiadało mu, że to jednak nie gliniarze. Nie było sensu gdybać. Pewnym krokiem wszedł do gabinetu.

* * *

Drzwi natychmiast się za nim zatrzasnęły. Najpierw zobaczył trzech uczniów z drugiej klasy, potem olbrzymi kamlot, stojący w rogu pokoju, na

koniec policjanta, z którym niedawno rozmawiał. Dzieciaki miały na sobie kolorowe płócienne stroje w zawiłe wzory. Cała trójka była bosa, a przy kostkach gruchotały im bransoletki z czarnych i czerwonych paciorków. Twarze mieli pomalowane na czerwono, dłonie na czarno. Kiedy jeden z nich wyszczerzył się w krzywym uśmiechu, Moskał zobaczył, że dzieciak ma spiłowane zęby jak jakiś cholerny Indianiec z horroru klasy C.

Funkcjonariusz stał z tyłu, przy ścianie. Bez słowa wbijał wzrok w kamień, a raczej metrowej średnicy głaz, zajmujący miejsce w rogu gabinetu, zaraz za biurkiem dyrektora. Moskał nie poruszył się, kiedy jeden z uczniów podszedł do kamienia i powiedział coś w niezrozumiałym języku.

– Co to ma znaczyć? – wykrztusił dyrektor, spoglądając na policjanta. Mężczyzna nie zareagował. Dopiero teraz Moskał spostrzegł, że facet ma podarte spodnie, a w dłoni trzyma długi nóż z obsydianu.

Pozostali dwaj uczniowie stanęli przed kamieniem. Jeden z nich patrzył na Moskala, uśmiechając się pod nosem. Dyrektor cofnął się.

– Nie ruszaj się – powiedział funkcjonariusz. – Nie uciekniesz.

– Zwariował pan? Co to za teatrzyk?

– Nie ma pan czasu na zadawanie pytań – odezwał się drugoklasista. Płachta materiału, która zasłaniała jego ciało, zafalowała. – Prosimy na kamień.

Po tych słowach policjant ruszył z miejsca. Zdecydowanym ruchem pchnął Moskala na kamień i wyciągnął przed siebie nóż. Jego twarz była bez wyrazu, jak w stanie głębokiej hipnozy. Któryś z dzieciaków roześmiał się.

– Boisz się? – zapytał policjant lodowatym tonem.

Dyrektor szkoły zachwiał się i omal nie przewrócił. Nie wiedział, co się dzieje. Czuł ból w krzyżu. Uderzenie o kamień było bolesne. Na chwilę

stracił dech w piersiach. Przed oczyma stanęło mu całe życie. Szkoła podstawowa, kiedy pierwszy raz zapalił trawę – nie smakowała mu. Liceum, gdy przeleciał pierwszą panienkę – była od niego dziesięć centymetrów wyższa i ssała jak odkurzacz. Studia, kiedy podjął pierwszą pracę – sprzedawał kleje i farby w małym sklepiku na rogu Mottego i Łukaszewicza. Śmierć rodziców – tata umarł na raka w osiemdziesiątym piątym, mama na wylew dwa lata później. Randka z Iwoną, po której zaprosił ją do siebie na noc i zamiast korzystać z dobrodziejstw natury, schlali się do nieprzytomności. Ślub, na który przybyło ponad trzysta osób i, co dziwne, większości nigdy nie widział na oczy. Wreszcie orzeczenie lekarskie, mówiące, że nie będą mogli mieć dzieci...

– Możesz walczyć – usłyszał. – Takie są reguły gry.

Nie rozumiał z tego ani słowa.

– Walcz. Wstań i walcz. Będziesz wolny, jeśli zwyciężysz. Znajdź w sobie odwagę, potępieńcu.

– Co wy robicie? – wychrypiał.

Nie doczekał się już odpowiedzi. Jeden uczeń z ogromną siłą wbił mu rękę w klatkę piersiową, a następnie wyrwał z wnętrza bijące jeszcze serce. Moskał widział, jak bije ono na otwartej dłoni ucznia – duże, krwawe, śliskie. A potem osunął się na kolana. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku, nawet nie jęknął.

Serce przestało bić, policjant odebrał je uczniowi i przyłożył sobie do nosa. Przez moment delectował się jego zapachem. Następnie polizał i zarechotał z zadowolenia.

Wszyscy razem podnieśli jego ciało i ułożyli na kamieniu. Jeden z nich wymamrotał coś, co reszta powtórzyła za nim. Z klatki piersiowej dyrektora leniwie sączyła się krew. Ściekała na kamień.

Policjant z wielką wprawą zaczął pracować nożem. Ciął jak wytrawny rzeźnik. Szybko, zwinnie, perfekcyjnie oddzielał skórę od ciała. Był skupiony, zaciskał zęby, a po skończonej robocie rozluźnił szczęki, uśmiechnął się i wypuścił z dłoni nóż.

Skóra Andrzeja Moskala leżała na podłodze, a on sam nie przypominał już siebie. Jedyne świadectwem na to, że należał do gatunku *homo sapiens*, była ludzka sylwetka. Twarz przypominała groteskową maskę. Krwawy strzęp, podobnie jak reszta ciała.

Zarówno uczniowie, jak i funkcjonariusz pochyłili się nad obdartymi ze skóry zwłokami Moskala i wspólnie zaintonowali:

Wraca nasz czas.

Nadchodzimy, aby odebrać nasze plony.

Kończy się Piąta era.

Rozpoczynamy Szóstą erę!

Następnie policjant ujął w dłonie największy fragment skóry i otulił się nim jak szalem. Rozbrzmiały bębny. Cała czwórka rozpoczęła rytualny taniec.

ROZDZIAŁ 9

KRWAWY TYDZIEŃ

W ciągu następnego tygodnia doszło w Poznaniu do około piętnastu wypadków, w których zginęło ponad trzysta osób. Najtragiczniejszy z nich wydarzył się na poznańskim Dworcu Głównym. W stojącym na trzecim peronie pociągu relacji Poznań–Olsztyn doszło do masakry, w której życie straciło osiemdziesiąt osiem osób.

Policja nie wie, jak to się mogło stać.

widniało następnego dnia w „Głosie Wielkopolskim”.

Pociąg podjechał na peron. Podróżni zajęli miejsca, po czym nagle postali zmasakrowani. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Osiemdziesiąt osiem osób straciło życie po tym, jak ktoś wtargnął do pociągu i ich bestialsko zaszlachtował. Z całą pewnością było to działanie zbiorowe. Sprawcy jednak niepostrzeżenie opuścili skład, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń. Na rozczłonkowane ciała pasażerów natrafiła Straż Ochrony Kolei po tym, jak o godzinie 12:40 otrzymali informację, że pociąg, który miał wyruszyć w podróż o godzinie 12:35 nadal stoi na stacji. Zarówno maszynista, jak i kierownik składu nie odpowiadali na wezwania.

Władze miasta, do tej pory, nie zabrały głosu w sprawie tej potwornej masakry (...)

Do kolejnej tragedii doszło dzień później w maltańskim ogrodzie zoologicznym. Tym razem życie straciły czterdzieści cztery osoby, w tym trzydzieścioro dzieci.

W małym zoo znajdowały się czterdzieści cztery osoby, które nieznanymi osobnikami dosłownie zasztylowali.

„Echo Miasta” następnego dnia rano.

Dyrekcja ogrodu zoologicznego i policja jest wstrząśnięta. Wśród ofiar masakry były dzieci. Według wstępnych danych, życie straciło trzydzieścioro dzieci w wieku od pięciu do jedenastu lat. Najdziwniejsze i zarazem najbardziej zastanawiające jest to, że nie było świadków jatki, mimo że w czasie jej trwania w ogrodzie zoologicznym przebywało blisko tysiąc osób. Wiele z nich zostało już przesłuchanych. Śledztwo trwa, ale w obliczu tego, co się stało, policja wydaje się kompletnie bezradna (...)

Dwadzieścia cztery osoby zginęły w wypadku, do jakiego doszło na ulicy Grunwaldzkiej. Jadący z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę autokar nagle zjechał na chodnik, a następnie uderzył w ścianę bloku mieszkalnego, wybijając w nim okazałą dziurę. Pasażerowie, którzy przeżyli wypadek, nie zdołali zapamiętać żadnego szczegółu. Nawet ci, którzy odnieśli najmniejsze obrażenia nie pamiętali, co spowodowało wypadek. Nie potrafili też przypomnieć sobie momentu, w którym wsiedli do pojazdu. Prasa i telewizja podkreślały, że „(...) to jakaś czarna seria

koszmarnych wydarzeń, których wyjaśnienie zajmie zapewne mnóstwo czasu, o ile w ogóle zostaną wyjaśnione”.

Kolejnych dwadzieścia siedem osób zostało brutalnie zamordowanych w kościele Matki Boskiej Bolesnej przy ulicy Głogowskiej. Ktoś wtargnął do kościoła i zasztyletował tych ludzi, po czym otworzył ich klatki piersiowe i powyrywał serca. Przeżył jedynie proboszcz, który w momencie gdy szlachtowano wiernych, przebywał w zakrystii. Podczas przesłuchania nie potrafił składnie skłecić ani zdania. Nieustannie powtarzał tylko: – Nie widziałem nic... Nie słyszałem... Pięć minut... Byłem tam pięć minut... Wyszedłem i... Ktoś to zrobił w pięć minut... Boże Wszechmogący...

„Głos Wielkopolski” pisał również o trzydziestu dziewięciu mieszkańcach kamienicy przy Nowowiejskiego, którzy dzień wcześniej zostali poszatkwani w swoich mieszkaniach. Czternaście rodzin. Dwudziestu siedmiu dorosłych. Dwanaścioro dzieci. Oszczędzono jedynie zwierzęta – czternastoletniego jamnika szorstkowłosego, dwa koty i papuzkę falistą.

„Nie jesteśmy w stanie w tej chwili powiedzieć, kto dopuścił się tej masakry ani tego czy była to jedna czy więcej osób”, oznajmił rzecznik prasowy komendanta wojewódzkiego policji. „Mówię masakry, bo inaczej tego nazwać nie sposób. Jakie były motywy, naprawdę trudno powiedzieć. Trwa śledztwo. Nie spoczniemy, dopóki sprawcy tych potwornych czynów nie znajdą się za kratkami”.

Prasa nie omieszkała również wspomnieć o makabrycznym wydarzeniu, do którego doszło nieopodal budynku liceum im. Generałowej Zamoyskiej.

(...) siedemnastoletni uczeń zdarł skórę ze swego kolegi, po czym nałożył ją na siebie niczym płaszcz (...) zginął policjant, który próbował interweniować. Nastolatek wyrwał serce z jego klatki piersiowej (...) sprawca został zastrzelony (...)

* * *

Galiński odłożył najnowsze wydanie „Głosu Wielkopolskiego”. Pisano o kolejnej tragedii. Nie chciał tego czytać. Trzy dni wcześniej zamordowano kolejnego dzieciaka, tym razem nie z jego klasy, ale jakie to miało znaczenie? Piotra Pocztarka kojarzył jedynie z redakcji szkolnej gazetki, dla której chłopak pisywał opowiadania. Nie był zbyt rozmowny i podobno nie należał do ulubieńców nauczycieli, jednak na pewno nie zasłużył na to, co go spotkało. Został oblany benzyną i podpalony w stołówce na oczach kilkunastu innych uczniów, którzy podczas przesłuchania jak jeden mąż twierdzili, że nie pamiętają nic z tego, co się wydarzyło.

I jeszcze Hubert Jasiński, od którego prawdopodobnie wszystko się zaczęło... Tego samego dnia, w którym zginął Pocztarek, wróciwszy po szkole do domu, dosłownie wypatroszył swoich rodziców. Kiedy sąsiedzi zadzwonili na policję po tym, jak usłyszeli wrzaski z mieszkania obok, było za późno. Na miejscu mundurowi zastali rzeźnię. Fragmenty ciał wały się po całym mieszkaniu. Podłoga wyglądała tak, jakby ktoś wyłożył ją rozgniecionymi pomidorami. Chłopak podobno użył największego noża, jaki miała w kuchni jego matka.

Galiński oparł się i pociągnął nosem. Powiedzieć, że był otumaniony to mało. Był kompletnie rozbity. Najpierw „coś” wstąpiło w Jasińskiego. Potem zamordowano uczniów z jego klasy. Następnie życie straciły kolejne dzieciaki. Jasiński poszatkował swoich rodziców. I jeszcze ta piramida.

Wyrosła z ziemi jak jakiś megagrzyb po megaulewie. W ostatnim tygodniu zginęło w Poznaniu kilkaset ludzi. Wybebeszeni. Zaszlachtowani. Wyrwane serca...

Serce wyrwano również Andrzejowi Moskalowi, Panie, świeć nad jego duszą. Jaki związek miały tragedie w liceum z, dajmy na to, masakrą w maltańskim zoo? Czy policja była przekonana, że zabójcy Romskiego i Lisiaka odpowiadają również za krwawą jatkę na ulicy Nowowiejskiego? Nikt z niebieskich nie kontaktował się z nim od czasu wydarzeń w celi Krzyżanowskiego. A przecież miał być przesłuchiwany. Co się w ogóle działo z Jasińskim i Krzyżanowskim? Co z innymi jego uczniami? Bał się o tym myśleć.

O piramidzie media przestały już trąbić, pochłonięte serią najkrwawszych w historii miasta mordów. Budowla jednak nadal tam stała. Z jakiegoś powodu wyrosła z ziemi. Nic nie dzieje się bez przyczyny. To było anormalne, totalnie niezrozumiałe, wręcz szalone, ale realne. Ogromna piramida stała na Morasku i to był fakt nie do podważenia. Galiński postanowił, że pojedzie tam i obejrzy ją raz jeszcze. Zastanawiał się również, dlaczego nie zadzwonił doktor Płótniak. Obiecał, że się odezwie najpóźniej na drugi dzień po spotkaniu pod piramidą. Może nie żył? Może jakiś żądny krwi świr dopadł i jego?

Archeolog obiecał, że zadzwoni. To gryzło Galińskiego. Może po prostu chciał się go jak najszybciej pozbyć i uznał, że to jedyny sposób, pomyślał. Cóż, to całkiem prawdopodobne. Cholera, co robić?

Sięgnął do stolika po filiżankę zimnej już kawy i upił kilka łyčzków. W salonie było parno. Koszula lepiała mu się do pleców. Nie lubił tego, ale mimo to nie poszedł się przebrać. Była dziewiąta trzydzieści. Kaśka dopiero się obudziła. Kilka dni temu oznajmiła mu, że chce spędzić z nim więcej czasu. Spakowała się i wprowadziła do niego. Ot tak, po prostu. Był

z tego powodu bardzo szczęśliwy i szczerze wierzył, że im się uda. Doceniał to, co zrobiła. Wiedział, jak zżyta jest matką. Stara jędza musiała zaliczyć ciężki szok. Podobno się pokłócili.

Teraz słyszał, jak Kaśka myje zęby w łazience na piętrze. Ona też była wstrząśnięta makabrycznymi wydarzeniami ostatniego tygodnia. Nie mówiła tego wprost, ale chyba zaczynała rozumieć, że to, co działo się z uczniami w szkole może mieć związek ze...

W dalszym ciągu nie potrafiła tego z siebie wykrztusić.

...światem paranormalnym.

Ale tu nie chodziło o duchy, zjawy czy demony. Galiński wiedział, nie miał pojęcia skąd, że idzie o coś znacznie bardziej tajemniczego, bardziej wyniosłego, misternego i o wiele bardziej przerażającego. Przez ostatni tydzień głosy, które słyszał wcześniej, nie uaktywniły się. Czasami siadał sam w kuchni albo szedł na spacer i starał się nawiązać „kontakt” – bez skutku. Głosy milczały jak zakłęte.

Odstawił filiżankę na stół, gdzie pośród gazet i czasopism leżała koperta, którą ponad tydzień temu wręczył mu Moskal. Sięgnął po nią. W środku znajdowało się kilka stron tekstu, wyrwanych z pamiętnika Adriana Romskiego. Podobnie jak artykuły w prasie na temat masakr z ostatnich dni, analizował list już dziesiątki razy. Słowa jego nieżyjącego ucznia powodowały w nim zimne dreszcze za każdym razem, kiedy je odczytywał.

Tekst był napisany strasznie niechlujnie, jakby w pośpiechu, nie zawierał praktycznie żadnych znaków interpunkcyjnych.

Dzisiaj znowu działo się coś złego w szkole jestem pewien że nie tylko ja to czuję że inni również mają wrażenie jakby coś opętało ludzi tutaj... nie wiem co się dzieje ale jestem bardzo przerażony zaczynam bać się chodzić do szkoły i chyba niedługo przestanę niech się dzieje co chce nie zamierzam

skończyć jak Jasiński. Boże jak, on wyglądał jak z jakiegoś horroru jakby coś w niego wstąpiło a oczy zmieniły kolor... widziałem kiedyś film o strzygach gdzie pokazywali gęby tych potworów Jasiński tak właśnie wyglądał jak jakaś strzyga albo coś. Najgorsze że inni też widzieli zmianę jaka w nim zaszła ale potem nikt o tym nie chciał gadać też się bali na pewno też się bali jak ja... pan Galiński też dostrzegł że coś jest nie w porządku, widział jak Jasiński się zmienia był wstrząśnięty i nie potrafił wykrztusić słowa jakby dostał kijem bejsbolowym prosto brzuch... albo w łeb Galiński jest w porządku zawsze go lubiłem i mam nadzieję że kiedyś porozmawiamy na temat tego co stało się Jasińskiemu.

Wiem że on jest w stanie mnie zrozumieć i to jak bardzo się boję nie mam pojęcia ile jeszcze mi zostało bo mój kolega powiedział mi że niebawem stanie się coś bardzo bardzo złego i że wielu uczniów zginie nie wiem co miał na myśli ale podkreślił że to spotka także mnie... powiedział że jak komuś powiem to to stanie się szybciej ale ja nie mam zamiaru nie mówić muszę pogadać z panem Galińskim... jutro albo pojutrze poproszę go o to aby się ze mną spotkał... nie mówiłem nic rodzicom...

Na drugiej kartce widniała kolejna notka, prawdopodobnie z następnego dnia. Co ją odróżniało od poprzedniej, to, że została napisana z większą starannością.

Nie rozmawiałem z panem Galińskim, ponieważ był bardzo zajęty. Dzisiaj znowu to czułem, jakby coś tam było w tej szkole i tylko czekało na odpowiedni moment, aby zaatakować. Coś wisi w powietrzu i nie sposób tego określić.

Rozmawiałem z Hubertem. Nie pamięta nic z tego, co się wydarzyło. Boi się jak ja, że coś się stanie, powiedział mi, że odniósł wrażenie, że „coś” w nim jest. Tak właśnie powiedział. Jest wystraszony i chyba jutro nie przyjdzie do szkoły. Zapytałem go, czy naprawdę nic nie pamięta. Rozpłakał się jak, dzieciak, Nie mówiłem mu o tym, że wtedy na lekcji się zmienił, że jego oczy zrobiły się czerwone jak u strzygi. Nie chciałem go dodatkowo denerwować.

Boję się.

Jutro muszę porozmawiać z panem Galińskim.

On musi coś wiedzieć. Podejrzewać chociaż, że dzieje się coś niedobrego z tymi wszystkimi ludźmi. Widział ich. Zapytam go...

Galiński odłożył kartkę.

Nie zdążyłeś, pomyślał.

Romskiego zamordowano dzień po tym, jak Jasiński doznał „metamorfozy”, a więc ostatni wpis pojawił się zapewne tuż przed zajęciami, może zaledwie kilka chwil przed śmiercią. Było tyle niewiadomych. Tyle nielogiczności.

Oprócz fragmentu pamiętnika Romskiego, w kopercie znajdowała się również kartka od jego siostry – Karoliny – która prosiła Galińskiego o spotkanie. Zadzwoił do niej i umówili się. Była załamana i zrozpaczona. Poszli do kawiarni w centrum miasta. Dziewczyna nawet nie tknęła herbaty i ciasteczek, które zamówił nauczyciel. W ogóle niewiele mówiła. Zapytała tylko, co Galiński zamierza zrobić. Odparł, że nie wie; że nie zastanawiał się nad tym. I to była prawda. Nie miał pojęcia, jak sobie z tym wszystkim poradzić. W pewnym momencie Romska zaczęła pytać o to, co tak naprawdę wydarzyło się na tamtej lekcji. Galiński chciał jej powiedzieć. Nie zrobił tego. Miał dziurę w pamięci. Kojarzył coś, ale nie potrafił

przypomnieć sobie szczegółów. Jasiński. Oczy. Zmiana. Słowa wypowiedane w dziwacznym języku. To były tylko hasła. Nie umiał połączyć ich w całość, odtworzyć tamtych chwil, kiedy przepływał Huberta Jasińskiego.

Karolina Romska opuściła kawiarnię zawiedziona i chyba jeszcze bardziej zdruzgotana, o ile to było możliwe. Smętnie spoglądał, jak wychodzi na ulicę i biegnie na tramwaj. Wsiadła do piątki i odjechała. Przez kolejnych dziesięć minut usiłował poskładać do kupy myśli, bezskutecznie. Napił się kawy – była obrzydliwa – a potem wrócił do domu.

ROZDZIAŁ 10

CHAOS

Kaśka zeszła do salonu, tymczasem Galiński oświadczył, że wychodzi.

– Dokąd? – zdziwiła się. Miała mokre włosy i upačkane usta pastą do zębów. Sine plamy pod oczami świadczyły o tym, że nie najlepiej spała.

– Chcę jeszcze raz zobaczyć piramidę.

– Po co?

– Nie wiem. Po prostu muszę ją dokładnie obejrzeć.

– Jechać z tobą?

– Nie – zaprotestował. – Zostań w domu. Wrócę za godzinę, nie później.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami, rozczarowana jego postawą.

Pocałował ją w policzek i wyszedł. Wsiadając do samochodu, zadzwonił telefon. Kaczmarek. Odkąd po śmierci Andrzeja Moskala przedwcześnie zakończono rok szkolny, dzwonił codziennie i nieustannie zadawał to samo pytanie: – Kontaktował się z tobą ten archeolog?

– Nie. Dam ci znać, jak zadzwoni. Wierz mi, dam ci znać. Nie musisz stale wydzwaniać.

– Staram się tego nie robić, ale nie bardzo mi wychodzi.

– Zauważyłem.

– Doszło do kolejnego wypadku. Słyszałeś?

– Gubię się już w tych wszystkich wypadkach.

Galiński zapalił silnik i wycofał Omegę z podjazdu. Zaczął siąpić deszcz.

– Przed godziną rozbił się na Ławicy Boeing. Lądował i nagle tuż przed pasem roztrzaskał się w drobny mak. Na pokładzie było ponad sto osób. Podobno do Polski mają przyjechać specjaliści z Ameryki – kontynuował Kaczmarek.

– Jacy znowu specjaliści?

Kaczmarek chrząknął.

– FBI, chyba. Już cały świat wie o tym, co się u nas dzieje.

– Oglądasz za dużo telewizji.

– Masz rację. Jestem totalnie rozpieprzony.

– Napij się czegoś. Pogadamy później. – Rozłączył się.

Katastrofa samolotu? Pośpiesznie włączył radio. Rzeczywiście. Trąbili o tym na każdej stacji.

– Tuż przed ósmą rano lądujący na poznańskim lotnisku Ławica Boeing 737 irlandzkich linii Ryanair rozbił się na pasie startowym. Samolot leciał z Marsylii. Na pokładzie znajdowało się sto szesnaście osób plus ośmiu członków załogi. Na razie nie potwierdzono jeszcze informacji, czy ktoś przeżył katastrofę ani jakiej narodowości byli pasażerowie. Według wstępnych informacji większość pasażerów to Polacy. Wiadomo, że warunki pogodowe były idealnie. Widoczność znakomita, wiatr słaby. W tej chwili na miejscu katastrofy kilkadziesiąt jednostek straży pożarnej zмага się z pożarem rozbitej maszyny. Zdaniem świadka, który obserwował lądujący samolot z tarasu widokowego na terminalu, Boeing niemal dotknął już kołami podłoża, kiedy nagle przechylił się i uderzył skrzydłem w ziemię. Chwilę potem spadł na pas, złamał się na trzy części i natychmiast stanął w płomieniach...

– Boże – stęknął Galiński. Ilu ludzi jeszcze zginie? W imię czego? Kto stoi za tymi wszystkimi tragediami?

Przyśpieszył. Na dobre się rozpadało. Krople deszczu wściekle były w przednią szybę. Ledwie widział drogę przed sobą. Zwolnił. Nie zabiję się tutaj, pomyślał. Przejechał przez dwa skrzyżowania, na trzecim zatrzymał się na światłach. Zaczął żałować, że ruszył się z domu. Powinien był jeszcze raz porozmawiać z Kaśką. Tylko po co? W niczym by mu nie pomogła, nie doradziłyby, co ma robić. Bóg jeden raczył wiedzieć, co. Albo i nawet on nie miał zielonego pojęcia.

Sygnalizacja świetlna rozbłysła na zielono. Furgonetka przed nim ciągle jednak stała. Zatrąbił i w końcu ruszyła wolno. Jechał za nią przez dwieście – trzysta metrów, a potem dodał gazu i wyprzedził.

Zaparkował na jednokierunkowej wąskiej uliczce, obok wielkiego kubła na śmieci, z którego wysypywał się styropian. Wyłączył silnik i jeszcze przez dobre pięć minut siedział w samochodzie. Miał nadzieję, że przestanie padać. Nie przestało. Wysiadł z wozu i truchtem pokonał długość uliczki. Było mu zimno, deszcz zacinał w twarz, wbijał się do oczu. Do diabła z tym wszystkim.

Teren, na którym stała piramida, został ogrodzony. Dookoła niej krążyli uzbrojeni strażnicy. Jeden z nich zauważył Galińskiego, ale nie wykonał żadnego znaku świadczącego o tym, że nie wolno podchodzić bliżej.

Czubek budowli ginął w deszczu. Teraz zdawała się być jeszcze większa niż wtedy, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Wielka, tajemnicza, cicha konstrukcja, której istnienie wykraczało poza logikę. Gdyby pokazać ją przypadkowemu turyście, w życiu nie pomyślałby, że wyrosła z ziemi niczym drzewo. Uznałby ją za jedną z atrakcji miasta. Pewno nawet nie okazałby zbytniego zaskoczenia. W końcu w Egipcie też są piramidy. I w Meksyku. To czemu by nie w Poznaniu?

Oprócz strażników Galiński zaobserwował kilku reporterów telewizyjnych. Dostrzegł na mikrofonach logo CNN i BBC. Swoich

reporterów miała także stacje rosyjska, niemiecka i włoska. Poza tym, żadnych gapiów.

Moknąc coraz bardziej, ruszył w stronę zachodniej ściany budowli – tam, gdzie wcześniej dostrzegł płaskorzeźby. Teraz, zalewane przez deszcz, były kompletnie niewidoczne. Nie potrafił nawet rozpoznać kształtów. Grunt pod jego stopami był tak miękki, że grzązał w nim po kostki. Breja zaczęła wlewać mu się do butów. Po co tu jestem? Czego tu szukam? Skarbów?

Mumii? Grobowców?

Zatrzymał się. Czy to możliwe? Czy przyczyna tego wszystkiego, co ostatnio się działo, znajdowała się we wnętrzu tej wielkiej piramidy? W tych starych, grubych murach? Jeszcze inna, bardziej natarczywa, myśl zelektryzowała Galińskiego. A jeśli ta przyczyna nie wtargnęła do środka przez przypadek? Może kierowała się jakimś własnym rozumem? Próbował odrzucić taką możliwość. Byłoby to zbyt fantastyczne, za bardzo przypominałoby science fiction. Chyba że w końcu wszystko, co się do tej pory wydarzyło, było równie nieprawdopodobne, a jednak się wydarzyło. Myśl ta nie przestawała go dręczyć.

Ruszył z miejsca, stąpając cicho i czujnie, w obawie, że gwałtowniejszy ruch wyzwoli z jego wyobraźni kolejną falę strachu. Wtedy znowu rozdzwoniła się jego komórka. Jeśli to Kaczmarek, chyba urwę mu jaja... Ale to nie był wuefista, tylko doktor Maksymilian Płótniak z Wydziału Archeologii Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza.

– Proszę wybaczyć, że dopiero teraz dzwonię, ale mieliśmy urwanie głowy z tą nieszczęsną piramidą – powiedział. Coś zatrzeszczało w słuchawce. Po chwili Płótniak dodał: – Mam nadzieję, że nie ma pan mi tego za złe. Czy mógłby pan spotkać się ze mną jutro po południu?

Galiński był zaskoczony, ale poczuł nieopisaną ulgę. A jednak facet żył. Wreszcie będzie mógł porozmawiać z kimś, kto jest w temacie. Kto bada tę budowlę i kto być może go wysłucha ze zrozumieniem.

– Oczywiście – odparł. – Bardzo chętnie. Dziękuję, że pan zadzwonił. Szczerze mówiąc, zaczynałem się niepokoić.

– Nie ma chyba osoby w tym mieście, która by się nie niepokoiła. Ale do rzeczy... Chętnie wysłucham, co pan ma do powiedzenia... – Płótniak przerwał na moment, po czym dokończył – Wie pan, o pańskich doświadczeniach...

– Opowiem panu o nich. I mam szczerą nadzieję, że mi pan pomoże.

– Jeśli tylko będę potrafił.

– Jest pan jedyną osobą, do której mogę się teraz zwrócić...

– Mógłby pan podjechać do mnie do domu? Powiedzmy o siedemnastej? Albo nie, o osiemnastej, wtedy na pewno mnie pan zastanie.

– Nie ma problemu.

– Mieszkam na Lawendowej. Wie pan, gdzie to jest?

– Na osiedlu Kwiatowym, tak? – Galiński miał kiedyś znajomego, który pracował w lombardzie na Kwiatowym. Znał tę okolicę, – Zgadza się. Mały niebieski domek. Charakterystyczny. Moja żona wciąż nie może uwierzyć, że dała się namówić na taki kolor. I szczerze mówiąc, ja również.

– Będę u pana o osiemnastej.

– Zatem jesteśmy umówieni. – Rozłączył się.

– Mały niebieski domek – mruknął pod nosem, zmierzając w stronę samochodu. Czuł swego rodzaju ulgę. Chociaż tyle. Będzie musiał przemyśleć wszystko, o czym chciał powiedzieć Płótniakowi. Przede wszystkim przypomnieć sobie pewne szczegóły, o których zapomniał. Nadal miał pustkę w głowie, kiedy rozmyślał o Jasińskim. Na szczęście miał sprawdziany, na których uczniowie nabazgrali te dziwne wzory. Być

może naukowiec zdoła je odczytać. Muszą przecież coś oznaczać. Tego był pewien.

Krzyżanowski... Więzienie... Śmierć strażnika... Wyrwane serce... Kaśka opowiadała mu o tym nie dalej jak wczoraj. Udał, że wszystko pamięta, ale podkreślił, że nie chce o tym rozmawiać. Co miał jej powiedzieć? Kochanie, zapomniałem, co się tam wydarzyło? Mam luki w pamięci? Cały tydzień gdzieś mi umknął? Ale nie martw się, pamiętam jeszcze, jak się nazywam...

Na chwilę się odwrócił – monumentalna budowla nie chciała zniknąć, była realna. Wydawało się, że stoi tam od zawsze. Przemoczony do suchej nitki pobiegł w kierunku samochodu.

* * *

– Wreszcie zadzwonił! – rzucił wesoło, wchodząc do domu.

Był brudny, przemoczony i padał z nóg. Kaśki nie było w salonie, więc udał się na piętro. Chciał opowiedzieć jej o rozmowie z archeologiem oraz przebrać się. Zajrzał do sypialni – ale tam też jej nie było. W łazience także nie. Wszedł do swojego gabinetu. Pusto. Dokąd mogła pójść? Sięgnął po telefon. Dwanaście wiadomości, czterdzieści dziewięć nieodebranych połączeń. Kiedy to przyszło?

Nie czytając SMS-ów, wybrał jej numer. Odebrała natychmiast.

– Dawid?! – Jej głos drżał, była kompletnie przerażona.

– Kochanie, co się dzieje?

– Dawid, na Boga! Może ty mi powiesz, co się dzieje!?! Gdzieś ty był, możesz mi wyjaśnić?! Jestem strzępkiem nerwów, Boże... Co się stało? Dlaczego nie wróciłeś...

Przez chwilę stał w bezruchu i zastanawiał się, o czym do cholery ona mówi.

– Kochanie, uspokój się. Jak to nie wró... – Usłyszał jak się rozpląkała.

– Kochanie... Spokojnie. Powiedz mi, co się stało.

– Jak to... co... się... stało. Dawid, gdzie byłeś przez całą noc? Prawie umarłam... ze... strachu... – łkała.

Spojrzał na wiszący na ścianie zegar. Dochodziło południe.

– Byłem obejrzeć piramidę, przecież wiesz. Dlaczego powiedziałaś, że nie wró... – nagle przerwał. Co działo się po tym, jak skończył rozmawiać przez telefon z doktorem Płótniakiem? Padał deszcz... Był cały mokry... Ostatni raz spojrzał na piramidę... Ruszył biegiem do wozu... I co było dalej... Przełknął wolno ślinę.

– Jesteś w domu? – Usłyszał zapłakany głos Kaśki. Nieco się uspokoiła, ale wciąż była rozdygotana.

– Tak – wykrztusił.

– Więc z łaski swojej nie ruszaj się stamtąd. Mamy do pogadania – rozłączyła się.

Rozłączyła się.

Spojrzał na datę w kalendarzu w komórce. Coś mu nie pasowało. Stracił cały dzień. Powinien być wtorek, a była... środa. Niemożliwe.

Co się stało z czasem? Otepiały zbiegł do salonu i włączył telewizor. Stacje informacyjne podawały, że jest środa. Nie wtorek. Środa. Wyłączył sprzęt i znowu pobiegł na piętro. Odczytał kilka pierwszych SMS-ów. Były od Kaśki.

Kiedy wrócisz?

Odpisz proszę. Wszystko u Ciebie w porządku? Wyprysnąłeś z domu jakby Cię лихо poniosło.

Dlaczego nie odbierasz? Zaczynam się denerwować. Oddzwon!

Wszystkie zostały wysłane we wtorek. Pierwsze trzy około południa, kolejne już po południu i wieczorem. Ostatni w środę w nocy. Brzmiał: Tracę zmysły... Gdzie jesteś?

Co robił? Gdzie był?

Spojrzał na swoje brudne ciuchy. Koszula była nie dość, że mokra, to jeszcze zabłocona, jakby taplał się w jakimś bagnie. Spodnie ważyły chyba z pół tony. Tak samo buty. Zdjął je wraz ze skarpetkami. Następnie pozbył się koszuli. Cuchnęła paskudnie. Aż go zemdliło. Taki smród można poczuć w ubojni, gdy mięso zaczyna się psuć. Odór nie do zniesienia.

Rzucił rzeczy w kąt i wszedł do łazienki. Spojrzał w lustro. Jego twarz była brudna od ziemi. Grudki dosłownie odlepiały się z jego czoła. Włosy miał posklejane, cały cuchnął.

Odkręcił wodę w kabynie prysznicowej i jeszcze przez chwilę przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze. Gdyby ten widok stanął mu przed oczami dwa tygodnie temu, nie poznałby się. Wiedział, że to absurdalne, absolutnie niemożliwe, ale był nieomal przekonany, że coś stało się z rysami jego twarzy. Zaszła jakaś zmiana. Nieznaczna, jednak widoczna. Brwi. Były usytuowane nieco wyżej niż zwykle. I nos stał się nieco szerszy. Z kośćmi policzkowymi też było coś nie w porządku. Wyostrzyły się? Jestem kurewsko przemęczony, pomyślał i wszedł pod prysznic.

* * *

– Klapy max – zakomenderował kapitan Leland Mitchell, przesuwając do oporu uruchamiającą hamulce aerodynamiczne dźwignię. Po chwili zmniejszył ciąg niemal do minimum. Drugi pilot – Graham Mayer –

uwolnił koła, a następnie połączył się przez radio się z wieżą na Ławicy. Potwierdził pozycję, zapiął pasy i głośno westchnął.

– Piękny dzień – skomentował bezchmurne błękitne niebo.

– To prawda – przytaknął Mitchell. – Kiedy wylądujemy, muszę się napić piwa. Konam z pragnienia.

– Dobry pomysł. Chętnie się przyłączę.

Po dwuipółgodzinnym locie z Dublina do Marsylii zaserwowano im dodatkowy lot do Poznania, gdyż piloci, którzy mieli ich zmienić, utknęli w korkach. Zdarza się. Rzadko, ale jednak.

Teraz obaj byli już zmęczeni. W ramach rekompensaty firma zarezerwowała im pokoje w Sheratonie. Kolejny lot mieli mieć dopiero następnego dnia po południu.

– Twoja żona nie była wściekła, jak się dowiedziała, że lecimy do Poznania? – zapytał drugi pilot.

– I to jak! – odparł Mitchell. – Ale co zrobić. I tak kocham tę robotę.

– Co prawda, to prawda.

– A co, twoja powiedziała, że masz nie wracać do domu, jak polecisz? – Obaj wybuchnęli śmiechem.

Komputer oznajmił, że są na wysokości tysiąca stóp.

– Tysiąc – mruknął Mayer, spoglądając przed siebie. Pas lotniska był doskonale widoczny ze znacznie większej odległości. Uwielbiał latać w takich warunkach. Miał na koncie wylatanych blisko dziesięć tysięcy godzin. W powietrzu czuł się jak ryba w wodzie, ale za każdym razem, gdy zmuszony był lądować – czy jako pierwszy oficer, czy jako kapitan – czuł napięcie. Każdy pilot – niezależnie od wieku i doświadczenia – sra w gacie, kiedy pogoda nie dopisuje. On jednak miał za sobą pewne doświadczenie, na wspomnienie którego strach kumulował się w nim, wywołując dodatkowe obawy. Trzy lata temu, podczas lądowania w Bolonii, silny

podmuch wiatru sprawił, że jeszcze chwila, a rozbiłby maszynę. Najgorsze są nieoczekiwane ataki żywiołu. Kiedy wieje, a ty zadajesz sobie sprawę, jakie panują warunki, jesteś przygotowany na trudne lądowanie. Ale kiedy przez cały czas trwania rejsu lot przebiega spokojnie i nagle zaczyna się burza, wówczas czujesz się zaskoczony i oszołomiony. Tak właśnie było tamtego dnia. Nic nie wskazywało na to, że pogoda się zmieni. Ale stało się. Będąc kilkaset stóp nad ziemią, usłyszał huk. Piorun uderzył w pas lotniska. Zerwał się porywisty wiatr, który zaczął trząść samolotem. Na kilka chwil przed posadzeniem maszyny, wichur dosłownie zepchnął ją z pasa. Wisielei jeszcze w powietrzu, ale przy maksymalnie wypuszczonych klapach i zminimalizowanym ciągu liczą się ułamki sekund.

Szybka reakcja to podstawa. Wtedy miał więcej szczęścia niż rozumu. Udało mu się zwiększyć ciąg i unieść dziób metalowego ptaka – ale kto wie, jak by zareagował, gdyby sytuacja się powtórzyła?

– Pięćset – zaczął komputer. Pas był coraz bliżej. W oddali, na płycie lotniska, dostrzegli dwa inne samoloty linii, dla których pracowali.

– Czteryście...

Usłyszeli pukanie do drzwi. Mayer zmarszczył brwi. Trzymający stery Mitchell wymamrotał: – Słyszalesz?

– Trzysta...

Znów pukanie do drzwi.

– Kurwa, co jest? – zaklął kapitan. Obaj byli mocno zdziwieni i zdezorientowani. Nigdy nie zdarzyło im się coś podobnego. Wszyscy powinni siedzieć na swoich miejscach, przypięci pasami. Kto, u licha, pukał do drzwi kokpitu na kilka sekund przed przyziemieniem?

– Może stewardessy mają jakiś problem – rzucił Mayer, choć sam w to nie wierzył.

– Daj spokój, to bzdura.

– Dwieście – obwieścił system.

Znajdowali się już prawie nad początkiem pasa startowego, kiedy pukanie nagle ustało. Wtedy też Mayer dostrzegł kątem oka jakiś ruch. To było jak złudzenie optyczne i początkowo nie zareagował. Kiedy jednak się powtórzyło, obrócił głowę. Wrzasnął, podskakując na fotelu jak rażony prądem. Nie mógł to być człowiek, ponieważ wykluczone było, aby ktokolwiek dostał się do kokpitu nie wyłamawszy przedtem drzwi. Poza tym... Postać była jasna, niemal biała i unosiła się kilka centymetrów nad podłogą... Migotała jak naelektryzowana. Mayer pomyślał, że ujrzał ducha. Cóż bowiem innego to mogło być? Zjawa zmierzała ku pilotom, dosłownie płynęła w powietrzu. Nie miała twarzy, choć zarys głowy był dość wyraźny. Ponad jej głową natomiast rozpościerało się coś na kształt pióropusza. Połyskiwało czerwienią i czernią. Pierwszemu oficerowi słowa utknęły w gardle.

– Sto – oznajmił komputer. Byli już nad pasem, za kilkanaście sekund miało dojść do przyziemienia.

Wtedy ów kształt dostrzegł kapitan Mitchell. Prawdopodobnie żaden inny pilot trzymający stery nie zareagowałby na jego miejscu inaczej. Pilot impulsywnie szarpnął za ster, po czym na moment go puścił. Nie trwało to sekundy, jednak wystarczyło, by maszyna przechyliła się na bok.

– Pięćdziesiąt... czterdzieści... trzydzieści... – świergotał system. Prawe skrzydło znalazło się niebezpiecznie blisko ziemi.

Mitchell nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Na szkoleniu nie uczyli go jak postępować w przypadku zetknięcia się ze zjawiskiem paranormalnym na pokładzie. Pociągnął za ster, usiłując poderwać dziób do góry. Prędkość samolotu była jednak zbyt mała, a czasu na zwiększenie ciągu nie było wcale. Kapitan podjął pierwszą i ostatnią próbę wyprostowania przechylnego pod kątem czterdziestu pięciu stopni Boeinga.

Bezskutecznie. Maszyna uderzyła skrzydłem w ziemię, które wygięło się. Zaczęły się sypać iskry. Pojawił się dym.

Piloci usłyszeli sygnał alarmowy, a potem poczuli silny wstrząs, który omal nie wyrwał ich z fotelami. Dostrzegli fragment pasa startowego za szybą, ale tylko na chwilę. Sekundę później samolot eksplodował.

* * *

Kaśka wróciła do domu i wybuchła jak wulkan. Wykrzyczała Galińskiemu, co o nim myśli. Rozplakała się, a następnie oznajmiła, że ma go dość.

– Nie wytrzymam dłużej, rozumiesz? Ostatnio traktujesz mnie jak powietrze! – wrzeszczała. – Ciągłe tylko gadasz o tej pierdolonej piramidzie i zachowujesz się skończony idiota! Co ci się stało? Co?! Co ty sobie w ogóle myślisz? Coś cię opętało? Diabeł może? Tak jak tych twoich uczniów, co? Mam serdecznie dość twojej schizy. Rzygać już mi się chce rozmowami na temat katastrof! Dzieją się! I nic na to nie poradzisz, jasne? Nie jesteś świętym zbawicielem! Nie jesteś cholernym pępkiem świata!

Była porządnie wkurzona. Pozwolił jej się wykrzyczeć. Po raz pierwszy zaczynał wątpić, że się dogadają. Wiedziała swoje i tyle. Jednak nie dopuszczała myśli, że wokół niej dzieje się coś złego, nie mającego nic wspólnego ze spokojnym, ustabilizowanym życiem, jakie do niedawna prowadzili. Wszystko się zmieniło. Nie widziała tego albo nie chciała widzieć.

– Odpowiesz mi w końcu, co robiłeś przez całą noc? – patrzyła na niego z furją.

– Chciałbym to wiedzieć – wzruszył ramionami. Prychnęła. Twarz miała mokną od łez.

– Jak to nie wiesz? Nie było cię całą noc!

– Zorientowałem się, kiedy mi powiedziałaś – odparł opanowanym głosem. – Sam jestem tym wstrząśnięty. Pamiętam tylko, że pojechałem obejrzeć piramidę. Mówiłem ci. Rozmawiałem przez telefon z Płótniakiem, a potem wróciłem do auta. I tyle. Więcej nie pamiętam. Jakby mi ktoś ukradł całą noc...

– Sądysz, że zesłałeś? Że straciłeś przytomność?

– Nie potrafiła mu uwierzyć.

– Wątpię. Gdyby tak było, pamiętałbym moment ocknięcia, prawda?

– Nie wiem, Dawid. Dla mnie to, co mówisz, brzmi gównianie. – Pokręciła głową, zrezygnowana.

– Bo to wszystko jest gówniane – szepnął. – Ale dzieje się. Zaczynam się bać. Naprawdę. Nie wiem, co robiłem w nocy. Nie wiem, dlaczego moje ubranie było brudne od ziemi i cuchnęło jakimś rozkładającym się mięsem. Boję się myśleć o tym, wiesz?

Walczyła z myślami. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Dziś spotkam się z tym archeologiem. Opowiem mu o wszystkim...

– I co to da? Co on ma do tego wszystkiego?

– Mam wrażenie, że wie więcej niż na to wygląda. Bada tę piramidę. Musi coś wiedzieć. Rozumieć więcej niż inni. Pokażę mu sprawdziany. Opowiem o tym, co się wydarzyło...

– Nawet nie pamiętasz, co się wydarzyło – weszła mu w słowo. – To też mnie przeraża. O czym byśmy nie rozmawiali, ty nic nie wiesz. Kiedy cię o coś pytam, wymigujesz się od odpowiedzi. Mówisz, że boli cię głowa, że nie masz ochoty na dyskusje. Powinieneś pójść do jakiegoś lekarza.

Zaczynam się ciebie bać. Zmieniłeś się, Dawid. Zmieniłeś się nie do poznania.

Spuścił głowę. Ostatnie słowa uświadomiły mu, że miała rację. Zmienił się. Nie tylko pod względem zachowania, ale i fizycznie. Wtedy w łazience nie wydawało mu się. Naprawdę dostrzegł w sobie zmianę. Stawał się kimś innym? Kim? Czy nadal jego wygląd będzie się zmieniał? Czy Kaśka coś dostrzegła?

– Najpierw porozmawiam z doktorem Płótniakiem – oświadczył. – A potem zgodzę się na wszystko, nawet na psychiatrę. Muszę jednak z nim pogadać. Muszę. Zadzwońię do Kaczmarka. Obiecałem mu, że pojedziemy razem.

Kaśka usiadła na sofie i podciągnęła nogi. Wtuliła twarz pomiędzy kolana.

– Pamiętasz jak się cieszyłeś, że się do ciebie wprowadziłam? Pierwszy raz w życiu postawiłam się matce. Aby mieć cię przy sobie. Aby zaplanować z tobą przyszłość. I co z tego wyszło?

Podszedł do niej. Chciał dotknąć jej włosów, przytulić, pocałować, ale coś go przed tym powstrzymało.

– Wszystko się ułoży, zobaczysz – zapewnił. – Proszę cię tylko o jedno. Abyś postarała się mnie zrozumieć.

– Zrozumieć? – prychnęła. – Mam okazywać ci zrozumienie, kiedy znikasz na całą noc?

– Mówiłem ci...

– Że nic nie pamiętasz. Jasne. Może ciupciałeś jakąś dziwkę. Może chlałeś przez całą noc. Może w tym czasie robiłeś milion innych rzeczy. Dawid, do jasnej cholery?

Nie było sensu dalej o tym rozmawiać. Oboje o tym wiedzieli.

– Straciłem wielu uczniów. Mam wrażenie, że te wszystkie wypadki, te katastrofy, do których dochodzi są ściśle powiązane z tym, co wydarzyło się w szkole. Że wywołała je ta sama osoba... osoby, Bóg raczy wiedzieć kto... albo co... – Popatrzyła na niego w skupieniu, a następnie rzekła: – Posłuchaj siebie Dawid. Nagraj się na dyktafon i posłuchaj, co mówisz.

– Nie wierzysz w ani jedno moje słowo. Nie dostrzegasz pewnych rzeczy. – Zirytował się, ale robił wszystko, aby nie dać tego po sobie poznać. Sięgnął po komórkę i odszukał numer do Kaczmarka. Kaśka wstała i poszła do kuchni. Inicjując połączenie, widział jak nalewa sobie do szklanki soku pomarańczowego i jak łapczywie pije.

– Tak, słucham? – Usłyszał po drugiej stronie łamiący się damski głos. Z miejsca domyślił się, co za moment usłyszy.

– Jolka? – odezwał się, po czym zamilkł.

Żona Kaczmarka była od niego blisko dziesięć lat starsza i teraz dobiegała pięćdziesiątki. Pamiętał, że kiedy zobaczył ją po raz pierwszy pomyślał, że to starsza siostra wuefisty. Pasowali do siebie pod względem urody. Ten sam kolor oczu i włosów, te same proste nosy i wyraźnie zarysowane kości szczęki. Jola pracowała w wydawnictwie jako korektorka. Miała niesamowity dar do wyłapywania najdrobniejszych błędów w tekstach nawet najbardziej doświadczonych pisarzy.

– On nie żyje – zdołała wykrztusić. – Ktoś mu odebrał życie, Dawid. Zamordował.

ROZDZIAŁ 11

PRZEPOWIEDNIA

Osiedle Kwiatowe bardzo się zmieniło od czasu, kiedy bywał tu regularnie, odwiedzając swojego kumpla w lombardzie. Powstały nowe ulice, a te, które dawniej pokrywał żwir lub piach, teraz były równiutko pokryte asfaltem. Namnożyło się również domów, ogrodów, placów zabaw dla dzieci i małych sklepów spożywczych.

Zaparkował przy bramie wjazdowej jedynej w okolicy niebieskiego domu. Budynek był niewielki, jednopiętrowy, o płaskim dachu, na którym w świetle zachodzącego słońca połyskiwała antena satelitarna.

Płótniak był bardzo zdziwiony, żeby nie rzec – rozczarowany, kiedy Galiński zadzwonił do niego dzień później. Biolog nie tłumaczył się dlaczego, nie chciał tego robić przez telefon. Bo niby co miał powiedzieć? „Proszę wybaczyć, ale urwał mi się film...”. Na szczęście archeolog nie drążył tematu.

Galiński wysiadł i podszedł do bramy. Wykonana z kutego żelaza, solidna rzecz. Niemal natychmiast usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi. Z domu wyszedł doktor Płótniak. Miał na sobie znoszone czarne sztruksy i niebieską koszulę. Na widok nauczyciela ukłonił się.

– Świetnie, że pan już jest – oznajmił. – Zapraszam.

Podali sobie ręce na powitanie. Galiński bez słowa wszedł na werandę, a następnie do maleńkiego korytarzyka, prowadzącego do salonu.

Dom pachniał stęchlizną, starym drewnem i tanim odświeżaczem powietrza. Wewnątrz był taki bałagan, że Galiński zaczął się zastanawiać kto i czy w ogóle robił tu kiedykolwiek porządki. Salon nie był duży, miał może sześć na cztery metry i nie wyglądał jak typowy pokój dzienny. Przy ścianach stały regały z zakurzonymi książkami, różnymi bibelotami, starymi zabrudzonymi czaszkami zwierząt i fotografiami jakichś szkieletów, ruin kościołów i innych budowli, których nauczyciel nie potrafił rozpoznać. Tylko na jednym zdjęciu widniał doktor Płótniak, i to z żoną. Była to mocno sfatygowana ślubna fotografia. Pokrywała ją jednak gruba warstwa kurzu i Galiński dopiero po dłuższym przypatrywaniu się rozpoznał młodą parę.

Przy oknie stał drewniany stół, na którym walały się stosy papierów, książki, notesy, przybory do pisania i wielki niebieski segregator – tak zniszczony, iż można było odnieść wrażenie, że pamięta czasy antyczne. Nieliczne miejsca na ścianach, które nie były przysłonięte regałami, przeznaczono na obrazy. Na jednym widniała młoda kobieta z zamkniętymi oczami, trzymająca w dłoni dłuto; na innym dwóch mężczyzn z łopatami, którzy wykopywali coś z ziemi. Jedynym obrazem – a jednocześnie elementem wyposażenia domu Płótniaków, która nie miała związku z archeologią – była akwarela przedstawiająca bukiet fiołków. Tak nudna i beznadziejna, że Galiński ostentacyjnie odwrócił od niej wzrok. Pierwsze, o czym pomyślał, to że ten dom jest ostatnim miejscem na kuli ziemskiej, w którym chciałby spędzić noc.

Żona archeologa okazała się niezwykle skrytą, nieśmiałą kobietą po pięćdziesiątce. Jedną z tych pań, które cichutko, bez najdrobniejszego szmeru robią herbatę, podają ciasteczka i znikają na piętrze, aby oddać się szydełkowaniu.

– Gosia, zrób coś do picia panu Dawidowi, dobrze? – poprosił doktor Płótniak. Kobieta natychmiast zniknęła w kuchni.

– Kawa, herbata, sok? – zagadnął archeolog.

– Herbata będzie w porządku, dziękuję.

– Gosia, zrób dwie herbaty! – krzyknął naukowiec, po czym zwrócił się do nauczyciela: – Proszę wybaczyć mojej żonie małomówność. Nie przepada za gośćmi. Samotniczka, wie pan.

Galiński chciał zapytać, gdzie może usiąść, ale bał się, że zostanie mu wskazane jedno z krzeseł przy stole. Wyglądały jakby miały się zaraz rozpaść. Ostatecznie spoczął na niewielkiej kanapie obitej skajem, który zdążył już popękać.

Doktor Płótniak zniknął na moment w kuchni. Wrócił po chwili i zaproponował Galińskiemu papierosa.

– Dziękuję, nie palę.

– Całkiem mądrze. Ja też nie paliłem. Ale zacząłem, dwa lata temu. – Zapalił i zaciągnął się dymem. – Nie będzie panu przeszkadzało, że trochę odświeżę powietrze?

Ponury żart, pomyślał Galiński i odparł: – Nie, proszę się nie krępować.

Obaj byli podenerwowani i zdawało się, że nie wiedzą od czego zacząć. Temat był kłopotliwy. Delikatny. Wydarzyło się tyle dziwnych rzeczy, że należało ważyć słowa, aby nie popaść w absurd.

– Jak już mówiłem, cieszę się, że pan przyjechał – zaczął archeolog i chrząknął. – To, co pan mi powiedział tamtego dnia pod piramidą... Wie pan, myślałem o tym. Proszę wybaczyć, że nie chciałem pana wtedy słuchać, ale...

– Naprawdę, to nie ma znaczenia – wszedł mu w słowo Galiński. – Ważne, że teraz możemy porozmawiać. Nie powiem, abym nie był zakłopotany. Chyba również i przybity...

- Trudno się dziwić. Zginęli pańscy uczniowie.
- Dziś dowiedziałem się, że został również zamordowany mój przyjaciel: Uczył wychowania fizycznego w szkole, w której pracuję.
- Bardzo mi przykro. – doktor Płótniak spuścił wzrok.
- Mnie również. Najgorsze jest to, że stałe giną kolejne osoby. Wciąż dochodzi do katastrof, wypadków...
- Tak, wiem... Jestem tym wstrząśnięty.

Wróciła żona archeologa. Dwie filiżanki herbaty znalazły się pomiędzy papierzyskami na stoliku.

- Słodzi pan? – zapytała nad wyraz oschle.
- Nie, dziękuję – odparł Galiński. – Kobieta skinęła głową i wyszła. Przez moment panowała cisza. Przerwał ją doktor Płótniak.
- Niech mi pan opowie o tych sprawdzianach – poprosił i potężnie się zaciągnął, by po chwili wypuścić dym nosem. – Wspominał pan, że pańscy uczniowie nakreślili w tym samym czasie identyczne wzory.

Galiński sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął plik kartek. Podał je naukowcowi, a następnie sięgnął do drugiej kieszeni po niewielki notatnik, w którym zapisał sobie w punktach wszystko to, co chciał opowiedzieć Płótniakowi. Przed wyjściem poprosił Kaśkę, aby pomogła mu sporządzić plan rozmowy – sam nie potrafił sobie przypomnieć wszystkich szczegółów dotyczących tego, co się wydarzyło w szkole. Niechętnie, ale się zgodziła. Patrzyła na niego jak na idiotę, jednak nie protestowała. Opowiedziała mu o wszystkim, co wcześniej od niego usłyszała, po czym zapytała, czy tym razem wróci do domu na noc. Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc po prostu pocałował ją i wyszedł.

Podczas kiedy doktor Płótniak bacznie przypatrywał się tajemniczym symbolom na sprawdzianach, nieomal zjadając przy tym peta, Galiński zaczął mówić o tym, co przytrafiło mu się na lekcji; kiedy to Jasiński

wyrecytował w obcym języku słowa pieśni, a następnie o tym, co wydarzyło się później. Odczytując z notatnika poszczególne punkty, starał sobie przypomnieć szczegóły.

Bezskutecznie. Czytał kolejne punkty, wyjaśniając, jak odkrył w Internecie pieśń Głodującego Kojota. Wspomniął o ognistej kuli z sennego koszmaru. Opowiedział o wszystkich morderstwach, do jakich doszło w liceum. O głosach, które go prześladowały oraz o tym, że ostatnio zamilkły. Za wszelką cenę starał się nie gadać jak obłąkaniec z domu wariatów. Jednak zdawał sobie sprawę, że słabo mu to wychodzi.

Doktor Płótniak w pewnym momencie podniósł wzrok znad kartki, uważnie przysłuchując się słowom nauczyciela. Kolejny świeżo zapalony papieros zwisał mu z kącika ust, a dym unosił się wysoko, niemal aż po sam sufit.

– Zapytałem, jak ma na imię... – Galiński był zdumiony, że zdołał zapamiętać ten szczegół. – A on kazał mi spojrzeć na ścianę, na malowidła. Spojrzałem więc. Ujrzałem opierzonego węża i wtedy usłyszałem, że tak brzmi jego imię. Te głosy nie dawały mi żyć. Były natarczywe. Odzywały się, kiedy najmniej się tego spodziewałem. Jakby ktoś był we mnie. Jakby sycił się mną... – Nauczyciel przerwał na moment. Dym zaczął go gryźć w gardło. Jeszcze trochę i będzie tu można powiesić siekierę, pomyślał, po czym dodał: – I nagle zamilkły. Od ponad tygodnia ich nie słyszałem. Ale wiem, że wrócą. Jestem o tym przekonany. Czekają. Są tu... – Popukał się po głowie. – Są we mnie.

Archeolog długo się nie odzywał, a kiedy zabrał głos, sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Przyznam, że na początku wziąłem pana za żadnego sensacji reportera z jakiejś taniej gazetki, ale... – zaczął i nagle przerwał. Skończył palić papierosa i wrzucił peta do małej doniczki stojącej na jednej z półek. – To,

co pan powiedział... Nie wiem, co mam o tym sądzić. Jeszcze nie wiem. Muszę to sobie poukładać w głowie, gdyż... Wie pan, nie często człowiek spotyka się z czymś takim.

– Rozumiem.

– Te rysunki... – Spojrzał na sprawdziany. – To azteckie pismo. Bardzo skomplikowane, niezwykle trudne do odczytania.

– Potrafi pan je rozszyfrować?

– Powoli – rzucił archeolog. – Nie ciekawi pana, skąd się wzięło? Jakim cudem wyszło spod piór kilkunastolatków?

– Bardzo mnie to ciekawi. A jednocześnie boję się usłyszeć prawdę. – Nauczyciel pokręcił głową.

– Mam pewną teorię na ten temat. Najpierw chciałbym panu o czymś powiedzieć. O czymś, co będzie pan mógł połączyć ze znakami, które nakreślili pańscy uczniowie. Galiński wstrzymał na chwilę oddech. Zrobiło mu się niedobrze od smrodu nikotyny.

– Proszę mówić – poprosił.

– Tak... Muszę panu zadać jedno pytanie. Wie pan, co to jest kipu?

– Kipu? Kiedyś chyba o tym słyszałem. To jakiś rodzaj pisma?

– Owszem, to pismo, najkrócej rzecz ujmując. Pismo, którym posługiwali się Indianie prekolumbijskiej Ameryki Południowej. Jest nazywane pismem węzełkowym, a to ze względu na swoją oryginalną formę. To zbiór wykonanych z bawełny lub włosia lamy i alpaki kolorowych sznurków z supełkami. Posługiwali się nim między innymi Inkowie. Obecnie niewielu jest ludzi na świecie, którzy potrafią je odczytać.

– Szczerze mówiąc, ten temat jest mi jednak obcy. Nigdy nie słyszałem o piśmie Inków.

– Wcale się panu nie dziwię. Jeśli zaś o mnie chodzi, je podobnie jak i inne rodzaje pism, na przykład pismo azteckie, potrafię odczytać. Tutaj dochodzimy do sprawdzianów... Taaak, wiem, co zostało na nich napisane. Podobnie jak wiem, jaką wiadomość zostawiono w piramidzie na Morasku.

Galiński nie odezwał się. Chciał, aby naukowiec skonkretyzował, o co chodzi. Ten uśmiechnął się, ale nie było w tym uśmiechu ani krzty wesołości.

– Odkryliśmy w tej piramidzie kipu – oznajmił. – A jego treść jest niemal identyczna z tą tutaj aztecką. – Pomachał przed oczami nauczyciela sprawdzianami. – Ta sama wiadomość w różnych językach.

– Co oznacza?

– Za moment do tego dojdę. Najpierw opowiem panu pewną historię. Skoro nie słyszał pan zbyt wiele o kipu, to zapewne nie wie pan, że jedno kipu znaleziono w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku w zamku w Niedzicy... A może jednak coś pan słyszał na ten temat?

– Nie, niestety nie słyszałem. – Galiński ponownie pokręcił głową.

– No dobrze, a więc proszę posłuchać. Miały tam miejsce prace odkrywcze. Chciano znaleźć pewien dokument, konkretnie testament Inków. Ostatni potomek emigracyjny linii Inkasów bardzo uparł się, aby go pozyskać, ponieważ czekał na niego, jak twierdził, ogromny skarb. Rozpoczęły się roboty. Początkowo nic nie szło tak, jak powinno. Stres, nerwy i pieniądze, jakie zainwestowano w wydobywanie testamentu były spore, a szanse na jego znalezienie wątpliwe. W pewnym jednak momencie nieopodal bramy zamku, pod kamieniem, dostrzeżono fragment ciemnego przedmiotu, przypominającego kawałek zmurszałej gałęzi. Odsunięto kamień i zaczęto kopać. Przedmiot częściowo tkwił w ziemi. Okazało się, że jest to kilkunastocentymetrowa tuba o grubości około trzech centymetrów, po obu stronach spłaszczona i owinięta jakąś wstążką. Tuba

była całkiem szerniała, miejscami z rudawym nalotem. Po jej otwarciu ukazał się pęk zbutwiałych, jakby skwaśniałych rzemieni. Mówię panu, niesamowite odkrycie. A najciekawsze, że to nie był testament, ale kipu z przepowiednią.

Galiński słuchał z uwagą, usiłując odpowiedzieć sobie na pytanie, do czego ta rozmowa zmierza. Archeolog wstał i podszedł do jednego z regałów.

Znajdowały się na nim jakieś stare podkładki pod szklanki, zardzewiały zegarek i kilkanaście kolorowych klamerek. Były tam również książki. Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć pozycji w twardych oprawkach, zniszczone, o zabrudzonych grzbietach. Mężczyzna wyciągnął jedną z nich omal nie strącając z półki klamerek. Otworzył książkę gdzieś w połowie i wyjął stamtąd dwie czarno-białe fotografie.

– Proszę sobie zobaczyć, oto kipu – rzekł, podając zdjęcia nauczycielowi. – Sfotografowano je zaraz po znalezieniu.

Galiński przyjrzał się dość niewyraźnemu zawiniątku, uwiecznionemu na kiepskim papierze i lekko zamazanemu. Nie dostrzegł w nim nic nadzwyczajnego. Po prostu stary dokument, zwinięty w rulon kawałek papieru. Podniósł wzrok.

– Odczytano treść tego kipu, ale nigdy jej nie ujawniono – kontynuował naukowiec. – A konkretnie rzecz ujmując nigdy nie ujawniono prawdziwej treści tego niezwykłego dokumentu. Do tej pory panuje powszechne przekonanie, że kipu zawierało informację, gdzie znajduje się skarb. Ludzie w to wierzyli, ale prawda była zupełnie inna.

– Wie pan, jak brzmiała prawdziwa treść? – zapytał nauczyciel, oddając zdjęcia archeologowi.

– Owszem. Dokument mówił, że nastanie dzień, w którym indiańscy bogowie wraz z duchami swoich wyznawców odrodzą się i odpłacą

białemu człowiekowi pięknym za nadobne.

Zemsta, pomyślał Galiński. Sposób, w jaki naukowiec wypowiedział ostatnie zdanie sprawił, że żołądek skurczył mu się do mikroskopijnych rozmiarów. Zaszło mu w gardle. Sięgnął po herbatę i upił kilka łyków. Była okropna, malinowa i jeszcze w dodatku z jakimiś ziołami.

– Mówi się o klątwie, jaka zawisła nad testamentem Inków – kontynuował archeolog. – Każdego, kto chciał rozwikłać jego tajemnicę, dosięgała śmierć. Zginęli między innymi wopiści, którzy byli świadkami wydobywania kipu. Zginął kustosz niedzickiego zamku, który ponoć wpadł na ślad ukrytego tam skarbu. A także potencjalni spadkobiercy. I członkowie rodziny Salomonów, którzy zamierzali przyjechać z Węgier, aby prowadzić poszukiwania w zamku. Zginęli podczas podróży, pod Piotrkowem, w jednej z największych w Polsce katastrof kolejowych.

Katastrof...

Galiński z trudem trawił słowa Płótniaka. Bił się z myślami, które atakowały go ze wszystkich stron.

– Słyszałem o tym zdarzeniu – mruknął, przypominając sobie jak ojciec opowiadał mu o tragedii pod Piotrkowem Trybunalskim. Zderzyły się dwa pociągi pośpieszne, po tym jak trzy wagony jednego z nich odzepiły się i wykoleiły, zastawiając przeciwległy tor. Panowały kiepskie warunki atmosferyczne. Maszynista nadjeżdżającego z naprzeciwka pociągu nie był w stanie w porę zauważyć, co się stało. Ujrzawszy światła latarek kolejarzy, rozpoczął hamowanie. Jednak z prędkości stu pięciu kilometrów na godzinę zdołał zejść tylko do dziewięćdziesięciu. Maszyna uderzyła w oderwaną część składu stojącą na jego torze. W katastrofie tej zginęły trzydzieści cztery osoby, sześćdziesiąt siedem zostało rannych.

– Potworna tragedia – podsumował doktor Płótniak. – I bardzo kontrowersyjna. Aby dokładnie określić, co się wówczas stało, powołano

specjalną komisję, której ustalenia do dziś są kwestionowane przez naocznych świadków. Długo by można o tym mówić. Wie pan, byli tacy, którzy upierali się, że krótko po katastrofie widzieli zjawy na torach. Białe kształty unoszące się nad wrakami wagonów. Zastanawiające jest również to, że zarówno archiwa państwowe, jak i kolejowe – także policyjne – nie zawierają żadnych informacji o tej tragedii.

Galiński natychmiast pomyślał o tych wszystkich katastrofach, do jakich doszło w ostatnich tygodniach. Czy tragedia pod Piotrkowem była preludium tego, co działo się w tej chwili?

– Proszę pana – odezwał się ponownie naukowiec i również napił się herbaty. Jemu najwyraźniej smakowała, bo opróżnił niemal całą filiżankę, a potem dodał: – Kipu, o którym panu opowiadałem, pewnego dnia zniknęło. Po prostu wsiąkło. I wie pan co?

Galiński nie odezwał się. Czekał na kolejną nowinę, następną miazdzącą informację. Doczekał się.

– Znalazło się parę dni temu. W piramidzie, która wyrosła na Morasku.

Archeolog zamilkł, pozwalając swojemu rozmówcy zastanowić się nad tym, co już zostało powiedziane. Zapalił kolejnego papierosa, zaciągnął się dymem, dopił herbatę. Ani na moment nie spuszczał wzroku z Galińskiego. Nauczyciel otworzył usta. Chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego pokręcił tylko głową. Był przybity i zrezygnowany.

Doktor Płótniak wstał i podszedł do okna. Niebo pociemniało. Gdzieś w oddali zagrzmiało. Nadciągała burza.

– Panie Dawidzie, a czy słyszał pan o Quetzalcoatlu? Wie pan, co to takiego?

Nauczyciel wciągnął do płuc powietrze i wolno je wypuścił.

– Nie – odparł. – Nie sprawdziłem tych informacji, choć wiem już kto to był Netzahu...

– Głodujący Kojot.

– Właśnie. Głodujący Kojot.

– Quetzalcoatl to coś zupełnie innego – wyjaśnił archeolog. – Bóstwo. Najpotężniejsze bóstwo Indian Mezoameryki. Inaczej Opierzony Wąż, jak nazywali go Aztekowie. Albo też Kukulkan, jak zwali go Majowie. Inkowie zaś nazywali go Wirakoczą.

– Chce pan powiedzieć, że przemówiło przeze mnie bóstwo? – Galiński wyprostował nogi i zmrużył oczy. Wierzył temu człowiekowi. Wiedział, że Płótniak jest jedyną właściwą osobą, z którą mógł porozmawiać, ale potrzebował czasu na poskładanie do kupy wszystkich informacji. Nie zamierzał przerywać konwersacji, coś go jednak do tego zmuszało. Coś tkwiącego w głębi niego, jakaś siła. Nakazywało mu opuścić dom i wrócić do Kaśki. Nie potrafił się skoncentrować. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć tego na głos. Przez moment zdawało mu się, że już gdzieś słyszał to imię: Opierzony Wąż. Nie potrafił sobie jednak przypomnieć gdzie i kiedy.

– Bardzo możliwe – usłyszał.

– Ale jak to możliwe? – zapytał, czując jak coś ściska mu kości czaszki, jakby usiłowało zmiażdżyć jego głowę.

– Wątpię, aby jakiegokolwiek inne bóstwo czy też jakiegokolwiek indiański duch podał się za Quetzalcoatla. Cokolwiek pana... nie chciałbym powiedzieć opętało, ale... powiedzmy... cokolwiek przez pana przemówiło, należało do... Inaczej, nie mogło podać się za Quetzalcoatla, jeśli nim nie było. Poprzez ogromną moc, jaką posiadało to bóstwo.

– Naukowiec chrząknął. Chyba nie był z siebie zadowolony. Na co dzień był perfekcyjnym mówcą, a teraz język zaczął mu się plątać.

– Jak to inne bóstwo? – zapytał Galiński, skołowany. Wyczuł, że Płótniak jest spięty. Czy dostrzegł w nim jakąś zmianę? Zauważył, że coś

jest nie tak?

– Musi pan wiedzieć, że Quetzalcoatl był dla Azteków tym, kim dla nas jest Bóg. Wszechmogący. Wierzy pan w Boga? – Galiński przytaknął.

– Nie bardzo tylko wiem, jaki to ma związek...

– Usiłuję panu w zrozumiały sposób wyjaśnić, kim jest Quetzalcoatl. I że zaznał pan jego potęgi. Bóg ten uważany był za współtwórcę świata. Według wierzeń Indian był bogiem wiatru, nieba – co symbolizują pióra – i ziemi – czego oznaką jest wąż. A więc mamy symbole: pióra i wąż. Stąd wywodzi się imię. Quetzalcoatl znaczy Opierzony Wąż. Swego czasu naukowcy zajmujący się wierzeniami Azteków, Majów, Inków i innych ludów zastanawiali się nad podobieństwami między bóstwami tychże ludów. Nie będę panu opowiadał o tych podobieństwach, bo zajęłoby nam to zbyt wiele czasu. Powiem tak: ostatecznie przyjęło się, że mentor, bóstwo, stwórca świata i największy z bogów azteckich.

– Quetzalcoatl – nie miał nic wspólnego z największym bożyszczem Majów – Kukulkanem, ani z inkaskim guru – Wirakoczą. Dziś słyszymy legendy i opowieści o Aztekach, a co za tym idzie także o Quetzalcoatlu. Jednak kiedy pojawia się temat Inków, nikt raczej nie kojarzy azteckiego bóstwa z inkaskim Wirakoczą. Owszem, wspomina się o pewnych cechach wspólnych, ale utarło się, że Aztekowie wierzyli w innych bogów niż Inkowie czy Majowie, nadąża pan za mną?

– Staram się.

– Świetnie. Zmierzam do tego, że Quetzalcoatl to *de facto* i Kukulkan, i Wirakocza. Mało tego, Mixtekowie nazywali go Yucano. Miał wiele przydomków, takich jak Execad, Huemac, zwany był też Gwiazdą Zaranną, czyli Tlahuizcalpantecuhtli. Quetzalcoatl jest też imieniem najwyższego kapłana i władcy Tolteków, Ce Acati Topiltzin. Był to, proszę pana, wielki, największy bóg wszystkich Indian.

Doktor Płótniak rzucał kosmicznie brzmiącymi imionami jakby sam wychowywał się w jakimś meksykańskim plemieniu. Galiński słuchał uważnie. Quetzalcoatl, największe bóstwo ludów Mezoameryki, przemawiał przez niego... To mu się nie mieściło w głowie. Płótniak gadał tak, jakby był przekonany o swojej racji. Był w transie. W pewnym momencie sięgnął po kolejną książkę. Tym razem była to całkiem nowa pozycja, ładnie oprawiona i jeszcze pachnąca farbą drukarską. Nosiała tytuł *Mity i legendy*. Archeolog najpierw zajrzał do spisu treści, a następnie odszukał pożądany rozdział.

– Proszę spojrzeć – rzekł, pokazując Galińskiemu nieduże zdjęcie przedstawiające Quetzalcoatla. Fotografia była tak barwna, że trzeba było dokładnie się jej przypatrzeć, aby dostrzec postać, od stóp do głów ozdobioną kolorowymi piórami, grzechotkami, trzymającą w dłoni zielonego węża.

– Wygląda jak z jakiejś bajki – powiedział nauczyciel.

– Można tak powiedzieć. Przedstawiano go jednak również bardziej po ludzku. – Płótniak przełożył kartkę i pokazał Galińskiemu kolejne zdjęcie. Tym razem nauczyciel ujrzał wysokiego, szczupłego mężczyznę z wąsem i długimi ciemnymi włosami, całego odzianego na czarno. Wyraz twarzy Quetzalcoatla budził lęk. Usta zaciśnięte, oczy zmrużone, czoło zmarszczone. Miał wyraźne kości policzkowe i nieproporcjonalnie długi nos. W rękę trzymał głowę kobiety. Nauczyciel poczuł, jak przez jego ciało przebiegają dreszcze. Tamtego wieczoru, kiedy spojrzawszy w lustro dostrzegł w sobie zmianę, nie miał pojęcia, do czego się upodobnił. Teraz to zrozumiał. To „coś” nie może tkwić w moim umyśle. Pochodzi nie z tego świata, było bóstwem, w które wierzono setki lat temu. Nie mogę przecież stać się tym czymś...

– Zaintrygowało mnie to, co pan powiedział podczas naszego pierwszego spotkania – kontynuował naukowiec, zamykając książkę i odkładając ją na półkę. – A mianowicie, że nadchodzi Szósta era.

– To nie były moje słowa.

– Oczywiście. Słowa padły z pańskich ust, ale wypowiedział je Quetzalcoatl. „Nadchodzi Szósta era”. Tak też brzmiał tytuł treści kipu, jakie znaleźliśmy w piramidzie na Morasku wraz z zaginioną przepowiednią z niedzickiego zamku.

– Co to oznacza? Co oznacza pojęcie Szósta era?

Znów zagrzmiało. Tym razem głośniejsze. Zaczął padać deszcz, dzwoniąc o rynnę i łomocząc w okna. Doktor Płótniak wrzucił niedopałek do doniczki, po czym potarł ręce.

– Aztekowie uważali, że świat przechodzi przez katastrofy – oznajmił. – Wierzyli, że na ziemi doszło do czterech kataklizmów, które zniszczyły wszystko, co żyło. I że żyli nie w pierwszym, a piątym świecie z kolei. W Piątej erze. Era Pierwsza nosiła nazwę Wodnego Słońca, Druga Jaguarowego Słońca, gdzie panował Tezcatlipoca, zwany inaczej Dymiącym Zwierciadłem. Trzecia era była erą Deszczowego Słońca, Czwarta Wietrznego Słońca, a Piąta nazywała się Słońcem Wstrząsu. Miała zakończyć się wielkim trzęsieniem ziemi.

– A Szósta era? To ta, w której my żyjemy?

– Dobrze pan kombinuje. Treść przepowiedni mówi, że Szósta era właśnie się rozpoczęła. To era zemsty bogów i duchów Indian na białym człowieku. Kipu mówi, że powróci dawna kultura wraz ze wszystkimi pomordowanymi przez białego człowieka Indianami. Że zostaną wskrzeszeni dawni bogowie i na nowo obejmą przewodnictwo – tym razem nad całym światem. Rzekami popłynie krew. Ludzkie wnętrzości będą się poniewierać na ulicach. Dusza każdego zabitego Indianina zostanie

odkupiona. Stawką jest życie... – przerwał na moment, po czym dokończył:
– Życie nas wszystkich.

Galiński żałował, że nie było z nim Kaśki. Wszystko, co powiedział Płótniak, brzmiałoby niedorzecznie jeszcze kilka tygodni wcześniej, ale w tej chwili mogło być prawdą. Być może Kaśka przestałaby wreszcie zgrywać powściągliwą, udawać, że wszystko, co się dookoła dzieje, to rzecz przypadku. Był wstrząśnięty, przerażony i zagubiony. Może opętany? Co w tej chwili dzieje się z... tym bóstwem, które wcześniej przez niego przemawiało? Czy słyszy jego myśli?

Bóstwo. Quetzalcoatl. Czy wróci? Skrzywdzi go? Archeolog powiedział, że zginą wszyscy... I jeszcze te katastrofy, do których doszło przez ostatni tydzień. Szósta era... Jak w to wszystko wierzyć? Jak przyjąć do wiadomości? Nauczyciel znowu poczuł, jak coś ściska jego głowę. Jakieś niewidzialne imadło.

– Nasze ulice już spływają krwią – burknął.

– Tak. Tak, to prawda. To zemsta za to, co dawno temu nasi biali bracia uczynili w Mezoameryce. Za rzeź, masakrę. Jak zwał tak zwał. Dziś nam się rewanżują.

– Ale dlaczego akurat w Poznaniu? Dlaczego w ogóle w Polsce? Czy to nie dziwne?

– Interesujące pytanie, ale nie potrafię na nie jednoznacznie odpowiedzieć. Być może to kwestia przypadku, a może nie. Całkiem prawdopodobne, że wszystko zaczęło się już w czterdziestym szóstym roku, w Niedzicy, a klątwa nie była wytworem wyobraźni. Kipu z przepowiednią jakimś sposobem znalazło się w Polsce. Dlaczego? Nie wiem, mogę jedynie przypuszczać.

– To znaczy? Co pan przypuszcza?

Doktor Płótniak westchnął.

– Dobrze się pan czuje? Zbladł pan.

Huk pioruna sprawił, że Galiński wzdrygnął się.

– Tak. – Skinął głową. Zrobiło mu się słabo z bólu.

Dotknął palcami skroni. Najgorsza migrena to małe piwo w porównaniu z pulsowaniem, jakie odczuwał.

– To pewnie od nawału wiadomości. – Archeolog rozejrzał się po salonie. – Chce pan aspirynę? Powinienem gdzieś mieć...

Nagle uścisk zelżał. Ból nieco złagodniał, choć nauczyciel miał wrażenie, że pod skórą na skroniach wylał się jakiś robak, próbujący przedrzeć się do mózgu.

– Nie... Nie chcę aspiryny.

– W porządku. Już wracam do tematu. Wie pan, od jakiegoś czasu prowadzone są badania, mające na celu stwierdzić jakiej naprawdę narodowości był Krzysztof Kolumb.

– Kolumb?

– Właśnie. I bardzo możliwe, że w jego żyłach płynęła polska krew.

– Że Kolumb był Polakiem, tak? Coś słyszałem, ale to chyba raczej kaczka dziennikarska, po za tym... I jaki to ma mieć związek?

– Taki, że mówi się również, iż podczas swojej ostatniej wielkiej wyprawy, czwartej z kolei, Krzysztof Kolumb zdołał przedrzeć się do królestwa Inków. Zdania tutaj są bardzo podzielone. W książkach i przewodnikach piszą, że Kolumbowi udało się dotrzeć jedynie do Hondurasu i Wybrzeża Moskitów na wschodnim wybrzeżu Nikaragui.

Galiński nadał wargi. Zaczynał się znowu gubić.

– Ale co z tego, że Kolumb niby był w jakiejś części Polakiem? I co mają do sprawy Inkowie?

Naukowiec uśmiechnął się.

– Jeśli to rzeczywiście prawda, to pewne rzeczy same się panu za moment wyklarują. Otóż, niektórzy badacze historii Kolumba twierdzą, że to on zapoczątkował rzeź na Indianach. Że za pomocą koni, a także noży, arkebuzerów i innego rodzaju broni nieznannej Inkom, wyciął w pień całe wioski i miasta, zagrabił mnóstwo inkaskiego złota i... dał nogę, najkrócej rzecz ujmując.

Galiński sporo kiedyś czytał na temat wypraw Krzysztofa Kolumba, ale z taką teorią na jego temat nie spotkał się nigdy. Nie miał pojęcia, że ktokolwiek podejrzewał tego podróżnika o rzeź na Indianach!

– I chce pan powiedzieć, że to, co dzieje się w tej chwili w Poznaniu może mieć związek z tą... – nie potrafił znaleźć odpowiedniego określenia – z tą naciąganą opowieścią?

Doktor Płótniak wbił w niego wzrok.

– Badania porównawcze DNA sugerują, że Kolumb był po części Polakiem – rzekł twardo. – A to, czy narobił bałaganu na inkaskich ziemiach czy nie, potwierdzone nie jest, więc...

– Rozumiem. To tylko przypuszczenia.

– Tak, to tylko przypuszczenia.

Galiński potarł spocone czoło. Jeśli w żyłach Krzysztofa Kolumba płynęła polska krew i rzeczywiście to on rozpoczął rzeź na Indianach, którą potem kontynuował Cortez, cała opowieść archeologa o zemście nabierała wyrazistości. Kolumb Polakiem... Kolejna wiadomość, z którą zmuszony był się zmierzyć. Nie pierwsza i, jak podejrzewał, nie ostatnia. Było coś jeszcze. Jakieś wewnętrzne przecucie, którego nie umiał zdefiniować. Kolumb Polakiem... Polakiem...

Pulsowanie w skroniach znowu stało się dokuczliwe. Były jakieś więzi. Jakieś więzi bliskości. Dalekie, zatuszowane. Niepoznane. Poczuł gniew. Walczył z przeświadczeniem, że może mieć cokolwiek wspólnego z

człowiekiem sprzed setek lat. To było idiotyczne, ale z jakiegoś powodu tkwiło w nim. Nie dawało spokoju. Miał ochotę krzyknąć, aby pozbyć się tych cholernych przeczuć. Kto mu je zaaplikował? Skąd się nagle wzięły? Musiał zmienić temat.

– Chciałbym się dowiedzieć, jak pan połączył śmierć moich uczniów z tymi krwawymi wydarzeniami, jakie miały ostatnio miejsce? Oprócz znaków na sprawdzianach musiało być coś jeszcze.

– Niech pan nie ignoruje tego, co do pana mówię. – Doktor Płótniak wyglądał na rozczarowanego. – Staram się rozjaśnić panu sytuację, nakierować pana...

– Opowiadając o Kolumbie Polaku, który mordował Indian?! – fuknął Galiński. Ból stał się nie do wytrzymania. Syknął, dotykając palcami skroni i lekko je rozmasowując. – Niech to szlag!

Znowu to przecucie. Niemal namacalna bliskość... Jakby coś niewidzialnego, czającego się w zakamarkach jego umysłu chciało dać mu do zrozumienia, że istnieją prawdy na jego temat, o których nie miał dotąd pojęcia. Odganiał je. Za wszelką cenę. To bzdura, mamrotał w duchu. Wierutna bzdura.

– Złość nic tu nie pomoże. Mamy poważny problem. – Usłyszał.

Poważny problem? Miał ochotę w coś przywalić.

– Zadałem panu pytanie – jęknął Galiński, usiłując zapanować nad bólem. – Proszę, niech mi pan opowie jak połączył śmierć tych dzieciaków z... – urwał i wziął głęboki wdech. Pulsowanie powoli ustępowało. Archeolog długo spoglądał na niego z niepokojem, w końcu odezwał się: – Pańscy uczniowie zginęli w charakterystyczny sposób. – Usiadł na krześle i skrzyżował ręce na piersi. – Jeden został utopiony, z innego zdarto skórę... To mi się natychmiast skojarzyło z bóstwami, dla których składano ofiary. W Mezoameryce topiono niewinnych ludzi, a następnie ich ciała składano

w ofierze Tlalocowi, bogowi deszczu i pioruna. Dla innego boga, Xipe Toteca, składano w ofierze obdarte ze skóry zwłoki. Było to bóg grabieży, rzemieślników oraz pan ziarna i siewu. Wierzono, że potrafił zsyłać choroby. Przed obdarcie delikwenta ze skóry i złożeniem go w ofierze, wrywano mu serce. Zdaje się, że pańskiemu przełożonemu... – Naukowiec zamilkł. Galiński odwrócił wzrok.

– ...wyrwano serce.

– Te wszystkie katastrofy, wypadki, do których doszło w ostatnim czasie, mówią jasno, że nadeszła Szósta era. Kipu z piramidy na Morasku nie kłamie. Już sam fakt, że zaistniała, tak to nazwijmy, że wychynęła z ziemi... To świadczy o potędze i determinacji. Sytuacja przedstawia się bardzo źle i szczerze mówiąc nie wiem, jak interweniować i czy w ogóle da się coś zrobić. – Doktor Płótniak westchnął, po czym zapytał nagle: – Słyszał pan o tym, co wydarzyło się dzisiejszej nocy?

Nauczyciel pokręcił głową. Nie powiedział archeologowi o tym, że po ich rozmowie telefonicznej urwał mu się film i że nie wrócił na noc do domu. Dopiero miał dojść do tego wątku.

– Ktoś wykopał ciała wszystkich nieboszczyków na cmentarzu na Junikowie. Zarówno kości z najstarszych grobów, jak i zwłoki z tych najświeższych zostały porzucane po całym terenie cmentarza. To tak najkrócej mówiąc. Jeśli chce pan poznać szczegóły, niech pan przeczyta prasę. Piszą nawet o najbardziej szokujących szczegółach tego zajścia.

– Boże. – Galiński chwycił się za głowę, jakby chciał powyrywać sobie wszystkie włosy. Tego było już za wiele. Informacje druzgotały go, wysysały jestestwo. Jeszcze chwila, a zwariuję, pomyślał, zaciskając mocno szczęki.

A potem nagle zamarł.

Początkowo nie był pewny, czy rzeczywiście to poczuł.

Jakby smród gnijącego ciała...

Podniósł głowę i wziął głęboki wdech. A potem następny.

Naprawdę to czuł. Odór rozkładającego się mięsa. Przed oczyma stanęło mu brudne od ziemi ubranie. Ujrzał swoją twarz, umazaną błotem...

To niemożliwe, abym... Nie dokończył myśli. Paskudny ból wrócił. Skronie zdawały się pulsować coraz intensywniej.

Trach! Pierwszy przebłysk.

Wsiadł do auta... odpalił silnik... pojechał na Junikowo... Byli inni... Tacy jak on... Czekali na niego... Czekali, aż wyda im polecenie...

Trach! Drugi przebłysk.

Rył w ziemi... Wokół niego setki innych... Tysiące... Rozkopywali groty... Wściekli... Potężni...

Trach! Przebłysk trzeci.

Trzymał w dłoni niemowlę... Z pewnością było martwe... Małe rączki... Nóżki... Główka... Nadgryzione przez robactwo...

Nawet nie poczuł, że płacze. Doktor Płótniak obserwował go ze stoickim spokojem.

– Napije się pan czegoś mocniejszego? – zapytał po chwili.

Galiński pociągnął nosem.

– Ostatniej nocy byłem tam. Na cmentarzu – wykrztusił, a ręce drżały mu jak podczas ostatniego stadium delirium. – Moja dziewczyna sądziła, że poszedłem na dziwki. Ale ja byłem na cmentarzu. Rozkopywałem groby i wyciągałem z trumien ciała...

* * *

Przez dobrą minutę obaj mężczyźni milczeli. Na dworze wciąż padało. Burza zelżała. Od czasu do czasu słychać było jeszcze w oddali grzmot.

Galiński czuł, że jego osobowość rozpada się na tysiące kawałków, że jeszcze trochę, a podda się. Miał ochotę wrócić do domu, wypić pół litra wódki i położyć się do łóżka. Zapomnieć. Po prostu.

Ale o tym wszystkim nie dało się zapomnieć. Zginęli jego uczniowie. Dyrektorowi szkoły wyrwano serce. Zamordowano Kaczmarka. Setki ludzi zginęło w rozmaitych wypadkach. On sam brał udział w jakimś chorym rytuale, był epicentrum najpotworniejszego aktu zemsty, jaki można sobie było wyobrazić.

Opowieść o kipu, przepowiedni i bóstwach pobrzmiwała mu w głowie niczym dzwon, który wybija ostatnie minuty życia.

Podejrzewał wcześniej, że te wszystkie potworne wydarzenia są ze sobą powiązane w jakiś irracjonalny, niesamowity, paranormalny sposób. Jednak nie spodziewał się usłyszeć o zemście indiańskich duchów i bogów. To wykraczało poza granice jego rozumowania. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że takie rzeczy nie mogą się dziać.

A jednak na Morasku pojawiła się piramida.

A jednak ktoś popełnił zbiorowy mord w pociągu na dworcu kolejowym. Nikt nic nie widział ani nie słyszał, a stało się to w dzień. Jatka w ogrodzie zoologicznym, katastrofa lotnicza, makabra na cmentarzu...

Gdyby to „coś” nie siedziało w jego głowie...

Gdyby...

Z trudem to wszystko ogarniał, jednocześnie był ciekaw, co będzie dalej. Spoglądając na doktora Płótniaka nie był pewny, czy siedzi obok szaleńca czy też orędownika ważnej sprawy. Ten człowiek z całą pewnością był doskonałym mówcą, a nie obłąkańcem. Jego niewiarygodne opowieści miały jakąś dziwną logikę. Trzeba było się tylko w pełni przełamać, by w

nią uwierzyć. Bo dopiero kiedy patrzy się na całą sprawę obiektywnie, widzi się jak bardzo jest absurdalna.

Usłyszał żonę doktora Płótniaka. Schodziła po schodach na dół. Zajrzała do salonu. Na widok Galińskiego zrobiła kwaśną minę.

– Mój mąż chyba pana zanudza – odezwała się. – Nie wygląda pan najlepiej.

Archeolog spojrział na nią wymownie, po czym powiedział: – Mamy ważne sprawy do omówienia, proszę...

Kobieta obserwował ich jeszcze przez moment, a potem wzruszyła ramionami i weszła do łazienki.

– Ostatnio dziwnie się zachowuje – wyznał naukowiec.

– Jest jakaś inna.

– Niech pan na nią uważa. Ludzie się zmieniają – powiedział Galiński i pokręcił głową. – I nie mam tu na myśli upływu lat...

– Wiem, co ma pan na myśli. I martwię się o nią.

– „Coś” opętuje ludzi.

– Nie „coś”, tylko indiańskie duchy, tak jak panu mówiłem. Obserwuję swoją żonę. Zawsze była skryta, może po prostu ma gorsze dni. Nie wiem. Bardziej martwiłbym się o pana.

Zadzwoił telefon stacjonarny doktora Płótniaka. Mężczyzna wyszedł na korytarzyk odebrać. Kiedy wrócił, zaczął nerwowo rozglądać się po salonie.

– Gdzie ja mam płaszcz przeciwdeszczowy? – wymamrotał. – Gdzie jest ten cholerny płaszcz? Niech się pan ubiera.

– Coś się stało? – Nauczyciel wstał. Na twarzy archeologa pojawił się niepokojący wyraz.

– Tak, proszę pana. Właśnie mnie poinformowano, że na placu Andersa wyrosła kolejna piramida. Andersia Tower legła w gruzach.

ROZDZIAŁ 12

PRZEBŁYSKI

Pojechali Omegą Galińskiego. Nauczyciel prowadził nerwowo, jechał zbyt szybko i co chwila zmieniał pas ruchu. Na ulicy Grunwaldzkiej omal nie uderzył w tył zatrzymującego się na światłach Mercedesa. Cudem udało mu się ominąć samochód i przejechać na czerwonym świetle nie doprowadzając przy tym do wypadku. Deszcz przestał padać, ale na ulicach było ślisko i Galiński kilka razy musiał wyprowadzać auto z poślizgu.

Dojechali do ulicy Roosevelta, a potem skręcili w stronę ronda Kaponiera. W oddali dostrzegli słupy dymu unoszące się nad centrum miasta. Wyprzedził ich radiowóz na sygnale, chwilę potem dwa wozy strażackie. Ludzie biegli chodnikami w stronę placu Andersa. Niektórzy pokrzykiwali coś przez telefony komórkowe, inni z niedowierzaniem otwierali usta. Kolejne wozy strażackie świsnęły obok nich i pomknęły w stronę Mostu Dworcowego.

– Przez Dworcowy nie dojedziemy – zauważył Galiński. – Ulice są zablokowane.

– Niech pan podjedzie najbliżej jak się da – odparł Płótniak. Po raz pierwszy wyglądał na mocno zdenerwowanego. Bębnił palcami o bok fotela i co kilka sekund spoglądał na zegarek. – Już dwudziesta – oznajmił w pewnym momencie bez żadnej konkretnej przyczyny.

Galiński skręcił w ulicę Święty Marcin, a następnie w Aleję Niepodległości. Pokonali jeszcze dwieście metrów i utknęli. Sznur aut

przed nimi zdawał się nie mieć końca. Kierowcy powychodzili ze swoich pojazdów i z obawą spoglądali na kłęby dymu niesione wiatrem w ich stronę.

– Widzi pan?

– Tak. Źle to wygląda.

– Wjadę na chodnik – rzucił Galiński, po czym pokonał wysoki krawężnik i zaparkował niebezpiecznie blisko torowiska tramwajowego. Wyszli z auta. Do ich nozdrzy wdarł się smród spalenizny.

Znajdowali się kilkaset metrów od placu Andersa. Wysokie drzewa i budynki nie pozwalały im jednak dostrzec piramidy.

Pobiegli wzdłuż ulicy w kierunku Starego Browaru. Wielu innych ludzi zrobiło to samo. Galiński spostrzegł nagle, że obok niego biegnie kilkanaście osób – wśród nich kobieta z małym dzieckiem, mężczyzna w podeszłym wieku, pomagający sobie laską, zakonnica oraz dwóch Japończyków.

– Boję się, że doszło do tragedii – rzucił archeolog.

– Co?

– Sam pan zobaczy. A teraz pośpieszmy się! Niedługo się ściemni, a chcę dokładnie obejrzeć piramidę.

I wreszcie ją ujrzeli.

Galińskiemu zaparło dech w piersiach. Stał jak wryty, nie zważając na ponaglenia doktora Płótniaka, który chciał podejść bliżej.

Budowla była ogromna. Mogła mieć czterdzieści albo pięćdziesiąt metrów wysokości. Długość jej podstawy była jeszcze bardziej imponująca. Jedna ze ścian niemal przylegała do centrum handlowego Stary Browar, a przeciwległa zajmowała znaczną część sąsiadującego z ulicą Królowej Jadwigi parku. Galiński na oko oszacował, że podstawa piramidy miała ponad sto na sto metrów. Miała konstrukcję schodkową, złożoną z wielkich

tarasów wykonanych z kamiennych płyt. Na najwyższym tarasie znajdowało się coś na kształt świątyni. Widok obezwładniał.

– Zniknęła ulica! – krzyknął ktoś. I była to prawda. Spora część Królowej Jadwigi po prostu przestała istnieć. Tory tramwajowe nagle urywały się, tak samo jezdnia. Piramida wyrosła w samym centrum miasta. Okazało się, że informacja Płótniaka o zmieceniu Andersia Tower z powierzchni ziemi była tylko szczątkowa. Zniknęły także pozostałe dwa wieżowce na placu – Poznańskie Centrum Finansowe i hotel Novotel. Ktoś zapytał, gdzie się podziały te budynki, ktoś inny uzmysłowił sobie, że musiało zginąć mnóstwo ludzi.

Wokół budowli zgromadziło się tyle osób, że służby ratunkowe i policja nie mogły podjechać. Z ruin wieżowców bił dym. Co jakiś czas coś wybuchało, pojawiały się płomienie. Nad piramidą zawisł śmigłowiec straży pożarnej. Tonął w dymie. Pojawił się kolejny.

Doktor Płótniak tępo wpatrywał się w konstrukcję.

Galiński spojrzał na niego. Z wyrazu jego twarzy usiłował odczytać, co myśli. Nie potrafił.

– Wie pan, co to jest? – spytał nagle naukowiec i nie czekając na odpowiedź dodał: – Piramida Księżyca, proszę pana. W całej okazałości. Cholerna Piramida Księżyca, jak w Teotihuacan. W dodatku ze świątynią. Ta w Teotihuacan jej nie posiada. Pozostały tylko ruiny.

Galiński ponownie wbił wzrok w konstrukcję. Przytłaczała swoją masywnością.

– Proszę się odsunąć! – krzyknął jakiś policjant. W jednej chwili zaroilo się od służb porządkowych. – Proszę się rozejść! Proszę się odsunąć!

– Muszę tu pana zostawić – oznajmił archeolog i odwrócił się do Galińskiego. – Skontaktuję się z panem najszybciej, jak będę mógł.

– Dobrze. – Nauczyciel skinął głową.

- Niech pan jedzie do domu. Na mnie czeka robota. Cała masa roboty.
- Myśli pan, że w świątyni na szczycie piramidy znajdzie pan kolejne kipu?
- Nie mam pojęcia. – Doktor Płótniak nadał wargi. Cokolwiek tam jest, na pewno nie zwróci życia ludziom, którzy dzisiaj zginęli na placu Andersa.

* * *

W drodze do domu Galiński doznał kolejnych przebłysków.

Trach!

Brudny i śmierdzący wsiadał do samochodu... jechał z nieprzepisową prędkością... Osiedle, na którym mieszkał Kaczmarek było ciche, czarne... Wysiadł z auta...

Serce zabiło mu szybciej. Był spięty. Mimowolnie wcisnął pedał gazu do samej podłogi. Omega przyśpieszyła.

Trach!

Dzwonił do Kaczmarka i prosił, aby ten wyszedł na zewnątrz... Szli w stronę pobliskiego parku... Była noc, na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda... Kaczmarek zapytał, co się stało...

– Niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe! – zawodził ściskając z całych sił kierownicę.

Trach!

Kaczmarek pytał, co się dzieje... Galiński wyszczerzył zęby w uśmiechu... „Wiele się dzieje”, oświadczył... Odgłos łamanych Żeber... Krew... Serce na dłoni... Zakrwawione ciało nauczyciela... Krew... Serce na dłoni... Krew... Serce...

Gwałtownie wcisnął hamulec. Rozległ się pisk trących o asfalt opon.

Ciężko dyszał. Nie myślał o niczym.

Nadszedł wreszcie czas, odezwał się głos.

– Czas... – powtórzył mimowolnie.

Szybko się uczysz.

Kim ty jesteś?

Przecież już wiesz. I wiesz do czego zmierza twój świat. Długo na to czekaliśmy. Dobrze się przygotowywaliśmy na tę chwilę. Wreszcie nadeszła.

Co teraz będzie?

Wróciliśmy. Będzie tak, jak zechcemy. Odbudujemy wszystko to, co zniszczyliście. Odbudujemy siebie. Odbudujemy naszą kulturę.

Co będzie ze mną?

Nic.

Ale...

Będiesz żył tak długo, jak i ja będę istniał.

To niemożliwe.

Wszystko jest możliwe, wewnętrzny głos zachichotał. Jeszcze się o tym nie przekonałeś? Chyba jednak nie należysz do najbardziej spostrzegawczych białych morderców.

Nie mogę żyć z tobą. Nie mogę...

Popatrz w lustro.

Galiński początkowo nie zareagował. To szaleństwo, pomyślał. Czyste szaleństwo.

Szaleństwo czy nie, spójrz.

Spojrzał.

* * *

Obudził się zlany potem i roztrzęsiony. Nie pamiętał, co mu się śniło – jeśli w ogóle coś. Niewiele go to obchodziło. Lustro. Musiał spojrzeć w lustro. Jeszcze raz to zobaczyć...

Oswobodził się z pościeli i opuścił nogi za łóżko. Promienie porannego słońca wlewały się do sypialni. Zapowiadał się piękny dzień.

Kaśka. Nie było jej.

Wstał i na bosy poczłapał do łazienki. Nagi. I brudny.

Nie było jej...

Spojrzał w lustro. Nie poznał się. Odstające kości policzkowe upodabniały go do postaci z fotografii, którą pokazał mu doktor Płótniak. Długi nos, ciemne oczy, czarne włosy. Lustrzane odbicie nie przedstawiało Galińskiego.

– Kaśka – szepnął.

Przyjrzał się ciemnym plamom pokrywającym jego całe ciało. Były ciemnoczerwone. Rdzawe. Zakrzepła krew.

– Kaśka – powtórzył, a potem wrzasnął z całych sił: – Kaaaaaaśkaaa!

* * *

Wewnątrz piramidy było duszno i wilgotno. Doktor Płótniak zdjął koszulę i rzucił ją na ziemię.

– Poświeć tutaj – zwrócił się do Marka Knedla, swojego asystenta, po którego zadzwonił zaraz po tym, jak pożegnał się z Dawidem Galińskim. Marek Knedel był barczystym trzydziestodwulatkiem o śniadej cerze i kruczoczarnych włosach. Należał do najpilniejszych studentów Płótniaka. Obecnie robił doktorat.

– No dalej, poświeć – ponaglił archeolog. Knedel jednak ani drgnął.

Doktor Płótniak odwrócił się i spostrzegł, że jego asystent gapi się na coś wewnątrz długiego wąskiego tunelu, jednego ze stu albo i dwustu. Budowla mieściła w sobie olbrzymi labirynt.

– Marek, co jest?

– Przepraszam. – Mężczyzna ocknął się. Światło latarki padło na twarz archeologa. – Wydawało mi się, że coś zobaczyłem. W głębi tego tunelu.

Korytarz miał niecałe dwa metry wysokości i około metra szerokości. Dwóch postawnych mężczyzn miałyby trudności z poruszaniem się w nim jeden obok drugiego.

– Co takiego zobaczyłeś? – zainteresował się archeolog i sięgnął do kieszeni spodni po własną latarkę. Włączył ją.

– Gdzie dokładnie?

– Na wprost – odparł Knedel. – Już zniknęło.

– Zniknęło?

– Nie jestem pewien, czy naprawdę coś widziałem. Być może tylko mi się wydawało.

Doktor Płótniak ruszył tunelem, oświetlając sobie drogę. Co jakiś czas kierował strumień światła na ściany i przypatrywał się przepięknym malowidłom. Jaguary, węże, bizona, ptaki – wszystkie zwierzęta odwzorowano z niezwykłą precyzją, jakby tworzył je ktoś doskonale znający pojęcie proporcji. Znacznie gorzej przedstawiono postaci. Płótniak pomyślał, że musiało malować je jakieś dziecko. Nie zmieniało to jednak faktu, że obcował teraz ze sztuką sprzed setek lat, nigdy dotąd nie poznaną.

Poświecił za siebie, aby upewnić się, że Knedel za nim podąża. Dreptał tuż za nim, z miną tak nieszczęśliwą, jakby kompletnie nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest.

– Wiesz, z czym mamy do czynienia? – spytał archeolog. Asystent tylko wzruszył ramionami. Naukowiec nie mógł uwierzyć, że najlepszy student

jakiego w życiu miał, okazuje ignorancję w takim momencie.

– Wyrosła w samym centrum miasta, waląc w gruzy stumetrowe wieżowce, a ty wzruszasz ramionami? Wiesz, ile ludzi zginęło?

– Kilkuset – odparł nagle Knedel i uśmiechnął się. Było w nim coś dziwnego. Obcego.

Naukowiec popatrzył na niego w skupieniu.

– Tak, zapewne kilkuset.

– A zginą wszyscy. Bez wyjątku.

Już i tak śniada twarz młodego mężczyzny pociemniała jeszcze bardziej. Archeolog poczuł jak oblewa go zimny pot. Zadygotał. A potem do jego uszu dobiegło nawoływanie: – Doktorze! Doktorze!

W otchłani tunelu zamigotały światła latarek. Po chwili ukazały się sylwetki dwóch osób. Archeolodzy ze Stowarzyszenia Archeologów w Poznaniu, najlepsi specjaliści w tej dziedzinie. Doktor Płótniak często spotykał się z nimi na rozmaitych zjazdach i panelach dyskusyjnych. Annę Karmelowską poznał od razu. Była niezwykle atrakcyjną młodą kobietą o zniewalającym spojrzeniu, którym hipnotyzowała mężczyzn. Szła przodem. Za nią podążał starszy mężczyzna w kraciastej koszuli flanelowej i kapeluszu. Profesor Mirosław Dymny. Płótniak poznał go dopiero po dłuższej chwili, gdy uścisnęli sobie dłonie. Ostatni raz rozmawiali dobrych kilka lat temu na konwencie archeologów w Szczepankowie. Od tamtego momentu profesor Dymny mocno się postarzał. Zawsze za dużo palił, a i nie stronił od mocnych trunków.

Na twarzach obojga malowało się podekscytowanie i niepewność. Znaleźli się w centrum piramidy, która nie miała prawa bytu.

– Przyjechaliśmy najszybciej, jak się dało – odezwała się Anna Karmelowska. – Zadzwoniono do nas z Urzędu Miasta i poproszono o

natychmiastowe przybycie. Nie mogę uwierzyć, że ta piramida tu jest. Badał pan tę drugą, na Morasku, prawda?

Doktor Płótniak skinął głową, a następnie spojrzął na Knedla. Mężczyzna przypatrywał mu się uważnie. Jego cera odzyskała dawny wygląd i archeolog nieco się uspokoił. To „coś” odeszło. Nie wiedział na jak długo ani czy zdążą opuścić budowlę.

– Nie wiem, dlaczego nie poproszono nas, abyśmy przyjechali za pierwszy razem – kontynuowała Karmelowska. – W każdym razie i tak udało nam się wejść do środka tamtej budowli. Niesamowita. Inna niż ta, ale tak samo tajemnicza.

– Myślę, że powinniśmy stąd wyjść. – Doktor Płótniak pokręcił nerwowo głową.

– S... Słucham? – Profesor Dymny pochylił się.

– Sądzę, że powinniśmy się stąd jak najszybciej ewakuować.

– Ależ dopiero tu weszliśmy – zaoponował Dymny. – Dwadzieścia minut temu.

– Będziemy jeszcze mieli okazję tu przyjść, daję wam słowo.

– Ale...

– Żadne z nas nie ma kasku ochronnego.

– Ale...

Płótniak spojrzął wymownie na profesora. Wiedział, jak idiotycznie zabrzmiało to, co powiedział, jednak nie potrafił wymyślić nic bardziej przekonującego. Trząsł się ze strachu.

– Nie jesteśmy przygotowani – wycedził wymownie. Skołowana Anna Karmelowska zamrugła, po czym prychnęła: – Nie wierzę. Dlaczego...

– To proszę uwierzyć – wszedł jej w słowo doktor Płótniak. – Wychodzimy. Teraz.

– Bez urazy, doktorze, ale chyba nie pan dowodzi naszą grupą – odezwał się opanowanym głosem profesor Dymny.

Marek Knedel zarechotał. Wszyscy odwrócili wzrok w jego stronę. Mężczyzna kołysał się z boku na bok, jakby był pijany albo w jakimś dziwnym transie. Jego oczy były nieobecne. Patrzył na nich, ale chyba niewiele widział.

– Zginiecie. Wszyscy – wysyczał.

Profesor Dymny dał krok w tył. Anna Karmelowska otworzyła usta, zaszokowana.

– Co to... – wymamrotała. – Co to ma znaczyć?

– Lepiej się pośpieszmy – rzucił doktor Płótniak. – Wychodzimy stąd! Profesorze!

Za późno. Marek Knedel, a raczej potężny indiański duch w ciele Knedla, wykonał tylko jeden ruch – tak szybki, że w pierwszej chwili nikt z trójki archeologów nie zorientował się, co tak naprawdę się stało.

Na ściany chlusnęła krew. Z gardła profesora Dymnego wydobył się przeraźliwy gulgot, identyczny dźwięk wydała Anna Karmelowska. Oczy obojga nieomal wyszły z Orbit.

Marek Knedel grzebał w ich klatkach piersiowych, jednocześnie podtrzymując przed osunięciem się martwych już naukowców na ziemię. Kilka sekund później wyszarpnął z nich serca. Biły jeszcze, kiedy podsuwał je sobie pod nos i upajał się ich zapachem.

Doktor Płótniak usłyszał tylko jak ciała uderzają o ziemię. Biegł, co sił w nogach wąskim tunelem, nie oglądając się za siebie. Światło latarki zaczęło słabnąć, ale nie to było jego największym zmartwieniem. Zgubił się. Skręcił w inny tunel, potem w kolejny. Dostrzegł schody, prowadzące na wyższy poziom. Ominął je i biegł dalej. Nie słyszał za sobą żadnych dźwięków. Knedel go nie gonił, jednak nie miał pojęcia, w której części

piramidy się znajduje i jak długo będzie musiał błądzić, by znaleźć wyjście z tego przeklętego miejsca.

Światło latarki słabło. Skręcił w prawo, w lewo. Poświecił w głąb korytarza. Otulał go mrok. Dyszał jak lokomotywa, pot lał się z niego strumieniami. W pewnym momencie, gdzieś w oddali, dostrzegł słaby punkcik światła. To dodało mu otuchy.

– Hej! – krzyknął. – Tutaj!

Punkciki stawały się większe i większe. Ktoś szedł w jego stronę. Nagle ujrzał funkcjonariusza. Wysokiego, postawnego. I zapewne uzbrojonego po zęby. I jeszcze jednego. I trzeciego, i czwartego. Oślepił go blask latarek.

Był ocalony. Tym razem się udało. Musi jak najszybciej zadzwonić do Galińskiego. I ostrzec go. Postanowił, że nie spotka się z nim osobiście, to byłoby zbyt niebezpieczne. Faceta opętało największe indiańskie bóstwo, w jakie kiedykolwiek wierzono. Nie mógł ryzykować przedwczesną śmiercią, ale udzieli facetowi rady. Każe mu się zamknąć w jakiejś cholernej piwnicy i połknąć klucz... Boże, jakie to wszystko popierdalone.

Potrząsnął latarką. Zgasła na amen. Mężczyźni przed nim zatrzymali się i poświecili mu w oczy.

– Dzięki Bogu – wysapał i potknął się, nieomal lądując w objęciach jednego z policjantów.

Radość Płótniaka była jednak przedwczesna. Zanim zrozumiał, co się stało, osunął się na ziemię, czując jedynie potężny, rwący ból w okolicy klatki piersiowej, który chwilę później ustąpił. Ponownie spowił go mrok, tym razem na wieki.

Jego serce przestało bić na dłoni mundurowego.

* * *

Galiński zbiegał po schodach jakby gonił go sam diabeł. Był nagi, cuchnący i na granicy szaleństwa. Wył, pokonując kolejne stopnie. Skrzypiały, ale nie słyszał tego. Był w amoku. W pewnym momencie pośliznął się i zjechał na tyłku na sam dół. Zdarł sobie skórę z pleców i pośladków. Zbyt zdenerwowany i zbyt zrozpaczony, nie czuł bólu. Stał pośrodku salonu i opuścił ręce. Dom wydawał mu się obcy i pusty, jakby nigdy do niego nie należał. Błądził wzrokiem po ścianach, suficie, podłodze, omiótł spojrzeniem meble. Ani śladu krwi. Wszystko wyglądało tak, jak dawniej. Na stole leżała sterta gazet, fragmenty dziennika Adriana Romskiego i pilot od telewizora.

Dopiero wchodząc do kuchni ujrzał jej odciętą głowę. Leżała na stole obok ceramicznej cukierniczki i tacy z nadgniętymi owocami. Patrzyła wprost na niego niewidzącymi, przymkniętymi oczyma. Włosy były rozrzucone na blacie – ciemne, zlepione krwią. Wyglądały niczym brudne od farby włosie gigantycznego pędzla. W szyi ziała ogromna dziura. Galiński dostrzegł fragment rozerwanej tchawicy.

Poczuł mdłości. Zwymiotował. Miał z nią spędzić resztę życia. Ożenić się, udać w podróż poślubną, mieć dzieci. Czy powiedział jej kiedykolwiek, że chce mieć z nią dzieci? Marzył o dwójce. Chłopcu i dziewczynce. Cóż za klasyczne marzenie. Każdy chce mieć parkę. Ponad wszystko jednak pragnął być przy niej. Akurat to wiedziała. Mówił jej to nie raz, nie dwa.

W tej chwili mógł jedynie patrzeć na jej głowę. Nie potrzebował żadnych wyjaśnień. Zamordował kobietę, która była dla niego wszystkim. Nie dostrzegł w kuchni narzędzia, którym to zrobił. To nie miało jednak znaczenia. Nic już nie miało znaczenia.

Ostatni raz spojrzął na jej głowę, a następnie wyszedł z kuchni. Pod stopami poczuł krew. Ślady prowadziły do łazienki. Poszedł tam. Otworzył drzwi i zapalił światło.

Bezgłowe ciało spoczywało w kabinie prysznicowej. Widok był groteskowy. Kaśka siedziała nago w brodziku, oparta o ścianę, z rękoma ułożonymi na kolanach. Jej duże, kształtne piersi rzucały się w oczy jeszcze bardziej, gdy nie miała głowy. Galiński przyglądał im się przez moment. Odwrócił wzrok. Wszędzie była krew. Zdawało się, że wypłynęła z brodzika i zalała całą łazienkę.

Powierzchnia lustra była na tyle czysta, że mógł zobaczyć swoje odbicie. Urosły mu włosy. Sięgały teraz do ramion. Jego twarz uległa całkowitej przemianie. Już nawet nie przypominał dawnego Dawida Galińskiego.

Nagle coś w nim pękło. Zachwiał się i omal nie stracił równowagi. Ogarnęła go wściekłość jakiej nigdy dotąd nie doświadczył.

Sięgnął po szklany kubek, w którym trzymali z Kaśką pastę i szczoteczki do zębów. Rzucił nim w lustro. Na gładkiej powierzchni wykwitła pajęczyna pęknięć, groteskowo zmieniając odbicie Galińskiego. Kubek roztrzaskał się na kawałki. Otworzył szafkę na kosmetyki i chwycił kilka flakonów perfum. Nie trafił w cel i rozbiły się o ścianę. Kilka odłamków zraniło go w czoło i policzek. Dopadł do drzwiczek szafki i przez dobrą minutę usiłował je wyrwać z zawiasów. Z powodzeniem. Zaczął tłuc nimi w lustro, dopóki nie zabrakło mu tchu. W końcu przestał. Upuścił drzwiczki. Huknęły o posadzkę.

– Wszystko mi zabrałeś! – wrzasnął, zanosząc się szlochem. – Najbliższych, których kochałem! Nawet cholerne ciało! Czego jeszcze chcesz!? Czego, kurwa, jeszcze chcesz, co!? – Rzucił się na resztki, które pozostały z lustra i zaczął walić w nie pięściami. Z dłoni pociekła ciepła krew, kawałki szkła powbijały mu się w palce i za paznokcie.

– Zabierz go! Zabierz jeszcze mój pierdolony umysł! I duszę! Słyszysz? Zabierz moją duszę! Jest cała twoja! Do diabła, bierz ją!!!

Był cały we krwi, gdy wykończony odstąpił od lustra. Zachwiał się i upadł. Znalazł się na równi z bezgłowym ciałem Kaśki. Przez moment patrzył na nią bez emocji. Jakby fakt, że nie żyła, był czymś normalnym, naturalnym. W końcu zamknął oczy Żyłabyś, pomyślał.

Oni wszyscy nadal by żyli...

Gdyby nie odebrano nam...

W S Z Y S T K I E G O...

ROZDZIAŁ 13

OFIARA

Wewnątrz Piramidy Księżyca, w ścianie jednej z niewielkich komnat, do której nikomu nie udało się dotrzeć, znajdowała się szerniała tuba, długości mniej więcej dwudziestu centymetrów. Przedmiot był spłaszczony po obu stronach i obwiązany rzemieniami.

Ostatnia z trzech części przepowiedni, mówiącej o wielkiej zagładzie uporządkowanego współczesnego świata. Ukryta w niewielkiej szczelinie w ścianie, samoistnie krwawiła.

Kap–kap, kap–kap.

Spisana krwią zmasakrowanych przed wieloma laty.

Kap–kap, kap–kap.

Nie odczytana ku chwale odrodzonych.

Kap–kap.

Mówiąca do wszystkich i do nikogo.

Kap–kap...

Niszczająca...

Kap...

...w nowej erze.

Oto kolejna, ostatnia część przepowiedni. Stanowi zarazem ostatni etap nadejścia Szóstej ety, zwanej erą Wielkiej Zemsty i powrotu wszystkiego, co

żyło i zostało wytępione przez biały lud.

Wielcy powrócili i rozpoczęli dzieło wielkiego zniszczenia. Duży miasto słowiańskie przemianowane zostało na Teotihuacan. Kolejne słowiańskie miasta otrzymają nowe nazwy. Lunie z nieba krew tych, którzy zginęli wieki temu z rąk białego człowieka.

Rozpoczęła się rzeź na całym kontynencie zwanym Europą. Wkrótce zostanie zniszczona cywilizacja bladych twarzy. Ciała wolne od duchów i bogów zostaną poświęcone w największej ofierze. Ciała wypełnione duchami i bogami żyć będą pod władaniem duchów i bogów.

Po raz pierwszy bogowie i ludzie żyć będą obok siebie. Bogowie wyrażą wdzięczność za ofiary i lojalność. Poświęcenie nie pójdzie na marne.

Powstaną nowe świątynie, a ofiary nie będą już potrzebne. Bogowie wyrażą swą wdzięczność poprzez doskonałe plony i zapewnienie ludziom życia w dostatku.

Szóstą erę uważa się za rozpoczętą!

Jej koniec nastąpi, kiedy Władca Świata, Wąż Opierzony, otrzyma to, co dla Stwórcy najcenniejsze – ciało, umysł i duszę tego, w którym się narodził. Potomka tego, który zapoczątkował wielką rzeź naszego ludu.

Oto największą i jedyną ofiarą, jaką może złożyć biały człowiek, by ocalić swój lud na kilka dziesiątek lat i która może zostać przyjęta przez Węża Opierzonego. Ten żył będzie wówczas jak nigdy przedtem. Będzie myślał, mówił, odczuwał. Będzie delektował się niewolą ciała, umysłu i duszy potomka tego, który zapoczątkował wielką rzeź Posiądzie wiedzę absolutną wykraczającą poza rozumowanie przeciętnej istoty. Zapoczątkuje Siódmą erę – erę nauki, która zakończy się, kiedy Wąż Opierzony gotowy będzie do przywrócenia życia ludom dawno wymordowanym przez biały lud. Przez lata nabierze doświadczenia. Gotowy będzie stworzyć cywilizację opartą na technice i potędze współczesnych cudów.

Nastanie Ósma era, zwana erą Ostateczną i trwać będzie do końca świata. Bogowie i odrodzone ludy żyć będą w świetle doskonałym, bogactwie i dobrobycie absolutnym.

Szósta era może być erą ostatnią, o ile ofiara z ciała, umysłu duszy nie zostanie złożona Wężowi Opierzonemu. Jeśli tak się stanie, trwać będzie do końca świata.

EPILOG 1

Usłyszał jakiś dźwięk.

Gdzieś za nim.

Zadygotał. Oni tam są. Nadal. Czają się. Czekają, by znowu w niego wtargnąć. Już zawsze będzie opętany. Skrzypienie drzwi. Ktoś wszedł do środka.

Skulił się na łóżku, wstrzymując oddech.

Boże, nie...

Kroki. Ktoś szedł w jego stronę.

Zacisnął zęby, zamknął oczy. Tak bardzo się bał...

– Hubercie, śniadanie...

Kto to był? Kim oni wszyscy są? Gdzie jest mama? Gdzie tata?

– Hubert, przyniosłam ci jajka. Na twardo. Lubisz je, prawda?

Jajka na twardo. Bardzo je lubił.

Otworzył oczy. Pani. Uśmiechała się do niego. Ładna. Zielone oczy, kasztanowe włosy. Sympatyczna. Kim była? Przełknął ślinę.

Ucieknę, pomyślał. Muszę uciec. Nie mogę pozwolić, aby mnie skrzywdzili. Chcą mnie dopaść.

Jajka. Był głodny.

– Hubercie...

Zadrzał.

Spojrzał na kobietę. Uśmiechała się. Zielonooka. I te włosy – kasztanowe, długie. Naprawdę ładna...

Zostawiła mu jedzenie.

Z powrotem zamknął oczy. Mamo, gdzie jesteś? Tęsknię za tobą. Tato, kiedy do mnie przyjdiesz? Chcę zagrać w piłkę. Chcę obejrzeć mecz. Jak kiedyś. Pamiętasz?

Nagle rozplakał się. Było mu smutno, tak bardzo smutno.

Ktoś lekko ścisnął jego ramię. Otworzył oczy.

Pani. Ładna. Zielonooka. Uśmiechnięta...

Mama...

EPILOG 2

Włokąc się ulicą Królowej Jadwigi, Małgorzata Płótniak cudem uniknęła stłuczki. Zapatrzyła się na ogromne żurawie na placu Andersa i omal nie uderzyła w tył czerwonej Fiesty, której kierowca zwolnił do pięciu kilometrów na godzinę, aby przejechać przez prowizoryczną kładkę w miejscu, gdzie jeszcze kilka miesięcy temu piętrzyła się dumnie piramida. Pewnego dnia po prostu zniknęła. Prasa i telewizja omamiały swoich odbiorców kolejnymi fantastycznymi wyjaśnieniami, ale Małgorzata Płótniak nie oglądała telewizji ani nie czytała gazet.

Nic ani nikt nie przywróci życia Maksymilianowi. Tęskniła za nim. Z powodu tego, co stało się na cmentarzu na Junikowie, zmuszona była pochować go na Miłostowie. Właśnie stamtąd wracała. Ale nie jechała do domu. Musiała porozmawiać z nauczycielem, z którym jej mąż spotkał się krótko przed... Nawet nie wiedziała, jakich słów użyć, aby określić to, co się stało.

Znalazła adres w książce telefonicznej. Już wcześniej myślała o tym, aby odszukać Galińskiego, jednak nie potrafiła się na to zdobyć. Była zbyt zrozpaczona i zdruzgotana. Nie wiedziała wtedy, o czym miałyby z nim rozmawiać. Bardzo chciała zapytać o to, co się z nią stało... Domyślała się tylko, że „coś” ją opętało. Mówiło do niej, momentami przejmowało nad nią kontrolę.

Nie powiedziała o tym mężowi, ponieważ to „coś” jej na to nie pozwoliło. Za każdym razem, kiedy wydawało jej się, że jest nieaktywne i może wreszcie wyrzucić swoje lęki Maksymilianowi, głos nagle zamierał

jej w gardle, a w jej głowie rozlegały się szepty. Nie rozumiała ani słowa, co tylko potęgowało jej przerażenie.

Galiński wiedział, co jest na rzeczy. Przyjechał do jej męża między innymi w sprawie owych głosów. Udało jej się podsłuchać, jak mówił, że „coś” przez niego przemawia. „Coś” potężnego. Jakieś wielkie bóstwo. A potem nagle głosy w jej głowie ucichły, odzyskała nad sobą kontrolę.

Przestało też dochodzić do katastrof, piramidy zniknęły nagle, jakby nigdy nie istniały. W całym mieście wybuchła euforia. Ludzie odzyskali poczucie wolności, zostali oczyszczeni. Wszystko zaczęło wracać do normy. Błyskawicznie.

Była zdenerwowana, kiedy podjeżdżała pod dom Galińskiego. Trzęsły jej się ręce, zastanawiała się, od czego zacząć rozmowę, co mu w ogóle powiedzieć.

Wpatrując się w czarno-białego kota, wylegującego się na podjeździe, zapukała do drzwi raz, a potem drugi.

Na reakcję nie musiała długo czekać. Drzwi otworzył wysoki śniady mężczyzna o ciemnych, bardzo ciemnych włosach, ostrych rysach twarzy i niemal czarnych, przenikliwych oczach. Miał na sobie idealnie wyprasowaną błękitną koszulę, wiśniowy krawat i czarne spodnie w kant. Uśmiechnął się, mówiąc: – Dzień dobry – jego głos był głęboki, spokojny.

Prawie ją zahipnotyzował.

– Proszę... wybaczyć – wykrztusiła po chwili. – Chyba pomyliłam adresy.

– Ależ nie! – zaoponował, otwierając drzwi na całą szerokość. Z jego twarzy nie zniknął nieomal czarujący uśmiech. Mężczyzna gestem zaprosił ją do środka. – Spodziewałem się pani. Proszę wejść i czuć się jak u siebie, pani Małgosiu.